Nabór na studia – hity i kity • Nasi cudzoziemcy • Minister z gitarą
Ksiądz morderca • Harcerska tragedia • Miłość na starość • Z wizytą u Drakuli

POLITYKA

POLITYKA.PL

LIDER SPRZEDAŻY

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 32 (3526), 6.08–12.08.2025
USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

© DAMIAN LEMAŃSKI/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Żegnamy bez żalu

Witamy bez nadziei

Wydanie w sprzedaży do 12.08.2025
ISSN 0032-3500
32>
9 770032 350503

KUP TERAZ

Letnie **łamanie głowy!**

Zagadki logiczne, liczbowe, słowne
i wiedzowe – każdy znajdzie coś dla siebie!

Do kupienia w punktach sprzedaży oraz na sklep.polityka.pl

eprasa.pl ad2f04fa8d

© KAROL MAKURAT/REPORTER

14
Nasi, nie nasi

Tematy tygodnia

10 Rafał Kalukin **Nawrocki w Pałacu: jakim będzie prezydentem**
14 Paweł Reszka, Martyna Bunda **Codzienność imigranta**

Polityka

18 Wojciech Szacki **Polityczna panorama: po i przed wyborami**
20 Rozmowa z prof. **Aleksandrą Gliszczyńską-Grabias** o tym, jak przewietrzyć narodową narrację i walczyć z nienawiścią
23 Marcin Piątek **Wojciech Balczun: minister z aktywami**

Społeczeństwo

26 Joanna Cieśla **Jak się teraz dostać na studia**
30 Jakub Halcewicz **Ksiądz morderca**
34 Katarzyna Kaczorowska **Tragedia na obozie harcerskim**
37 Katarzyna Kaczorowska ODCHODZIĆ PO LUDZKU **Miłość na starość**
40 Ryszarda Socha **Bałtyk w zabudowie**

Rynek

44 Cezary Kowanda **Lotnisko w Modlinie: jak się będzie stąd latało**
47 Adam Grzeszak **Piramida z kryptowalutami**

Świat

50 Mateusz Mazzini **Gorączka południowej Europy**
53 Artur Domosławski ARGENTYNA **Cristina Fernández de Kirchner: liderka z balkonu**
56 Ziemowit Szczerek PODRÓŻE Z POLITYKĄ **Transylwania z bliska**

Nauka/projektpulsar.pl

60 Marta Alicja Trzeciak **Coraz młodsi chorują na raka**
63 **Brian Merchant** o tym, czego w czasach AI możemy się nauczyć od XIX-wiecznych luddystów
66 Agnieszka Krzemińska **Dolny Śląsk: zapomniane podobozy Gross-Rosen**

Historia

68 Adam Krzemiński **Era atomowa**
71 Tomasz Targański **Sicz Zaporoska: mit założycielski Ukrainy**

Kultura

78 Rozmowa z reż. **Bartoszem M. Kowalskim** o tym, jak się w Polsce kręci horrory
81 Piotr Sarzyński **Bill Viola: pionier sztuki wideo**
84 Małgorzata Sawa **Pop w kościele**
86 **Maciej Siembieda** o tym, jaki jest przepis na dobry kryminał
89 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97
- **„Seks" i hejt**
- **Dino na Wilanowie**
- **Spoceni i spoceńcy**
- **Turysta w muzeum**
- **Wakacje z winem**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
- **74** Afisz • **90** Orliński • **91** Koziołek
- **92** Chutnik i Plebanek
- **93** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!

Nasz tygodnik możecie teraz też nabyć w sklepach sieci Biedronka.
Polecamy się Państwa uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury!

eprasa.pl ad2f04fa8d

Ring wolny

Jerzy Baczyński

Andrzeja Dudę żegnamy z ulgą, Karola Nawrockiego witamy bez nadziei. Nowy prezydent już nawet nie udaje, że zamierza być „prezydentem wszystkich Polaków". Karol Nawrocki jasno określił, że jego głównym celem jest obalenie rządu; żadnym gestem nie okazał szacunku rywalowi ani jego wyborcom; a zaraz po inauguracji ma ruszyć w triumfalny objazd po kraju, co będzie zapewne niekończącym się spektaklem upokarzania pokonanych. Polska prezydentura, pomyślana w konstytucji jako gwarant ciągłości i spoistości państwa, uległa okrutnej degradacji. Dziś jest już tylko narzędziem walki politycznej i ideologicznej, mobilizowania jednej połowy elektoratu przeciw drugiej. Od czasów Aleksandra Kwaśniewskiego każdy kolejny „Najwyższy przedstawiciel Rzeczpospolitej" pozostaje jedynie półprezydentem pół-Polski. Ale wszystko wskazuje na to, że obecna wersja będzie jeszcze gorsza od poprzedniej.

> 6 sierpnia zaczyna się w polskiej polityce nowy etap, już nazwany wojennym.

Andrzej Duda, który kończył swoją 10-letnią kadencję serią żenujących, prowokacyjnych odznaczeń, ułaskawień, wypowiedzi, nigdy nie wyszedł z roli „długopisu Prezesa", lecz jako persona był bardziej śmieszny niż groźny; szkodził i bawił. Bez własnego zaplecza, kwalifikacji, bez charakteru – w sumie bez politycznego znaczenia. Karol Nawrocki, jeśli chodzi o doświadczenie polityczne, państwowe, a nawet kampanijne, był – w momencie wybrania go przez Jarosława Kaczyńskiego – jeszcze bardziej znikąd niż Andrzej Duda. To, że wygrał, pokazuje, jak groźnym przeciwnikiem jest Jarosław Kaczyński i jak sprawnym aparatem dysponuje. Oraz jak niezborny, nawet arogancki, okazał się „obóz demokratyczny". Kopiując Kaczyńskiego po wyborach 2023 r., Donald Tusk też nie dopuścił do jawnych rozliczeń po porażce (choć z jego ostatnich wypowiedzi można odczytać osobistą pretensję do Rafała Trzaskowskiego). Ale – już bez rozdzielania win – cały plan Tuska, zakładający domknięcie w wyborach prezydenckich „pokojowej rewolucji październikowej" 2023 r., legł w gruzach.

6 sierpnia zaczyna się w polskiej polityce nowy etap, już nazwany wojennym. Symbolicznie, naprzeciwko „wojennej kancelarii" Karola Nawrockiego staje – po personalnej rekonstrukcji – „bojowy rząd" Tuska z Sikorskim, Żurkiem, Kropiwnickim w pierwszym szeregu. Będą więc nowe bitwy w tej samej, toczonej już od dwóch dekad, wojnie o ustrój Polski, o praworządność, pozycję w Europie; o przyszłość, ale i interpretacje przeszłości. Demokratom wydawało się, że zwyciężyli w 2023 r.; teraz to prawica jest przekonana, że najpóźniej w 2027 r. przypieczętuje swój „ostateczny" triumf, bo z nową większością i z prezydentem Nawrockim jako jej patronem zmieni konstytucyjny porządek i wreszcie obali III RP. Jeśli nie formalnie, to obejściowo, za pomocą ustaw lub nawet bez żadnego trybu, co zapowiada Kaczyński. Wiemy już nawet z grubsza, jaka ma być taktyka prowadząca do owego „końca historii".

Karol Nawrocki, inaczej niż safandułowaty Andrzej Duda, zamierza nie tylko paraliżować rząd, wetując ważne dla koalicji ustawy, ale i agresywnie go nękać przede wszystkim poprzez własne inicjatywy ustawodawcze. Zapewne większość projektów (jak podwojenie kwoty wolnej od podatku) będzie pobierana wprost z programów i obietnic partii tworzących dziś większość rządową; niech odrzucają własne pomysły albo niech się skłócą. Tusk ostrzegł Nawrockiego, że „nie pozwoli mu politycznie demolować rządu", ale po prawdzie niewiele tu zależy od premiera, a wszystko od lojalności i wewnętrznej odporności koalicjantów. Tu pierwszym celem kampanii Nawrockiego/PiS będzie zapewne najsłabsze ogniwo układu rządowego, czyli osobiście Szymon Hołownia i jego krusząca się Polska 2050. Na lewicę (oczywiście bez partii Razem) i na PSL Kosiniaka-Kamysza premier zapewne może liczyć, ale liderzy muszą mieć dobrze przegadaną wspólną sejmową i medialną odpowiedź na wrzutki prezydenta.

Poważne spięcia szykują się w obszarze, gdzie prezydent ma pewne realne kompetencje, czyli w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa. Tu może „dokuczać rządowi" (jak mówi Tusk) na różne sposoby, także poprzez samodzielne, nieuzgodnione z właściwymi ministrami akcje wobec sojuszników w NATO lub Unii Europejskiej. Niewykluczone, że doczekamy się powtórki ze słynnej „wojny o krzesła", toczonej kiedyś między Donaldem Tuskiem i Lechem Kaczyńskim. Nadzieja w tym, że znajdą się jacyś ludzie w otoczeniu Nawrockiego, którzy odradzą mu takie eskapady na terytoria kompletnie mu nieznane (nawet nieprzyjazne, jak zapewne w Brukseli), ustrzegą przed publicznymi konfrontacjami z Sikorskim i Tuskiem.

Najlepiej, gdyby sam prezydent uznał, że kwestie bezpieczeństwa i międzynarodowej pozycji Polski warto wyłączyć z bieżącego sporu, lecz to mało prawdopodobne. Nawrocki jest politycznym nowicjuszem, ale mentalnym radykałem, teraz zapewne dodatkowo nakręconym euforią wygranej, poczuciem mocy. Pisaliśmy, że 1 czerwca Polacy wybrali konflikt i polityczny show. Jak wybraliśmy, tak będziemy mieli. Zaczynamy po 6 sierpnia.

eprasa.pl ad2f04fa8d

Albatros travel

Cypr – wyspa Afrodyty

NOWOŚĆ

Wyrusz w słoneczną i pełną wrażeń podróż na Cypr – mityczną wyspę Afrodyty, gdzie czeka bogata kultura, urokliwe wioski i wyśmienita kuchnia.

Program wycieczki: Dz. 1 Przylot do Larnaki. Przejazd autokarem do Pafos. **Dz. 2** Wycieczka po Pafos – kultura, klasztory i kulinarne przyjemności. **Dz. 3** Dwa światy: Lefkara i podzielona Nikozja – przeszłość i teraźniejszość (wycieczka fakultatywna). **Dz. 4** Skarby Limassol, wino Commandaria i miejsce narodzin Afrodyty (wycieczka fakultatywna). **Dz. 5** Góry Troodos - wycieczka do serca Cypru. **Dz. 6** Famagusta i opuszczone miasto-widmo Varosha (wycieczka fakultatywna). **Dz. 7** Relaks w hotelu. **Dz. 8** Wylot do Polski z Larnaki.

8 dni
Wylot z Warszawy
09/11 2025, 07/03 2026

od **5.998,-**

2 posiłki dziennie

Sylwester i Nowy Rok

Dzień dobry Wietnam!

Poznaj tętniące życiem miasto Ho Chi Minh (dawny Sajgon), tunele Cu Chi, Deltę rzeki Mekong, a następnie przez 5 dni odpoczywaj na plaży w Mui Ne.

Naszą przygodę z Wietnamem rozpoczniemy w Ho Chi Minh (dawny Sajgon), gdzie wibrujące życie uliczne przenika się z francuskim, kolonialnym klimatem. Kolejny punkt programu to zwiedzanie słynnych tuneli Cu Chi, znanych z wojny Wietnamskiej. Następnie w Delcie rzeki Mekong czeka nas wizyta na lokalnym targu, warsztaty kulinarne oraz wycieczka łodzią do wioski garncarzy. Stąd udamy się na wschód do Mui Ne, gdzie 5 dni spędzimy w 4-gwiazdkowym hotelu.

Podczas pobytu będzie czas zarówno na wypoczynek jak i na uczestnictwo w wielu wycieczkach.

14 dni | Wyloty z Warszawy 29/12 2025, 02/02 2026 | od 9.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL30**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl ad2f04fa8d

Asystent w potrzasku

„Przeciętne państwo natowskie wydaje na zbrojenia 2,5 proc., a my musimy 5 proc. 1 proc. to ponad 40 mld zł. Czyli te 2 proc. więcej, które musimy wydać jako kraj najbardziej zagrożony, to 80 mld zł, których w tej chwili nie mam na innego typu projekty" – ogłosił w trakcie niedawnego wystąpienia w Pabianicach Donald Tusk, odnosząc się do ustawy o asystencji oczekiwanej przez środowisko osób z niepełnosprawnościami. Słowa premiera zostały przyjęte z oburzeniem, od razu pojawiły się skargi, że to kolejny niezrealizowany, a zapowiedziany w „100 konkretach" pomysł, ważny dla setek tysięcy osób. Kilka dni później na antenie TVN24 premier próbował tonować nastroje, podkreślił, że „projekt ustawy o asystencji jest" i „będziemy go wprowadzać. (…) Ostrożnie".

Trudno jednak zaprzeczyć, że ustawa w rządzie utknęła, bo jest droga: na przestrzeni dekady ma kosztować 80 mld zł, czyli równowartość 2 proc. PKB, które premier musi dołożyć do obronności. System asystencki, nakreślony w projekcie, ma być więc wprowadzany stopniowo, rozpędzać się z roku na rok. Najpierw do kolejki oczekujących na wsparcie – w wymiarze od 20 do 240 godz. miesięcznie – mają być zapraszane osoby najbardziej potrzebujące. W kolejnych etapach projekt ma objąć pomocą także dzieci i nastolatki z niepełnosprawnościami.

– *Całą pomoc oprzemy na systemie teleinformatycznym, który sprawi, że unikniemy niepotrzebnej biurokracji, chodzenia z dokumentami od urzędu do urzędu* – tłumaczy Łukasz Krasoń, pełnomocnik rządu ds. osób z niepełnosprawnościami. I dodaje: – *Tu nie chodzi o prosty transfer finansowy. W krajach, w których podobne systemy wsparcia wprowadzono, nastąpił ogromny skok aktywności zawodowej i społecznej osób z niepełnosprawnościami, a także ich opiekunów, rodziców. Oceniamy, że kilkadziesiąt procent kosztów tej ustawy wróci potem do budżetu państwa.*

Majowy protest osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów przed KPRM

Minister Krasoń liczy, że projekt ustawy o asystencji trafi we wrześniu do Komitetu Stałego Rady Ministrów, a później do Sejmu. Czy tak się stanie, będzie zależeć od inicjatywy i przekonania samego premiera, a także ministra finansów, który zgłosił do projektu wiele uwag. Z kolei większość sejmowa – jak przekonuje Krasoń – jest pewna. (AGSZCZ)

Zawieszony, odwołany

29 lipca Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji jednogłośnie podjęła uchwałę w sprawie odwołania **Macieja Świrskiego** z funkcji przewodniczącego. Za jego odwołaniem głosowały więc także **Agnieszka Glapiak**, Hanna Karp i Marzena Paczuska – wszystkie wybrane do rady przez prawicę. Bezpośrednim powodem tej decyzji było przyjęcie przez Sejm 25 lipca wniosku o postawienie Świrskiego przed Trybunałem Stanu, co skutkowało automatycznym zawieszeniem w pełnieniu funkcji w KRRiT. Sytuację próbował wprawdzie jeszcze ratować politycznie podporządkowany PiS Trybunał Konstytucyjny, ale jak widać, już nawet osoby związane z partią Kaczyńskiego nie biorą jego orzeczeń na poważnie.

Nieodwołanie Świrskiego mogłoby doprowadzić do wstrzymania działania całej rady. Przewodniczący bowiem jako jedyny posiada szereg uprawnień i kompetencji, bez których organ nie może funkcjonować.

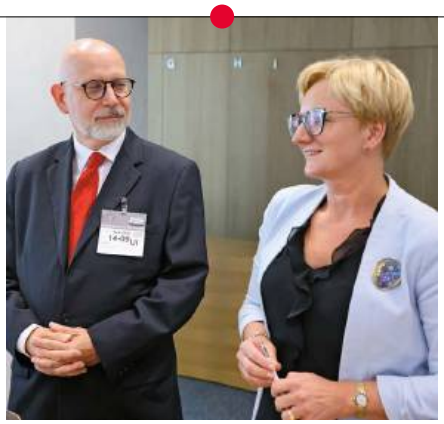

Z okolic KRRiT słychać głosy, że to była jedna z motywacji osób związanych z PiS do takiego głosowania. Miały się one obawiać, że wstrzymanie działania konstytucyjnego organu, który posiada szereg istotnych uprawnień (np. przyznawanie koncesji), mogłoby posłużyć rządzącym jako pretekst do większych zmian w radzie.

Drugim z powodów miał być charakter Świrskiego i sposób zarządzania przez niego działaniami rady. Prof. Tadeusz Kowalski, członek KRRiT mianowany przez Senat, mówił w TOK FM, że irytowało to nawet członków rady powołanych przez PiS. Świrski miał ograniczać im dostęp do dokumentów, podejmować decyzje jednoosobowo, był arogancki. Coraz mniejszy był też wpływ PiS na jego działania, podobno miał przekonywać, że „Jarosław Kaczyński nie zna się na prawie".

A co po Świrskim? Nową przewodniczącą KRRiT została Agnieszka Glapiak. To bliska współpracowniczka Mariusza Błaszczaka. Ma postawione zarzuty za udział w ujawnianiu fragmentów planów obronnych Polski z czasów pierwszych rządów PO. Zakładały one, że w przypadku ataku ze wschodu w jednym z wariantów Polska miałaby się bronić na linii Wisły. PiS instrumentalnie wykorzystywał to w kampanii wyborczej w 2023 r.

Czy wybór Glapiak wpłynie negatywnie na działania KRRiT? Niekoniecznie. W radzie aktualnie są cztery osoby, które mogą w niej aktywnie działać. Jednak przepisy skonstruowane są w ten sposób, że po zawieszeniu Świrskiego rada, aby podjąć uchwałę, musi być jednogłośna. Oznacza to, że każda z osób ma głos blokujący. To z kolei może zmusić członków do współpracy i paradoksalnie przysłużyć się całej radzie i rynkowi medialnemu. (MCzapl.)

© ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, KAPIF

eprasa.pl ad2f04fa8d

Zderzak z fachowca

Karolina Lewicka
Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

Casus Adama Bodnara powinien dać do myślenia tym wszystkim bezpartyjnym fachowcom, którzy w przyszłości rozważać będą jakąś rządową posadę. Bo cnotę można stracić, a rubla nie zarobić. Zdymisjonowany z zaskoczenia, gdy premierowi w ostatnich dwóch tygodniach przed rekonstrukcją udało się raptem znaleźć jego następcę, niewspomniany w trakcie konferencji o zmianach w rządzie, z wymuszonymi podziękowaniami, raczej mającymi charakter prztyczka w prezydencki nos i na ostatek ostro skrytykowany przez posła Sienkiewicza. Niech ma się na baczności Waldemar Żurek, którego teraz wychwalają pod niebiosa, wszak niewykluczone, że i on będzie występował w roli zderzaka.

Rządowe posady kuszą i nęcą, bezpartyjnym fachowcom wydaje się, że zmienią rzeczywistość na lepsze, ale na to nigdy nie pozwala logika polityczna. Jak to kiedyś szczerze ujął Radosław Fogiel: był czas, kiedy zatrudnialiśmy ekspertów, ale że ci nie chcieli realizować programu PiS, to przestaliśmy. Wiedza, dorobek i autorytet są też niewystarczające w obliczu braku partyjnej legitymacji. Z takiego zresztą ministra, jak to ujęła Anna Maria Żukowska, „bez pleców" łatwiej się robi kozła ofiarnego, bo nikt po nim płakać nie będzie. Upiorem wraca tutaj tekst Mieczysława Rakowskiego z łamów POLITYKI: „Dobry fachowiec, ale bezpartyjny".

Bodnar stał się mimowolnym zakładnikiem narracji Donalda Tuska z kampanii wyborczej o szybkich rozliczeniach oraz erupcji niezadowolenia – po tegorocznej przegranej Rafała Trzaskowskiego – twardego elektoratu KO. Jak memento brzmią jego słowa z książki „Nigdy nie odpuszczę", kiedy pytany o wolę objęcia stanowiska ministra sprawiedliwości, odparł, że „wszedłby w to", bo „trzeba wykorzystać dla dobra Polski zaufanie, jakie się przez lata zyskało w różnych środowiskach". Dziś te „środowiska" są w pretensjach. Adam Bodnar za to na pewno liczyć może na pamięć mściwego PiS.

Bezpartyjnym fachowcom przychodzi się także konfrontować z nagłymi woltami politycznych przełożonych. Czy Maciej Duszczyk, który właśnie sam odchodzi z MSWiA, mógł się spodziewać, że premier, mówiący w kampanii tym samym co on językiem o sytuacji na granicy polsko-białoruskiej („bezpieczeństwo nie wyklucza humanitaryzmu"), nagle zmieni płytę na prawicową? I cóż wtedy? Jeśli wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one. Tylko jak się potem odnaleźć po eksperckiej stronie?

Politycy bez sentymentu i bez szacunku wykorzystują bezpartyjnych fachowców. Można się nimi wizerunkowo podbudować, np. ogłaszając „odpolitycznienie" resortu zdrowia i stawiając na jego czele doświadczoną menedżerkę. Nominacji winszuję, ale nie zazdroszczę. Bez dostępu do ucha szefa rządu, bez żadnej politycznej wagi oraz przy braku woli i mocy rządzących do przeprowadzenia koniecznej – kompleksowej! – reformy ochrony zdrowia, jest to straceńcza misja. A jako nagroda pocieszenia: dożywotnia w polskiej tradycji polityczno-publicystycznej pamięć o sprawowanej, choćby i krótko, funkcji ministerialnej. Efekt jest taki, że bezpartyjni fachowcy bez ryzykanckiej natury i apetytu na krótkotrwały splendor czy też niezabiegający cynicznie o wpis do CV, który ich potem zbuduje rynkowo, raczej będą się trzymać od rządowych posad z daleka. Ze szkodą dla kraju.

Celebrytka urządza nagonkę

Monika Richardson, niezadowolona z faktu, że musiała zapłacić 1852 zł za nieudaną próbę ratowania jej spaniela Paco, postanowiła „dowalić" lekarzom weterynarii, kierując pod ich adresem niewybredne oskarżenia. Zaczęła delikatnie, od „braku przyzwoitości" i „zamiany pacjenta na klienta, a opisu leczenia na raport sprzedaży". Opublikowała w mediach społecznościowych nazwę kliniki, nazwisko i zdjęcie dyrektora medycznego oraz zestawienie kosztów leków i procedur, które stosowano u jej – jak pisze – „przyjaciela i członka rodziny". Tyle że jedną z pozycji widocznych na rachunku była „kremacja komunalna". Czyli Richardson swojego „członka rodziny" oddała do utylizacji. To wzbudziło niesmak i sprowokowało złośliwe komentarze o rzeczywistych intencjach celebrytki.

Bo mimo że takie historie z reguły nakręcają falę hejtu na weterynarzy, wiele osób wypowiadało się merytorycznie na temat cen usług weterynaryjnych. Nikt nie zaprzeczył, że jest drogo. Podawano jednak znacznie wyższe sumy, jakie trzeba było zapłacić za ratowanie zdrowia i życia pupili. Kilkanaście tysięcy za ortopedyczne operacje. 8–10 tys. zł za nagłe wypadki, np. operację skrętu żołądka u dużego psa w całodobowej klinice, której wyposażenie często nie odbiega od szpitala powiatowego. Wielu komentujących porównywało ceny procedur weterynaryjnych do kosztów zabiegów medycznych, bez refundacji. Bo dlaczego leczenie zwierzęcia miałoby być tańsze? W weterynarii często diagnostyka jest dużo szersza, zwierzę nie powie przecież, co mu dolega.

Nie doczekawszy się zrozumienia, a tym bardziej współczucia, Richardson brnęła dalej. W kolejnym poście napisała o lekarzach weterynarii: „To zorganizowana szajka, która nie cofnie się przed niczym". I: „Otwórzcie oczy: chodzi o kasę!!! Ci ludzie są gotowi przyjść pod mój dom". Potem w nagraniu na YouTube kontynuowała kwestię cen i weterynaryjnych marży. Za „manipulację" uznała twierdzenie, że „zawód weterynarza jest narażony na samobójstwa". Bo inne zawody też mają swoje ciemne strony, przekonywała. Np. dziennikarze i piloci są narażeni na alkoholizm...

Krajowa Izba Lekarsko-Weterynaryjna wydała w tej sprawie oświadczenie. Weterynarze domagają się zaprzestania pomówień i przeprosin. (AS)

eprasa.pl ad2f04fa8d

Dzień Ponownego Wyzwolenia

Nowy świat miał się zacząć 1 sierpnia, ale **Donald Trump** wszystko przełożył na 7 sierpnia. Wtedy zaczną obowiązywać rozporządzenia (a nie ustawy, co będzie ważne), za pomocą których prezydent USA wprowadza nowe, wyższe taryfy na import do Ameryki z 69 państw świata. Już raz to zrobił, 2 kwietnia, w tzw. Dzień Wyzwolenia, ale wówczas giełdy się zatrzęsły i się wystraszył. Na tym nowym początku najgorzej wyszły Syria (cło na poziomie 41 proc.), Mjanma i Laos (po 40 proc.). Dla nas ciekawym przykładem jest Szwajcaria, gdzie 39-procentowa stawka wywołała kryzys polityczny i stała się przestrogą, jak Trump mógłby potraktować np. Polskę, gdyby nie należała do Unii Europejskiej. Bruksela już wcześniej wynegocjowała z Amerykanami 15-procentową taryfę, do której dołożyła również zobowiązania do zakupu w USA nośników energii i broni za określoną sumę oraz zainwestowania konkretnych pieniędzy za oceanem, choć pojawiają się wątpliwości, jak miałaby to zrobić. Jak zmusić prywatny biznes do takich ruchów?

Dwa przypadki są symptomatyczne. Po pierwsze, Kanada. Już się wydawało, że jest porozumienie i stawka podstawowa na poziomie 25 proc., gdy premier Mark Carney zapowiedział uznanie państwa palestyńskiego na wrześniowym szczycie ONZ. A jak tak, stwierdził Trump, to podwyższamy stawkę do 35 proc. Drugi przypadek to Brazylia. Tam już Trump nawet nie próbuje ekonomicznie uzasadniać 50-procentowej stawki, tylko wprost domaga się w zamian za niższe cło zatrzymania procesu swojego politycznego kumpla, byłego prezydenta Jaira Bolsonara, oskarżonego o przygotowywanie zamachu stanu.

Trump ostatecznie odpuścił państwom z Azji Południowo-Wschodniej. Wietnam uzyskał obniżkę z 46 do 20 proc., Kambodża i Tajlandia – z 36 do 19 proc. Taka „promocja" może być elementem gry z Chinami, z którymi negocjacje w sprawie taryf buksują, ale mają się zakończyć do 12 sierpnia. Generalnie państwa, które mają nadwyżkę w handlu z USA, dostały stawki 15 proc. plus. A te z deficytem – 10 proc.

Wszystkie te liczby ładnie wyglądają na papierze (i na platformie X), ale negocjacje handlowe to złożona sprawa, a poza stawkami podstawowymi jest jeszcze wiele do wynegocjowania: kontyngenty, specyfikacja towarów, wyłączenia. Wszystko to może potężnie zaciążyć na ostatecznym kształcie relacji handlowych. No ale tym już Trump nie będzie się zajmował. A jest jeszcze problem z rozporządzeniami. W normalnym trybie nowe taryfy musi zaakceptować Kongres. Jest jednak furtka, która pozwala prezydentowi USA nałożyć je samemu w przypadku zagrożenia bezpieczeństwa narodowego. Trump twierdzi, że takowe występują ze względu na wysoki – jego zdaniem – deficyt handlowy Ameryki. Zapewne nie o to chodziło ustawodawcy, sprawa jest w sądach.

ŁUKASZ WÓJCIK

Palestyna: krok w przód, krok w tył

Symboliczny gest czy realna zmiana? Zapowiedź uznania Palestyny jako państwa przez Francję, Wielką Brytanię, Kanadę i Portugalię na wrześniowej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku rozpaliła międzynarodową debatę. Podobny krok rozważa kilka innych państw, choć Niemcy ogłosiły, że zrobią to raczej na końcu procesu, jakim powinno być natychmiastowe podjęcie prac nad rozwiązaniem dwupaństwowym. Tu jednak jest zasadniczy problem – Izrael pod przywództwem prawicy nie chce o tym nawet słyszeć. Co więcej, podobnie myśli 80 proc. Izraelczyków, którzy nie wyobrażają sobie istnienia państwa palestyńskiego. Dlatego reakcja jest chłodna – zapowiedzi uznania Palestyny izraelskie ministerstwo spraw zagranicznych nazwało „prezentem dla Hamasu", co ma szkodzić wysiłkom na rzecz zawieszenia broni w Strefie Gazy i porozumienia w sprawie uwolnienia zakładników.

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że obie strony dolewają oliwy do ognia. W niedzielę na Wzgórzu Świątynnym modlił się skrajnie prawicowy minister Itamar Ben-Gwir, łamiąc zasadę, że niemuzułmanie nie mogą tu tego robić. Jeśli dodać otwarte wezwania żydowskich osadników do ponownej okupacji całej Strefy Gazy i wydalenia stamtąd 2 mln mieszkańców, trudno mówić o szukaniu porozumienia. Hamas próbuje wywrzeć większą presję na Izrael, w ostatnich dniach publikując nagrania dwóch przetrzymywanych zakładników. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to wychudzone ciała Roma Braslawskiego i Ewjatara Dawida i ich przejmujące apele o uwolnienie skierowane do izraelskiego premiera. Czy to jednak wystarczy, by go zmiękczyć?

Hamas już zapowiedział, że będzie walczyć do samego końca, czyli powstania państwa palestyńskiego. Widać jednak, że cierpliwość wobec tej organizacji traci też świat arabski – w zeszłym tygodniu pod deklaracją po raz pierwszy potępiającą Hamas za atak 7 października, wzywającą do jego rozbrojenia

Próg 16 lat

W Australii nabiera kształtu pierwszy na świecie zakaz korzystania z serwisów społecznościowych przez osoby poniżej 16. roku życia. Cyfrowa prohibicja ruszy 10 grudnia. Według rządu trzeba chronić zdrowie psychiczne dzieci i nastolatków oraz ich dobre samopoczucie. Tymczasem w sieci są wiedzione przez algorytmy – nastawione na komercję i mogące prowadzić do szkodliwych lub niebezpiecznych treści. Do listy zagrożeń – w tym Facebooka, Instagrama, Snapchata i X – dopisano właśnie YouTube. Z jednej strony pozostaje miejscem udostępniania nagrań, także o charakterze edukacyjnym, ale z drugiej podsuwa samoodtwarzające się krótkie wciągające filmy. Z formatem dostosowanym do wielkości ekranu telefonu i regularnymi dawkami dopaminy dla widzów.

Najmłodsi obywatele nie będą mogli zakładać kont w tych serwisach, konta istniejące czeka likwidacja. Właściciele platform będą zobligowani do podjęcia „rozsądnych kroków" pozwalających m.in. ustalać wiek użytkowników i eliminować możliwości obchodzenia zakazu. Niesolidnym

eprasa.pl ad2f04fa8d

i wykluczenia z zarządzania Palestyną po wojnie podpisały się m.in. Arabia Saudyjska, Egipt, Jordania i Katar. Wezwano też Hamas do przekazania broni Autonomii Palestyńskiej.

Do rzeczywistego powstania Palestyny same deklaracje nie wystarczą. Mimo że do tej pory Palestynę uznało ponad 140 państw na świecie, co ma znaczenie symboliczne i polityczne (m.in. możliwość zawierania traktatów międzynarodowych i członkostwa w organizacjach), w praktyce nie tworzy to suwerennego państwa, kontrolującego własne granice wokół własnego terytorium. Od 1967 r. Izrael okupuje Zachodni Brzeg Jordanu, sprawując kontrolę nad znaczną jego częścią, teraz być może przymierza się do tego samego w Gazie. Oczywiste jest więc, że Palestyna potrzebuje dziś o wiele więcej niż symbolicznych gestów.

AGNIESZKA ZAGNER

Xi, ojciec Xi

Xi Zhongxun (1913–2002), ojciec przewodniczącego **Xi Jinpinga** (na fot. z lewej, obok niego młodszy brat Xi Yuanping), był pięciokrotnie poddawany czystkom i odstawkom, siedział w więzieniu, przeżył tortury, był poniżany i publicznie sądzony przez tłum fanatyków podczas rewolucji kulturalnej, jedna z jego córek popełniła wówczas samobójstwo, a żona, żeby przetrwać, wyparła się go. Pochodzący z ubogiej wsi (dwie siostry zmarły z głodu), związany z ruchem komunistycznym odkąd miał 14 lat, za każdym razem otrzepywał się i kiedy sprzyjały okoliczności, wracał na szczyt (w latach 80. – jako reformator u boku Hu Jaobanga). Jego fascynująca biografia, która właśnie się ukazała, pierwsza tak obszerna i sięgająca do oryginalnych źródeł, pióra Josepha Torigiana, profesora Stanfordu i American University w Waszyngtonie, znalazła szeroki rezonans. Bo drogi życiowe ojca Xi to historia komunistycznych Chin w pigułce; zawsze był na pierwszej linii tam, gdzie działy się przełomowe rzeczy. A w podtekście pada tu najważniejsze pytanie: jak te dramatyczne doświadczenia ukształtowały młodego Xi, dziś bodaj najsilniejszego przywódcę na świecie, który zapewnił sobie bezterminową władzę w liczących 1,4 mld ludności Chinach. Ma uśmiech Mony Lisy i pozostaje wielką enigmą. W istocie niewiele o nim wiemy, wszystko starannie filtruje państwowa propaganda.

Wcześnie został współuczestnikiem opisywanych wydarzeń. Dorastał jako jeden z „czerwonych książąt" w Pekinie, na zamkniętym osiedlu dla partyjnych notabli. Mając 13 lat, z czapką hańby na głowie jako syn wroga ludu trafił pod osąd mas, później na siedem lat został wysłany na reedukację na głęboką wieś, gdzie mieszkało się w jaskiniach (z czasem koledzy ojca pomogli i udało się złagodzić warunki zesłania). Później otrzepał się i zaczął piąć w górę, a partyjna kariera syna nabierała tempa, kiedy ojciec wracał do łask.

Skąd u obu ta żelazna wiara w partię? Zdaniem Torigiana wzięła się z bolszewickiego przekonania, że dopiero przeciwności losu wykuwają prawdziwe przywiązanie do ideałów. Autor podkreśla absolutne podporządkowanie młodego Xi ojcu, aż do późnej dorosłości. Z jednym wyjątkiem: ojciec wielokrotnie obrywał za liberalne odruchy i mogło się wydawać, że syn też pójdzie drogą reform, antydogmatyzmu, wbudowywania demokratycznych bezpieczników, aby nie mógł się powtórzyć kult jednostki. Tymczasem młody Xi od początku postawił na twardy kurs i wyrósł na największego po Mao Zedongu autokratę. Wdraża metodyczny, przemyślany plan górowania nad światem, zamiast gorączki i chaosu epoki Mao. Tak konstatuje Torigian, tytułując książkę o obu Xi: „Najważniejszy jest interes partii".

firmom – i tylko im – grożą kary do równowartości 120 mln zł. O pójściu śladem Australii myśli Nowa Zelandia, za podobnymi przepisami optuje także izba wyższa parlamentu w Pakistanie.

Coraz powszechniej ukończenie 16. roku życia uznawane jest za przekroczenie progu obywatelskiej samodzielności. Rządząca w Wielkiej Brytanii Partia Pracy chciałaby właśnie do tego poziomu obniżyć wiek czynnego prawa wyborczego. Takie zasady obowiązują w tzw. dependencjach korony brytyjskiej, czyli na wyspach Man, Jersey i Guernsey, oraz w wyborach do parlamentów Szkocji i Walii. Podobnie jest w nielicznych krajach Europy (np. od prawie dwóch dekad w Austrii) i dość powszechnie w Ameryce Łacińskiej.

Sprawa wydaje się przesądzona. Partia Pracy ma większość w Izbie Gmin, a Izba Lordów co do zasady powstrzymuje się od torpedowania polityki rządu. Trwa oczywiście dyskusja.

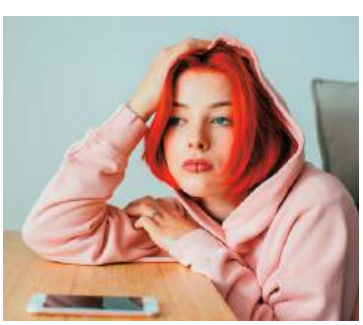

Argumenty za: w wieku 16 lat wygasa obowiązek szkolny, można podjąć pracę, płacić podatki i wstąpić do armii. Zwolennicy pozostawienia spraw po staremu odpierają, że dopiero po 18. urodzinach ma się bierne prawo wyborcze, można wejść w związek małżeński, trafić na front, kupić los na loterii, papierosy i alkohol.

Chodzić ma też o przyciągnięcie nastolatków do polityki, by reanimować słabnącą frekwencję i podbudować blednące zaufanie do instytucji demokratycznych. Są i pewne nadzieje taktyczne, choć pewnie wiele zależy od tego, z czym młodzi stykają się na ekranach swoich telefonów. Partia Pracy obstawia, że mają przekonania raczej lewicowe. Jednak młodym też podobają się skrajnie prawe skrzydła, w Wielkiej Brytanii reprezentowane przez prowadzącą w sondażach radykalną Reform UK. Poprzednie obniżanie pułapu (w 1969 r. – z 21 lat do 18) też było inicjatywą lewicy, która następne wybory przegrała.

© KEVIN CARTER/GETTY IMAGES, HATEM KHALED/REUTERS/FORUM, STANFORD UNIVERSITY PRESS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ad2f04fa8d

Prezydent Andrzej Duda i prezydent elekt Karol Nawrocki podczas koncertu „Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki"

Prezydent
nie wszystkich Polaków

© ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl ad2f04fa8d

Pojawił się znikąd i trafił na szczyt. To będzie zapewne najbardziej konfrontacyjna prezydentura ze wszystkich dotychczasowych, której skutkiem może być paraliż państwa. Tylko czy Karol Nawrocki faktycznie jest mocarzem, na jakiego pozuje?

RAFAŁ KALUKIN

Kiedy dekadę temu trzeciorzędny polityk PiS Andrzej Duda wprowadzał się do Pałacu Prezydenckiego, mogło się wydawać, że bardziej przewrotnego scenariusza życie polityczne już nie byłoby w stanie napisać. Ale w tym roku poprzeczka została podniesiona, gdyż kolejną głową państwa został człowiek, który nigdy wcześniej nie miał z polityką do czynienia. Przynajmniej w jej zasadniczym znaczeniu: nie pełnił politycznych stanowisk, nie został nigdzie wybrany.

I co więcej, Karol Nawrocki także w kampanii nie ujawnił szczególnych ku temu kwalifikacji. W tych stosunkowo rzadkich momentach, kiedy nie musiał się tłumaczyć ze swojej pokrętnej przeszłości, ograniczał się do wygłaszania sztywnych ideologicznych formułek. Wygrał dzięki głosom sprzeciwu wobec rządzącej koalicji, co również jest regresem wobec Dudy, który w swojej pierwszej kampanii potrafił narzucić w miarę pozytywny przekaz; czym zmylił nawet niby wytrawnych komentatorów. Tak nietypowo zrodzona prezydentura musi przynieść niemało zaskoczeń. Nawet jeśli sam Nawrocki wydaje się już nieźle sprofilowany i mniej więcej wiadomo, czego się po nim na razie spodziewać.

Co tak naprawdę o nim wiemy? Jest skrajnie prawicowym radykałem, który wyrósł z bojówkarskich środowisk, a następnie realizował ideologiczną namiętność jako zaangażowany historyk. Jego wielka kariera jest jednak przypadkowa. Kolejne awanse zawdzięczał głównie temu, że znajdował się pod ręką w odpowiednim miejscu i czasie. Najpierw kiedy potrzebny był w Gdańsku ktoś z wykształceniem historycznym i słusznymi poglądami, żeby spacyfikować Muzeum II Wojny Światowej, co później otworzyło Nawrockiemu drogę do prezesury w IPN, a następnie do zarządzonego przez Jarosława Kaczyńskiego prezydenckiego castingu. Wskazany głównie dlatego, że jako niepartyjny nie naruszał układu sił w PiS, ale raczej nie pod kątem zdobycia wielkiego pałacu. W kampanii niczym zresztą nie błysnął, to nie dzięki niemu nagle zerwały się radykalne wiatry, chociaż to on z nich skorzystał. Trochę więc reinkarnacja nieśmiertelnego Nikodema Dyzmy, tyle że z poglądami.

Jako prezydent elekt zerwał z tradycją poprzedników, którzy po wygranej kampanii starali się wyciągać rękę do wyborców swojego rywala. Tego wymagał od nich ugruntowany wzorzec „prezydenta wszystkich Polaków". Osłabienie antagonizmu wzmacnia nowo budowany ośrodek prezydencki, gdyż pojednawcze gesty nowej głowy państwa trudno jest przeciwnikom kwestionować bez narażania się na zarzut małostkowości bądź złej woli. Jednak Nawrocki nie pozostawił wątpliwości, że jego celem pozostaje ostra konfrontacja, a może też przy okazji osobista wendeta. Głównie za kampanię, w której wyciągnięto mu szereg biograficznych haków, chociaż mogły też na jego postawę wpłynąć próby zakwestionowania prawomocności wyniku wyborów.

Parokrotnie więc zdążył już powtórzyć pogląd głoszony w kampanii, że Donald Tusk jest „najgorszym premierem III RP" oraz „kłamcą". Nie pozostawiając złudzeń, że w ogóle myśli o budowaniu z kimś takim relacji. Mówił w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej": „Jako historyk wiem jednak, że po każdej wojnie przywódcy muszą usiąść do stołu i – niezależnie od tego, co wydarzyło się na froncie – podpisać rozejm. Nie mówię tym samym, że zamierzam podpisać z Donaldem Tuskiem rozejm, ale myślę, że są sprawy, w których mogę mu pomóc".

Z pokrętnej wypowiedzi w sumie jasno wynika, że nadchodzi prezydentura wojenna. Na pytanie, czego ma dotyczyć oferowana pomoc, Nawrocki wręcz pławi się w obłudzie, deklarując rządowi wsparcie w... podwojeniu kwoty wolnej od podatku i innych niezrealizowanych obietnicach KO z 2023 r., na które nie ma miejsca w napiętym budżecie. A jeśli takie projekty nie trafią na prezydenckie biurko, Nawrocki sam je napisze.

Pewnie ekipa Tuska sama się o to prosiła, chociaż nie bardzo wiadomo, jak pogodzić takie zapowiedzi z deklarowaną przez prezydenta na wskroś patriotyczną troską o państwo, którego finansową stabilność tak łatwo chciałby narazić w celu zniszczenia politycznego wroga. Pytany o pokrycie swoich propozycji, wskazuje lukę budżetową, czyli wpływy iluzoryczne. Z tupetem dodając, że z tych pieniędzy należałoby też sfinansować jego własne postulaty z kampanii. Tylko dlaczego rząd miałby się skupiać na realizowaniu obietnic prezydenta, który nie ukrywa swoich konfrontacyjnych zamiarów?

Uzurpując sobie prawo do narzucania rządowi agendy, Nawrocki być może uzbraja się jednak w argument pozwalający mu wetować nawet obiektywnie słuszne i wyjęte spod logiki politycznego konfliktu projekty rządowe. W końcu zawsze przecież można znaleźć jakieś słuszniejsze. W tej mierze populistyczna wyobraźnia jest akurat nieograniczona i zawsze wygrywa z poczuciem odpowiedzialności bądź ze zdrowym rozsądkiem. Ale taka polityka musi prowadzić do paraliżu państwa.

Najwięcej zagrożeń dotyczy jednak polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Tutaj bowiem konstytucja ustanowiła najbardziej konfliktogenne obszary koabitacji, czego jej twórcy nie potrafili należycie ocenić, gdyż w ich epoce panowała jednomyślność co do zasadniczych wyborów strategicznych. Pierwsze symptomy jej rozkładu unaocznił dopiero konflikt premiera Donalda Tuska z prezydentem Lechem Kaczyńskim w latach 2007–10, czyli m.in. pamiętna „wojna o krzesło", ale też spory o amerykańską tarczę antyrakietową oraz relacje z Rosją w czasach resetu.

I chociaż już wtedy polityka zagraniczna bywała przez obie strony instrumentalizowana w wewnętrznej rozgrywce, wciąż można było mówić o dwóch czytelnych orientacjach, które opierały się na odmiennym rozumieniu polskiego interesu. Celem Tuska była modernizacja na bazie integracji europejskiej, podczas gdy Kaczyński dążył do stworzenia systemu zabezpieczeń ▶

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ przed ekspansją rosyjską. Obie opcje były uprawnione i może nawet dałoby się je pogodzić – wszak zagrożenie rosyjskie okazało się bardzo realne – gdyby na przeszkodzie nie stanął ostry konflikt polityczny.

Ale dzisiaj to już niestety nie jest możliwe. Po Smoleńsku proeuropejski kurs Tuska został podniesiony w oczach prawicy do rangi narodowej zdrady, co rządzący później PiS uczynił głównym argumentem w zwalczaniu opozycji. Finalnie uciekając się do odtajnienia wojskowych materiałów operacyjnych, które miały dowodzić, że Tusk chciał oddać Rosjanom pół Polski. I chyba nieprzypadkowo na czele prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego staje właśnie odpowiedzialny za tamten skandal Sławomir Cenckiewicz, skądinąd już oskarżony o ujawnienie tajemnicy państwowej.

Ale na przeszkodzie do wynegocjowania wspólnych kierunków polityki zagranicznej w jeszcze większym stopniu stoi ideologiczne pęknięcie całej wspólnoty Zachodu i mocno już zaawansowany rozpad relacji transatlantyckich. O ile bowiem dawny spór Tuska i Radosława Sikorskiego z Lechem Kaczyńskim miał wymiar głównie lokalny, o tyle nowa odsłona tego konfliktu będzie odzwierciedlać napięcie globalne. Ze stosunkiem do Trumpa jako punktem odniesienia. Dla polskiej prawicy orientacja na USA stała się bowiem czymś więcej niż geopolityczną kalkulacją. To akt wiary, na ogół zresztą ślepej, o czym świadczy bagatelizowanie przez PiS fascynacji Trumpa Putinem i jego pokrętny stosunek do Ukrainy.

Nawrocki nawet nie udaje, że zamierza cokolwiek niuansować. Ukrainę kojarzy chyba wyłącznie z ludobójstwem na Wołyniu, bo nawet po wyborach nie zmienił swojego tonu z kampanii. A w relacjach transatlantyckich pozostaje jeszcze bardziej nieprzejednany. Czyli wszystkie żetony na Trumpa i jak najdalej od Europy, która dybie na naszą suwerenność, podsyła Polsce imigrantów i chce nas wykończyć Zielonym Ładem. Jakże więc realizować konstytucyjną normę, wedle której „Prezydent Rzeczypospolitej w zakresie polityki zagranicznej współdziała z Prezesem Rady Ministrów i właściwym ministrem”?

Nic bowiem nie wskazuje, żeby Nawrocki chciał negocjować podział zadań. Co zresztą jest od dawna nieformalnie unormowane. Premierzy brali dotąd odpowiedzialność za politykę europejską, gdyż w większości unijnych państw (poza Francją) panuje ustrój parlamentarno-gabinetowy. Z kolei prezydenci uprawiali dyplomację na własnym szczeblu, spotykając się z innymi głowami państw, co predestynowało ich do układania relacji z USA i obszarem postsowieckim. Chociaż nie była to reguła ścisła, gdyż Lech Kaczyński scedował na Tuska kontakty z prezydentem Obamą, za to miewał ambicje ingerowania w relacje z UE.

Doprowadziło to do ostrego konfliktu, który musiał rozstrzygać Trybunał Konstytucyjny. Sędziowie orzekli, że to strona rządowa określa kierunki polityki europejskiej, co jednak zostało zakwestionowane w uchwalonej przez PiS na koniec poprzedniej kadencji ustawie, która ustanowiła prawo prezydenta do kontroli tego obszaru. Zapewne niekonstytucyjnej, tylko że nie ma komu tego dzisiaj stwierdzić. Tak czy owak zapowiada się powrót „wojny o krzesło”.

Bo ludzie z otoczenia prezydenta elekta już zapowiedzieli, że Nawrocki jak najbardziej zamierza jeździć na unijne szczyty, bynajmniej nie w roli obserwatora. A ponieważ jako niemalże już przyjaciel Trumpa nie chce też oczywiście oddawać prymatu na odcinku polsko-amerykańskim, wygląda na to, że zamierza powalczyć o skupienie w swoich rękach obu głównych kierunków dyplomatycznych.

Dobre relacje Nawrockiego z Trumpem oczywiście mogłyby się stać wielkim polskim atutem, ale najpierw należałoby je uwolnić z gorsetu ideologicznego. Na co niestety trudno dzisiaj liczyć, a prędzej już należałoby się obawiać, że Amerykanin będzie Polaka rozgrywać, każąc sobie płacić coraz wyższą cenę za kolejne komplementy pod jego adresem, które w krajowym obiegu pełnią funkcję politycznego paliwa. Płacić nie tylko torpedowaniem proeuropejskich inicjatyw rządu w polityce krajowej, ale też na forum unijnym, jeżeli Nawrocki faktycznie zdoła się tam dopchać. Wątpliwe więc, żeby strona rządowa chciała ustąpić mu pola, co zwiastuje kolejny ostry konflikt. Paraliż polskiej dyplomacji w niebezpiecznych czasach to jednak scenariusz najgorszy z możliwych i wiele będzie zależeć od zręczności świeżo awansowanego na wicepremiera Radosława Sikorskiego, który będzie musiał tym konfliktem zarządzać.

Nawrocki dał już zresztą do zrozumienia, że chciałby sobie szefa polskiej dyplomacji podporządkować. Bo tak chyba należy rozumieć jego stanowisko w sprawie spornych nominacji ambasadorskich, które pozostały w spadku po Dudzie. Nowy prezydent zapowiedział, że nie odpuści w sprawie Ryszarda Schnepfa i Bogdana Klicha, ale też znalazł parę ciepłych słów dla pozostałych oczekujących na powołanie dyplomatów. Z puentą, że to Sikorski w istocie blokuje ich powołanie, gdyż upiera się przy kontrowersyjnym duecie.

Skądinąd upór MSZ w sprawie Klicha jest mało zrozumiały, gdyż w Waszyngtonie zamiast byłego polityka faktycznie bardziej by się teraz przydał zawodowy dyplomata z kontaktami w republikańskich elitach, a bez prezydenckiego podpisu ranga najważniejszej polskiej placówki pozostaje obniżona. Tyle że gdyby Nawrocki naprawdę się tym zmartwił, zacząłby od rozmowy z Sikorskim w cztery oczy. Tymczasem nie był jak dotąd zainteresowany nawiązaniem relacji, chociaż szef MSZ sam wyszedł z inicjatywą i zaprosił elekta na spotkanie Rady Ambasadorów. Bez odpowiedzi, bo Nawrockiemu głównie chyba zależy na wymuszeniu uległości.

Marchewkę rezerwuje co najwyżej dla PSL. Zaproponował bowiem szefowi MON Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi wytyczenie „linii demarkacyjnej”, bo przecież w sprawach bezpieczeństwa nie należy się spierać. To jednak ewidentnie część pisowskiej gry na dodatkowe obluzowanie chwiejnych ludowców w koalicji. Bo prezydent nie wyklucza też poparcia dla ich projektu ustawy o statusie osoby najbliższej, czyli erzacu związków partnerskich, a ostatnio pamiętał też, żeby na rocznicę powstania ruchu ludowego złożyć poprzez media społecznościowe hołd Wincentemu Witosowi.

Ale czy debiutant udźwignie grę z zaprawionym w bojach duetem Tusk–Sikorski? To dziś jedna z głównych niewiadomych. Jak dotąd dał się poznać w roli zideologizowanego brutala, który szkołę życia zaliczył w ringu bokserskim i na kibolskich ustawkach. Nie zabrakło mu też psychicznej odporności, kiedy wychodziły na jaw kompromitujące go informacje. W swoim środowisku od dawna uważany jest zresztą za jednostkę skrajnie ambitną i zdeterminowaną, po trupach zmierzającą do celu.

Tyle że w polityce przydają się jeszcze zręczność, inteligencja, zmysł strategiczny, umiejętność budowania relacji

eprasa.pl ad2f04fa8d

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

W doborze kadr dla Karola Nawrockiego można się doszukać wyrazu nieufności Nowogrodzkiej co do prawdziwych intencji prezydenta.

interpersonalnych, a nie zaszkodzi też znajomość prawa oraz wiedza o mechanizmach instytucjonalnych. Chociaż dużo oczywiście będzie zależeć od tego, jakimi otoczy się ludźmi. Wiele nominacji na kluczowe stanowiska w kancelarii zostało już zapowiedzianych i wyłania się z tego obraz przenikających się dwóch osobnych kręgów, których wzajemna relacja pozostaje zagadką.

Z jednej strony to wysłannicy Jarosława Kaczyńskiego, z szefem kancelarii Zbigniewem Boguckim oraz szefem prezydenckiego gabinetu Pawłem Szefernakerem na czele. Pierwszy był jednym z konkurentów Nawrockiego na etapie poszukiwania kandydata do startu w wyścigu. Do kierowania kancelarią oddelegowany został jednak dopiero w ostatniej chwili, kiedy wycofał się pierwotnie przymierzany Przemysław Czarnek. Z kolei Szefernaker kierował zwycięską kampanią Nawrockiego i cieszy się estymą świetnego organizatora.

Widać więc, że Nowogrodzka tym razem zadbała o jakość kadr na Krakowskim Przedmieściu, czego za Dudy nie było. Zmieniły się jednak okoliczności, bo zadaniem Dudy za czasów rządów PiS było siedzieć w pałacu i nie przeszkadzać, podczas gdy Nawrocki był teraz szykowany na ostre zwarcie z obecnym rządem. Chociaż można też dopatrywać się w takich nominacjach wyrazu nieufności Nowogrodzkiej co do prawdziwych intencji prezydenta.

Bo o tym, że głowa państwa traktuje swoją niezależność nie tylko w kategoriach wizerunkowych, świadczy alternatywny zaciąg w kancelarii. To w pierwszej kolejności stojący na czele Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomir Cenckiewicz, który nieraz w przeszłości potrafił się postawić Kaczyńskiemu, za co ten podobno szczerze go nie znosi. Chociaż Nawrocki wziął też ze sobą całkiem spore grono zaufanych z korytarza IPN, którymi najwyraźniej próbuje równoważyć pisowski desant. Nowogrodzka przyjęła to z niepokojem.

I słusznie, chociaż pierwszy akt tej prezydentury upłynie na legislacyjnej wojnie z rządem. Od razu po zaprzysiężeniu rząd Tuska ma rzucić prezydentowi na stół własne projekty ustaw, które czekały na podpis Rafała Trzaskowskiego. Ale Nawrocki odpowie tym samym, co już zapowiedział. Na pierwszy ogień ma pójść projekt przywrócenia inwestycji w CPK w oryginalnym kształcie, później obniżka VAT, a dalej ustawy przewrotnie określane przez ludzi prezydenta mianem praworządnościowych. Mają one rzekomo „uporządkować bałagan" i... „przywrócić porządek prawny, który obowiązywał do jesieni 2023 r.". A jak nie będzie dla nich większości, to prezydent wystąpi w tej sprawie o referendum.

Takie pomieszanie pojęć oczywiście będzie służyć interesom PiS, odcinając tlen Konfederacji, która w konflikcie o praworządność skazana jest na rolę statystki. Ale czy docelowo scenariusz Nawrockiego też okaże się w pełni zbieżny ze scenariuszem Kaczyńskiego? To już nie jest takie pewne, nawet jeśli prezes akurat zaczął swoją grę na marginalizację prawicowej konkurencji. Nawrocki oczywiście nie stanie po żadnej ze stron konfliktu na prawicy. Jest przecież w jakimś sensie zakładnikiem Konfederacji, gdyż dzięki głosom jej zwolenników zdobył w drugiej turze decydujące głosy, a wcześniej podpisał całą listę zobowiązań, które podsunął mu Sławomir Mentzen.

Tak już jednak bywa, że prezydenci podczas pierwszej kadencji w pierwszej kolejności skupiają się na zabezpieczeniu sobie reelekcji. Co z jednej strony będzie skłaniać Nawrockiego do trzymania się w miarę blisko PiS, żeby komuś na Nowogrodzkiej nie przyszło czasem do głowy rozejrzeć się za pięć lat za innym kandydatem. Ale z drugiej nie może też pozwolić sobie na antagonizowanie młodych wyborców Konfederacji, których kolejne roczniki wchodzą na rynek polityczny i powoli wypierają pisowskich seniorów.

Tyle że dbanie o równowagę może się okazać jedynie planem minimum, a przy sprzyjającym obrocie spraw prezydent podniesie stawkę. W końcu początek jego prezydentury pokrywa się z wyraźnym już schyłkiem kariery politycznej Kaczyńskiego, co zapowiada nowe otwarcie na całej prawicy. Niewiele zresztą wskazuje, żeby prezesowi udało się do następnych wyborów trwale zmarginalizować Konfederację, ewentualnie ją podzielić. Za to może dodatkowo zantagonizować relacje na prawicowym styku, co utrudni budowanie w przyszłości koalicji.

A w razie kryzysu natychmiast otworzy się pole gry dla Nawrockiego jako jedynego jej akuszera. Albo nawet – o ile okaże się dostatecznie silnym i zręcznym graczem – patrona rodzącego się nowego układu politycznego, który określa reguły jego funkcjonowania? Trudno dzisiaj rozstrzygnąć, czy to scenariusz realny, ale na pewno dla polskiej demokracji skrajnie niebezpieczny, szczególnie gdyby prawica miała widoki na większość konstytucyjną, co niektóre sondaże zdają się sugerować. Przed rządzącą koalicją otwiera się zatem nowy front, być może najważniejszy ze wszystkich: obrony całego demokratycznego systemu przed upadkiem.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl ad2f04fa8d

Anwar Jahid, migrant z Bangladeszu zaatakowany przez dwóch Polaków. Poniżej: napaść na kebabownię w Głogowie.

Nasi, nie nasi

Mieszkający w Polsce cudzoziemcy zaczęli się nas bać. Wyzwiska i agresja to codzienność. Inny kolor skóry, akcent albo ubranie wystarczą, żeby narazić się na kłopoty.

PAWEŁ RESZKA, WSPÓŁPRACA MARTYNA BUNDA

© MYGLOGOW.PL, MATEUSZ KOMPERDA/MYGLOGOW.PL

eprasa.pl ad2f04fa8d

Ania ma dobrze, bo jest biała. Mieszka w niewielkim miasteczku na Mazowszu, tu, gdzie się urodziła. Znajomi i sąsiedzi ci sami od lat. Do pracy w domu kultury ma blisko.

Co innego Fatima. Ona musi dojeżdżać do pracy kilkanaście przystanków. Do innej dzielnicy Warszawy. Ubiera się w hidżab (chustę zasłaniającą włosy, szyję i uszy) oraz abaję (luźną długą suknię). Od razu widać, że jest muzułmanką. Te wyprawy są dla niej jak pójście do szkoły na klasówkę z matematyki. – *„Spierdalaj" słyszę przynajmniej raz dziennie* – opowiada. – *Te kilkanaście przystanków czasem pokonuję w towarzystwie człowieka, który jest wobec mnie agresywny. Autobus jest pełen ludzi. Nikt nie reaguje.*

Pascalia, studentka z Kenii, też czuje się dziwnie w środkach publicznego transportu: – *Ktoś odsuwa się ode mnie albo patrzy natarczywie. Mam szczęście, bo na tym się kończy, ale moi koledzy skarżą się, że czasem w autobusie współpasażer na nich napluje.*

Czasem wystarczy odezwać się w innym języku: „Rzadko mówię po ukraińsku w transporcie publicznym, bo zwykle jadę sama. Dziś byłam z koleżanką i po minucie rozmowy po ukraińsku usłyszałyśmy, że jesteśmy „ruskimi k***ami" – i to wielokrotnie. Pełny tramwaj. Nikt nie zareagował. Czyli to nowa polska normalność" – pisze dr Sasza Iwaniuk, wykładowczyni na UW, pisarka, politolożka, założycielka warszawskiego klubu literackiego „Po-sąsiedzku".

Ania jest wyczulona na takie historie. Czekała, kiedy fala szaleństwa dojdzie do jej miasteczka. Dziś jest pewna, że już doszła. Niedaleko domu na piaskownicy ktoś napisał „Nigger". – *Pomyślałam, że musi chodzić o Emilkę, bo tylko moja córka w piaskownicy nie jest biała* – mówi.

Szaleństwo

Elmi Abdi – zawód wyuczony weterynarz, uchodźca z Somalii, w Polsce od 29 lat, szef fundacji Dobry Start: – *Zacznijmy od tego, że Polska to mój dom. Mógłbym siedzieć cicho, ale nie będę, bo mi zależy.* – Widzi pan zmiany w Polsce? – *Tak, czasem Polski nie poznaję, jest inna, niż kiedy tu przyjechałem.* – Jak było wtedy? – *Polacy nie mieli dużo styczności z obcokrajowcami, ale widzieli we mnie człowieka, który potrzebuje pomocy, i chcieli mi pomagać. Dlatego tu zostałem.* – A teraz? – *Jest mnóstwo Polaków, którzy okazują serce innym. Tylko że ich nie widać.* – A co widać? – *Nagonkę na innych. Jakby Polska była krajem, który nienawidzi wszystkiego, a zwłaszcza imigrantów.*

Jose, Boliwijczyk (w Polsce od czterech lat), został niedawno wyrzucony z baru: – *Człowiek bez wahania popchnął mnie i powiedział, żebym wyszedł. Inni milczeli. Nie rozumiałem, co się wydarzyło ani dlaczego nikt nie zareagował. Myślę, że tego typu sytuacje są powszechne, szczególnie wobec osób o innym kolorze skóry lub wyglądzie. W kręgu znajomych to temat, który często wraca.*

Antyimigranckiego szaleństwa jest coraz więcej. Oto przypadki z ostatniego czasu:

Zamość – obelgi pod adresem artystów Festiwalu Eurofolk. Łódź – próba wyrzucenia z tramwaju algierskiej studentki. Wałbrzych – oblężenie przez agresywny tłum hotelu, w którym mieszkają cudzoziemcy. Ostatnio Głogów. Awantura w kebabie Noor, przy alei Wyzwolenia.

Strach

W Głogowie ofiarą był Anwar Jahid, migrant z Bangladeszu. Rozmawiamy, od ataku minęło już kilkanaście godzin, ale głos mu drży: – *Miałem szczęście. Dostałem tylko pięścią w twarz, potem facet dwa razy zamachnął się na mnie maczetą. Mogłem zginąć. Do tego drzwi skopane, szyba wybita.*

Co tam się wydarzyło? Kebab Noor otwarty jest do trzeciej nad ranem. Po północy kopanie w drzwi od zaplecza. Anwar idzie zobaczyć, co się dzieje. Wtedy dostaje cios. Po chwili akcja przenosi się na ulicę, od frontu knajpy, co widać na filmie z monitoringu. Dwóch napastników. Jeden podaje towarzyszowi coś, co wygląda na tasak albo maczetę. Anwar unika ciosów. Wybiegają inni pracownicy baru. Po 20 minutach przyjeżdża policja. Sprawcy zostają ujęci po kilku godzinach. Miejscowi, mają po 24 lata, wykształcenie podstawowe, niekarani. Przyznali się do winy, ale nie podali motywów. Byliśmy pijani – zeznają.

Rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Legnicy prokurator Liliana Łukasiewicz mówi, że atakującemu maczetą (zarzuty uszkodzenia ciała, grożenie śmiercią, zniszczenie mienia – skopane drzwi i zbita szyba razem warte 12 tys. zł) może grozić od 3 do 30 (!) lat więzienia.

Anwar: – *Mieszkam od dziewięciu lat w Polsce. Robię kebaby. Wszystko legalnie, płacę podatki, ubezpieczenie. Mam żonę. Starszy syn – trzy lata, młodszy – osiem miesięcy.*

– Co mówi żona? – *Płacze, boi się i ja też się boję. Ten gość trzy razy pokazywał, że chce poderżnąć mi gardło.*

Mateusz Komperda, dziennikarz portalu My Głogów, mówi, że to nie pierwsza taka sytuacja w mieście. Rok temu ośmiu zamaskowanych mężczyzn zaatakowało inną kebabownię na Starówce. – *Nastroje są coraz bardziej gęste i agresji jest coraz więcej* – dodaje.

Polska dla...

Dowodów na to, że głogowski atak miał podłoże rasistowskie, nie ma. Napastnicy nie podali motywów, napad odbywał się w milczeniu, nie było wyzwisk. Próba zabicia czy okaleczenia Anwara Jahida w kebabowni Noor zbiegła się z innym wydarzeniem. Tego samego dnia zaplanowano nadzwyczajną sesję rady powiatu. Rozpatrywano wniosek Komitetu Społecznego Bezpieczny Głogów w sprawie referendum. Mieszkańcy mieli w nim odpowiedzieć na pytanie, czy są za osiedlaniem nielegalnych emigrantów na swoim terenie.

Pomysł referendum przepadł. Sprawa z Anawarem dowiodła, że to raczej migranci w Głogowie mają powody, by czuć się zagrożeni. Jednak „społecznicy" nie zwalniają tempa. W powiecie tworzą się struktury patroli obywatelskich.

Ania zna sprawę. U niej w mieście patrol obywatelski już jest. Chodzą po ulicach, pilnują, czy migranci nie popełniają przestępstw. Z jednym z członków patrolu spotkała się niedawno na placu zabaw. Przyszedł w organizacyjnej koszulce. Ania pokazała na koszulkę: po co pan to robi? Po co ten patrol?

– Żeby nie było tutaj tak jak we Francji.

Jego syn i Emilka bawili się akurat w piaskownicy (tej z napisem „Nigger").

– Ja nie mam nic do pani i pani córki – wyjaśnił. – Najbardziej wku... mnie Ukraińcy.

W miasteczku Ani patrol ujawnił się 19 lipca, kiedy w całej Polsce odbywały się organizowane przez prawicę marsze przeciw uchodźcom i migrantom. ▶

eprasa.pl ad2f04fa8d

Ania przyglądała się gromadce ludzi trzymających transparenty: „Stop masowej migracji", „Bezpieczna Polska", „Refugees not welcome", „Chcemy bezpiecznej Polski, mówimy nie integracji". „Szczelne granice, bezpieczne ulice", „Stop imigrantom". Wśród gapiów starsze, ładnie ubrane panie z niedalekiego sąsiedztwa. Nie robiły na nich wrażenia wulgarne kibolskie przyśpiewki. Kiwały z aprobatą głowami, gdy słyszały, że trzeba „obronić granice, nasze matki i żony przed napływem ludzi z Afryki, krajów muzułmańskich i obcych nam kulturowo miejsc". Pomyślała, że to też jest trochę o jej rodzinie. Bo jej mąż John, ojciec Emilki, jest Afrykańczykiem. Ania coraz częściej zastanawia się, czy nie zrobiła błędu. Może trzeba było zostać po studiach w Warszawie? Po co przywoziłam Johna i Emilkę tutaj?

Polityka

Muhamadjon Kabirov, Tadżyk, dziennikarz, obrońca praw człowieka, redaktor naczelny telewizji Azada, politolog po studiach w Moskwie i Nowym Jorku. Uchodźca. Od siedmiu lat w Polsce: – *Prowadzę telewizję. Zatrudniam 10 osób, płacę podatki, ZUS, za wynajem pomieszczeń. Jakoś dokładam się do polskiej gospodarki.*

Dlaczego jest w Polsce? – *Nie wybierałem Polski, uchodźcy rzadko wybierają. Proszę mi wierzyć, nie chciałem być uchodźcą. W Tadżykistanie ja i moja rodzina byliśmy milionerami.*

Muhamadjon uważa, że migranci są dla polityków najłatwiejszym celem. Zawsze łatwo wskazać na nich palcem, powiedzieć, że obcy są winni całemu złu. – *Bo są najsłabsi, bezradni, nikt ich nie słucha. Nienawidzę wyborów w Polsce. Każde oznaczają burzę wokół migrantów. Wszyscy nagle są przeciw nam. Różnice między partiami w tej sprawie się zacierają. Gdy się słucha polityków, można dojść do wniosku, że gdyby nie było migrantów, Polska stałaby się rajem* – mówi Kabirov.

W 2015 r. strach przez migrantami (napływali masowo przez Morze Śródziemne) pomógł wygrać wybory parlamentarne PiS. Potem rzeczywiście tą kartą grano już w każdych wyborach. Szczególnie gdy polską granicę z Białorusią zaczęły forsować grupy migrantów sprowadzane przez łukaszenkowskie służby specjalne.

Polska zastosowała push-backi. Polegało to na wypychaniu migrantów z powrotem na Białoruś – bez wgłębiania się w to, kim byli, jaka była ich sytuacja humanitarna. Obecny rząd nie złagodził tej polityki. Wybudowana przez PiS zapora na granicy została rozbudowana i uszczelniona. Rząd Donalda Tuska przyjął nową strategię migracyjną i ograniczył prawo do ubiegania się o azyl w Polsce.

– *Przyjęta przez rząd „strategia" nie odpowiada na najważniejsze wyzwania. Co robić, by nie zabrakło rąk do pracy? Jak uniknąć błędów popełnionych przez Zachód? W tym dokumencie chodzi raczej o pokazanie, że rząd „dba" o Polaków* – mówi Elmi Abdi, który sam prowadzi fundację pomagającą migrantom.

Agnieszka Kosowicz jest prezeską Polskiego Forum Migracyjnego i nie ukrywa zawodu postawą obecnego rządu: – *Kiedyś mieliśmy przyjaciół i wrogów. Dziś mamy wyłącznie przeciwników.* Najtrudniej pogodzić się jej z decyzją o zawieszeniu prawa do azylu, jednego z najważniejszych praw człowieka.

Ania rozumie to jako przyzwolenie z góry na wszystkie podłości, które spotykają jej córkę. Ważni politycy w garniturach mówią, że „trzeba zapewnić bezpieczeństwo, odzyskać kontrolę". Inni zakładają podkoszulki z napisem „Patrol obywatelski". Biegają po mieście i „odzyskują kontrolę".
Ostatnio na jej oczach w ramach przywracania bezpieczeństwa krzyczeli do chłopaków z kebaba „Wypier… stąd habibi". I znów nikt nie reagował! Dlaczego tak? Zdaniem Ani przyzwoici ludzie czują się rozgrzeszeni przez polityków i media. Zachowania, które uchodziły za niemoralne i wstydliwe, stają się dopuszczalne. To powoduje, że kiedy krzyczą „Czarnuch" albo „Ruska kur…", autobus milczy. Wszystko to staje się powszednie. Kiedy pierwszy raz za Emilką krzyknięto „Murzyn", Ania popłakała się z bezsilności. Bo jak to? Takie rzeczy? W rodzinnym mieście? Teraz za Emilką krzyczą tak niemal codziennie.
Wczoraj. Na plaży kilkunastoletnie dziewczyny krzyczały „Nigger! Nigger!". Albo w zeszłym tygodniu, kiedy jechała z Emilką pociągiem do Warszawy. Podchodzi człowiek i mówi: „Murzyńska kur…". Byli świadkowie, ale straż miejska nie chciała interweniować. Powiedzieli, że nic nie zrobią, bo sami nie słyszeli wyzwisk.
Co miałam robić? Poszłam się wypłakać do koleżanki. Akurat pracuje w policji.

– I co pani poradziła na smutki? – *Dała mi pojemnik z gazem łzawiącym.*

Strach

Abi z Sudanu, 26 lat, pracuje w wielkopowierzchniowym magazynie. Wynajmuje mieszkanie z Sudańczykiem, dwoma Kolumbijczykami i dwiema dziewczynami z Afryki. Wszyscy są w migranckiej grupie na WhatsAppie. Początkowo była pomyślana jako projekt towarzyski. Jednak stała się platformą wczesnego ostrzegania. Wymieniają ulice, sklepy, place, których lepiej unikać: „Tam nie idź, bo biją. Tu zaatakowali kolegę. Dziś nie wychodzimy z domu, bo będą protesty przeciw czarnym. Uwaga, święto państwowe! Mogą pobić na mieście". Abi, gdy przyjechał, stołował się głównie w okolicznych Żabkach. Polubił je. Ale teraz już wie, że Żabki nie są dla czarnych.

Fatima – ta, która jeździ do pracy w hidżabie – mówi, że nie jest turystką: – *Wraz z rodziną jesteśmy uchodźcami. Polska przyznała nam ochronę międzynarodową, ale co to za ochrona, skoro czasem boimy się wyjść na ulicę.*

Bezpieczeństwo jest problemem – przyznaje Agnieszka Kosowicz. Mówi, że dzielnica (Praga Północ), w której Forum ma siedzibę, przyjęła ich wspaniale, z otwartymi rękami. Sąsiedzi są mili i otwarci. Jednak incydenty zdarzają się niemal codziennie. – *W fundacji działają osoby o różnym kolorze skóry, posługują się ośmioma językami, a nawet rozmowa przez telefon może sprowokować agresję* – mówi. – Mamy zespół kryzysowy i szkolimy ludzi z udzielania pierwszej pomocy, zachowania w razie pożaru, sprawdzamy szyby w oknach, zabezpieczamy się przed atakami hakerów.

Według różnych szacunków mieszka w Polsce od 2,5 mln do 3 mln cudzoziemców – mówi Agnieszka Kosowicz. 1, 2 mln z nich to dorośli pracujący leganie i opłacający składki emerytalne i rentowe. Większość z nich to sąsiedzi – Ukraińcy (65 proc.) i Białorusini (11 proc.). Wśród tych, którzy różnią się od nas wyglądem, pierwsze miejsce zajmują migranci z Indii (1,9 proc.), drugie z Kolumbii (1,3 proc.).

Elmi Abdi mówi, że się gubi. W sieci jest hejt na migrantów. Ale jak wyjdzie do sklepu, to go przepuszczają: „Pan pierwszy, ależ nalegam". Nie znaczy to, że nie spotyka się z wyzwiskami. Przez 29 lat pobytu w Polsce wypracował sobie system radzenia sobie z nimi.

eprasa.pl ad2f04fa8d

Muhamadjon Kabirov, Tadżyk, dziennikarz, uchodźca, od siedmiu lat w Polsce. Obok niego Elmi Abdi, weterynarz, uchodźca z Somalii, w Polsce od 29 lat. Zdjęcie wykonano przed stadionem warszawskiej Legii.

© LESZEK ZYCH

– *Kiedy słyszę: „O! Czarnuch idzie", mówię: „Dziękuję". Chodzą tu setki ludzi, a pan dostrzegł właśnie mnie. Niektórzy mówią na to „spierdalaj", a inni są zawstydzeni.* Ale Elmi dodaje, że takie przykrości spotykają go rzadko. Może dlatego, że jest człowiekiem rodzinnym. Na imprezy nie chodzi. Wieczory spędza w domu.

Tak jak mąż Ani.

John pracuje w korporacji finansowej, ale w domu zza biurka. Sąsiedzi go lubią. Na zakupy chodzi ciągle do tej samej Biedronki. Już go tam znają. Więc najczęściej jest dobrze. Oczywiście czasem spotyka się z nieuprzejmościami. Na przykład ktoś się specjalnie przed niego wepchnie w kolejkę, tak bardziej dla okazania pogardy. Ostatnio lokalny portal napisał, że dzwoni do nich starsza pani. Jest przerażona, bo w Biedronce widzi coraz więcej czarnoskórych osób z odległych zakątków świata.

Pożegnanie

Najbardziej martwią się o dzieci.

Elebi mówi: – *Ja jestem stary! Ale jak poradzą sobie w Polsce synowie? Jeden ma 7, drugi 17 lat. Chodzą do świetnych szkół, mają kolegów. Ale co będzie, gdy zmienią środowisko?*

Madina, uchodźczyni z Czeczenii: – *Moja córka chodzi do szkoły w chustce na głowie. Nauczycielka kiedyś zapytała, czy musi to zakładać. Czasami, kiedy córka coś przeskrobie, ona krzyczy: „Zachowuj się, to nie Czeczenia!". Ale córka nigdy nie była w Czeczenii, urodziła się w Polsce. Syn raz powiedział głośno na lekcji, że zjadłby kebab. Wiem, to nie było grzeczne. Nauczycielka, w ramach kary, puściła z telefonu piosenkę: „Kiedy jestem głodny, jem kebaba". Od tej pory dzieci zaczęły wołać na syna „kebab".* Nauczycielka proszona przez szkołę o wyjaśnienia napisała, że wszystko to miało „charakter żartobliwy", a „fragment piosenki trwał tylko kilka sekund i nie zawierał żadnych odniesień etnicznych".

Ania też myśli o tym, co będzie, jak Emilka pójdzie do podstawówki. Słyszy od innych mam o rasizmie w szkołach i o tym, że nauczyciele nie dostrzegają tego problemu. Rasizm? U nas? Niemożliwe!
Ostatnio mniej wychodzą. Dużo czytała o historii miasteczka. W czasie wojny tu było getto. Prawie wszystkich wymordowali. Żydzi… mieszkamy w ich domach. Czasem wydaje mi się, że zaczynam rozumieć ich strach.

– Co będzie dalej z panią, Emilką i Johnem? – *Myślę, że przyjdzie nam wyjechać. Poszukamy jakiegoś dobrego miejsca.*

Najlepiej z placem zabaw i piaskownicą, bez napisu „Nigger".

PAWEŁ RESZKA
WSPÓŁPRACA MARTYNA BUNDA

eprasa.pl ad2f04fa8d

Po bitwie, przed bitwą

Po wyborach prezydenckich i przed półmetkiem kadencji Sejmu zapraszamy na lot balonem nad sceną polityczną. Z góry niektóre szczegóły umykają, za to możemy podziwiać całą panoramę i zrobić przegląd wojsk przed wielką bitwą.

WOJCIECH SZACKI

ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

Jeśli potraktujemy sześć kluczowych kampanii od 2015 r. (wybory parlamentarne i prezydenckie) jako starcia dwóch sił: Prawicy (PiS, Konfederacja w różnych wydaniach i mniejsze ugrupowania) z Centrolewem (Platforma, Lewica, PSL i inni), to narzuca się jeden wniosek. Żaden z obozów nie może zdobyć wyraźnej przewagi nad drugim. Żaden nie przekroczył 54 proc., żaden nie spadł poniżej 46 proc.

Wybory do Sejmu w 2015 r. to jedna z największych klęsk Centrolewu; PiS wziął większość w obu izbach parlamentu. A w szczegółach? Centrolew zdobył 7,3 mln głosów (48 proc.), a Prawica – 7,8 mln (nieco ponad 51 proc.).

Największą różnicą zakończyły się wybory do Sejmu w 2023 r. – Centrolew miał 11,6 mln głosów (53,7 proc.), Prawica – 9,9 mln (46 proc.). O rozstrzygnięciu pozostałych batalii decydowały nie miliony, lecz setki tysięcy głosów.

Siły są więc wyrównane, obie strony skutecznie chronią swoje bazy wyborcze. O zwycięstwie decydują takie czynniki jak jakość kampanii, afery, pozycja w mediach i w internecie czy akcje profrekwencyjne. W wyborach do Sejmu – także konfiguracja list. W 2015 r. PiS nie wziąłby większości, gdyby Lewica nie przepadła pod 8-procentowym progiem wymaganym dla koalicji wyborczych. Zabrakło 75 tys. głosów, a historia kraju potoczyłaby się zupełnie inaczej.

W połowie kadencji Sejmu wypada zmierzyć się z kilkoma pytaniami. Jakie procesy zachodzą na Prawicy i w Centrolewie? W jakiej formie są oba obozy i partie je tworzące? Co się może stać przed kampanią parlamentarną?

Sukces w wyborach prezydenckich konserwuje układ sił w PiS. Przywództwo Jarosława Kaczyńskiego jest bezdyskusyjne, prawdopodobieństwo rozłamu – minimalne. W partii pierwszy raz od utraty władzy zagościła nadzieja na wielki powrót. Szklanka nie jest jednak pełna; PiS ma poparcie niższe niż w 2023 r., a młodzi wyborcy odrzucają partię Kaczyńskiego.

PiS ewoluuje. Zaostrza retorykę, stając się siłą coraz bardziej antyunijną, antytuskową, antyimigrancką. Patronuje samozwańczym obrońcom granicy Roberta Bąkiewicza. Kaczyński awansuje Przemysława Czarnka na wiceprezesa. A w bój o Pałac Prezydencki posyła Karola Nawrockiego, który do znanych pisowskich melodii dołożył nutę antyukraińską. Kaczyński robi to, bo wie, że tego chcą wyborcy – energia na prawicy pisowskiej jest tam, gdzie Czarnek, Nawrocki czy Patryk Jaki.

W PiS zachodzą też inne zmiany. Coraz więcej młodszych posłów upodabnia się poglądami na politykę społeczną i gospodarczą do Konfederacji.

Dochodzi do tego zbliżenie obu partii. PiS i Konfederacja mają wspólnych wrogów (Tuska, Unię, imigrantów). Przez większość kampanii prezydenckiej obie strony dotrzymywały paktu o nieagresji, skupiając się na atakach na Rafała Trzaskowskiego. Przed drugą turą Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak wyraźnie wsparli Nawrockiego. Mentzen z oporami, ale w końcu uległ, bo czuł, że tego chce większość jego fanów.

Zbliżenie PiS i Konfederacji ma bowiem solidne podstawy. Różnice programowe schodzą na dalszy plan, gdy świta perspektywa odsunięcia Tuska. Z raportu Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego wynika, że koalicję z Konfederacją dopuszcza aż 81 proc. elektoratu PiS. Po stronie Konfederacji tych chęci jest znacznie mniej (35 proc. przy 48 proc. tych, którzy woleliby „zakończyć duopol"), jednak kampania prezydencka pokazała, że mając do wyboru reprezentantów KO i PiS, konfederaci w olbrzymiej większości wskazali tego drugiego.

Gdyby wybory odbywały się za chwilę, PiS (z poparciem ok. 30 proc.) i Konfederacja (niecałe 15 proc.) zdobyłyby większość i po burzliwych negocjacjach weszłyby pewnie w koalicję.

Ten obraz jest jednak bardziej skomplikowany. Kaczyńskiemu nie odpowiada perspektywa sojuszu z silną, żądającą teki premiera Konfederacją. Prezes niespecjalnie ufa Konfederacji, nie podoba mu się jej program gospodarczy oraz alergicznie reaguje na Mentzena, który – choć o prawie 40 lat młodszy i słabszy politycznie – pozuje na równorzędnego partnera. Kaczyński jest też świadomy, że sojusz z Konfederacją nie podobałby się proizraelskiej administracji Donalda Trumpa.

eprasa.pl ad2f04fa8d

Plan PiS wygląda mniej więcej tak: poczekamy, zobaczymy. Kaczyński liczy na to, że jego partia jeszcze trochę urośnie, Konfederacja osłabnie – i może w przyszłym Sejmie wystarczy sojusz z narodowcami Bosaka?

Na razie Kaczyński przedstawił „Deklarację polską" – 10 punktów, pod którymi miałaby się podpisać Konfederacja: „nie dla koalicji z Tuskiem", „nie dla współpracy z putinowską Rosją", „tak dla sojuszu z USA", „nie dla nielegalnej imigracji". Dziesiąty punkt PiS wziął od Lewicy – „mieszkanie prawem, nie towarem".

Mentzen odpisał: „To PiS potrzebuje Konfederacji, a nie Konfederacja PiS. W stosownym czasie to my przedstawimy potencjalnym partnerom warunki, w których nie będzie żadnych socjalistycznych bzdur w rodzaju: mieszkanie prawem, nie towarem".

Tymczasem przyszłość Konfederacji jest niewiadomą. Hasło towarzyszące partii od lat „PiS, PO jedno zło" nie rymuje się już z nastrojami konfederackich wyborców, dla których zło to jednak Tusk. Na nowe czasy Konfederacja musi znaleźć nową strategię.

Coraz częściej widać napięcie między Nową Nadzieją Mentzena a Ruchem Narodowym Bosaka. To nie tylko personalne animozje i ambicje, choć i te odgrywają rolę po wyborach, w których Mentzen miał prawie 15 proc. i wykorzystał je nie tylko do wzmocnienia własnej pozycji (w lipcowym rankingu zaufania do polityków CBOS zajął trzecie miejsce), lecz także do rozbudowy swej partii. Lider Nowej Nadziei chciałby stać się jedynym przywódcą Konfederacji, a następnie – całej Prawicy. Mentzen uważa, że wykluczenie choćby możliwości koalicji z KO ustawia go w roli przystawki Kaczyńskiego. Stara się też wejść – jakkolwiek dziwnie to brzmi – do mainstreamu, pozbyć się wizerunku radykała. Bosak zaś jest przyjaźniej nastawiony do PiS i inaczej niż Mentzen pojmuje interes Konfederacji. Konflikt między tymi politykami wydaje się nieunikniony, choć może do niego dojść w następnej kadencji.

A w obozie Prawicy – choć PiS i Konfederacja nie chciałyby tego przyznać – jest jeszcze Korona Grzegorza Brauna z poparciem ponad 5 proc. Czy ta dziwna, skrajna partia przetrwa do wyborów, to kolejna niewiadoma. Jej zaistnienie w sondażach skłania Konfederację do zaostrzania przekazu (choćby w sprawie migrantów, w której konfederaci sięgają po ksenofobiczne hasła), co z kolei krzyżuje „mainstreamowe" plany Mentzena. Dla PiS Korona to też pewien kłopot, bo Braun może przejąć trochę wyborców tej partii, a jeśli utonie tuż pod progiem wyborczym, to część prawicowych głosów się zmarnuje.

Jeszcze więcej zagadek dostarcza obóz rządzący plus opozycyjne Razem. Dominującą pozycję zachowuje KO, którą rządzi w zasadzie jednoosobowo Tusk. Jego ugrupowanie ma w sondażach blisko 30 proc. Mimo kryzysu (porażka Trzaskowskiego i złe notowania rządu) niewiele wskazuje, by partię premiera czekała seria spadków notowań; Platforma jest w jakimś sensie lustrzanym odbiciem PiS, który nawet po porażkach i rozłamach utrzymywał swój żelazny elektorat. Tusk przystępuje poza tym do porządkowania swego zaplecza – po wakacjach dojdzie do wchłonięcia Nowoczesnej (Adam Szłapka) i Inicjatywy Polskiej (Barbara Nowacka), które obecnie funkcjonują jako teoretycznie odrębne ugrupowania.

Ten ruch Tuska można też traktować jako wstęp do trudniejszych operacji. Dwie koalicyjne partie – PSL i Polska 2050 – po rozpadzie Trzeciej Drogi spadły w sondażach pod próg wyborczy. Jeśli Centrolew ma podjąć rywalizację z Prawicą o władzę w kolejnej kadencji, to Tusk nie może pozwolić na to, by dwaj sojusznicy nie weszli do Sejmu z wynikami, powiedzmy, 4 i 3 proc. To byłby walkower dla Kaczyńskiego. Ludowcy, jeśli władzę w ugrupowaniu po jesiennych wyborach utrzyma Władysław Kosiniak-Kamysz, nie będą raczej skłonni przejść na stronę Prawicy, a Tusk może zagwarantować im w miarę partnerski układ na wspólnych listach. Wygląda zresztą na to, że lider KO postanowił dopieścić PSL już na etapie rekonstrukcji, oddając Miłoszowi Motyce nowy resort energii. Jeśli ludowcy nie odbiją się nagle (i niespodziewanie) w sondażach, jeśli nie wymyślą innego sposobu na przetrwanie, to mariaż z KO wydaje się najbardziej prawdopodobnym scenariuszem.

Z partią Szymona Hołowni rzecz przedstawia się inaczej. Polska 2050 jest poobijana, podzielona, nie ma rozwiniętych struktur, a przede wszystkim nie ma na siebie pomysłu. Bo idea, żeby być „trzecią drogą" się wypaliła, nawet jeśli nie chce dostrzec tego sam Hołownia. Tu możliwe są różne scenariusze – próba utrzymania się na powierzchni na własną rękę (łącznie z wyjściem z rządu), rozmowy o wspólnej liście z KO bądź rozłamy i transfery do innych ugrupowań. W każdym razie niewiele wskazuje na to, by Polska 2050 jako jedna siła została z nami na dłużej.

Niewiadomą pozostaje przyszłość partii lewicowych. Ugrupowanie Włodzimierza Czarzastego jest silniejsze niż formacja Adriana Zandberga, ale tylko trochę i nie w każdym sondażu, obie jednak kręcą się niebezpiecznie blisko progu wyborczego. Nie daje to komfortu żadnej z tych partii. I znów – gdyby Lewica nie weszła do Sejmu, najwięcej skorzystałby na tym Kaczyński. Racjonalne byłoby zjednoczenie Lewicy, które trudno sobie jednak wyobrazić, gdyby jej część pozostała w rządzie, a część by ten rząd krytykowała. Przed Czarzastym albo jego następcą (wybory przewodniczącego partii odbędą się jeszcze w tym roku) stanie trudna decyzja – ryzyko samodzielnego startu, negocjacje wspólnej listy z KO albo zjednoczenie z Razem, wiążące się zapewne z wyjściem z rządu.

Pozostaje wreszcie możliwość zaistnienia nowej partii. Wybory prezydenckie tworzą sprzyjającą ku temu atmosferę, przy czym niekoniecznie chodzi o ugrupowania kandydatów (jak formacje Pawła Kukiza czy Hołowni), lecz także partie powstałe w związku z kryzysem przegranych (jak Nowoczesna Ryszarda Petru po porażce Bronisława Komorowskiego). Dziś słychać, że w nowe ugrupowanie chce się zaangażować miliarder Arkadiusz Muś (który pomagał na starcie Ruchowi Palikota i Nowoczesnej), a teraz pragnie zbudować ugrupowanie liberalne, które konkurowałoby o młodych wyborców z Konfederacją. Emisariusze Musia rozmawiają już z niektórymi posłami Polski 2050.

Swoją partię z udziałem samorządowców chciałby założyć także senator niezależny Wadim Tyszkiewicz, wcześniej wieloletni prezydent Nowej Soli. Nowy szyld czy szyldy mogą zaciekawić część wyborców, ale nawet w sezonie ogórkowym trudno przypuszczać, by na serio zachwiały układem sił na scenie. Mogą się jednak przyczynić do ostatecznej klęski projektu Hołowni, najsłabszego ogniwa Centrolewu. Największym zadaniem tej części sceny politycznej pozostaje zdobywanie nowego elektoratu, a nie podgryzanie partnerów, bo widać, że wyborców ogólnie wciąż jest zbyt mało, aby mieć pewność zwycięstwa nad Prawicą. ■

eprasa.pl ad2f04fa8d

ILUSTRACJA **BARTEK KIEŁBOWICZ**

Ciemno, jeszcze nie noc

O tym, jak przewietrzyć narodową narrację, i o tym, jakimi narzędziami walczyć z nienawiścią, mówi ekspertka nauk prawnych prof. Aleksandra Gliszczyńska-Grabias.

MARTYNA BUNDA: **– Jest źle?**

ALEKSANDRA GLISZCZYŃSKA-GRABIAS: – Zacznę od plusów. Mamy kolejnego już ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Waldemara Żurka, który rozumie wagę prawnego przeciwstawiania się nienawiści. A jego poprzednik, minister Adam Bodnar, zostawił prokuratorom zestaw wytycznych, jak postępować w przypadku przestępstw z nienawiści. Bo mamy poważny problem – falę radykalizacji karmiącej się nienawiścią. I nie wiem, czy nie jest już za późno, żeby ją powstrzymać.

eprasa.pl ad2f04fa8d

Jak to się objawia?

Eskalacja przemocy w języku, nasilające się fizyczne ataki na osoby o innym kolorze skóry, podsycanie zbiorowych lęków. I kiedy o tym mówię, trudno mi oddzielić własne emocjonalne zaangażowanie od eksperckiego osądu, bo dostrzegam realne ryzyko zmiany kursu, który obraliśmy po transformacji – kursu zmierzającego do eliminacji nienawiści z przestrzeni publicznej. Obawiam się wręcz legitymizacji takich zachowań na poziomie państwa. Dziś prezydent ułaskawia Bąkiewicza, jutro kolejny prokurator generalny mógłby zacząć uznawać ofiary za sprawców.

Przez lata udało nam się wypracować w Polsce i Europie całkiem dobry standard dotyczący ochrony praw człowieka, ale jednocześnie prawo pozbawione możliwości stosowania pozostanie martwe. A przecież widać nawet nie jedną, ale co najmniej kilka czerwonych lampek ostrzegawczych pokazujących, że w społeczeństwie coś się psuje.

Od której zaczniemy?

Ta świecąca najostrzej to oczywiście zagęszczająca się atmosfera wokół migrantów. Absolutnie nie twierdzę, że napływ cudzoziemców to sytuacja niegroźna, niewymagająca szczególnej uwagi państwa. Nie namawiam do zamykania oczu na problemy, które narastają na styku kultur. Rolą państwa jest monitorować sytuację, ale też rzetelnie informować, tonować nastroje i rozbrajać nieuzasadnione lęki. To prawda, że szereg negatywnych zjawisk, z którymi zmaga się wiele europejskich państw, to nie są „fantazje prawicy". Każde państwo pozostaje niemal bezsilne wobec internetu, mediów społecznościowych, poprzez które nienawiść rozlewa się i rośnie w tempie dotąd w historii nieznanym. Nie istnieją metody pozwalające z poziomu państwa prawa skutecznie przeciwdziałać dezinformacji szerzonej w takiej skali. Tu nie ma równowagi sił.

W idealistycznym ujęciu internet to wolny rynek idei, gdzie słowa i pomysły się zderzają, i jakaś opcja zwycięża. W praktyce nie wiadomo natomiast, kto lub co decyduje, jaka opcja uzyska ile wyświetleń; mniejszości są na straconej pozycji, zwłaszcza jeśli zostaną uznane za warte atakowania. Apelowanie do odpowiedzialności właścicieli platform społecznościowych też okazuje się niewystarczające. Nie wygląda to optymistycznie. A wokół jest jeszcze tyle innych niepokojących zjawisk.

Dr hab. **Aleksandra Gliszczyńska-Grabias** – profesor w Instytucie Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk. Zajmuje się zagadnieniami prawa konstytucjonalnego porównawczego, prawa antydyskryminacyjnego, wolności słowa i praw pamięci. Kieruje pracami Rady Ekspertów przy Prokuratorze Generalnym ds. przestępstw motywowanych uprzedzeniami i mowy nienawiści. Od marca 2025 r. jest delegatką do międzyrządowej organizacji Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście.

Co panią szczególnie martwi?

Po pierwsze, narastający antysemityzm. Wciąż nie wyrugowany, a dziś znów przybierający na sile. W Polsce mamy do czynienia z eskalacją postaw skrajnie nacjonalistycznych. Antysemickie działania Grzegorza Brauna, negującego Holokaust, poparło w wyborach prezydenckich ponad milion osób. Człowiek, który robi rzeczy, jakie jeszcze kilka lat temu wykluczyłyby go z życia publicznego, osiągnął czwarty wynik wyborczy w kraju.

Z kolei na świecie mamy do czynienia z bezprecedensową falą antysemityzmu związanego z wojną Izraela przeciwko Hamasowi. Sama stałam się niedawno ofiarą fizycznej napaści na lotnisku jednego z europejskich miast, ponieważ miałam wpięty znaczek solidarności z zakładnikami uprowadzonymi i więzionymi przez Hamas. Oczywiście wszystkie przypadki zbrodni dokonanych wobec Palestyńczyków w Gazie muszą zostać napiętnowane i osądzone, ale sytuacja wokół konfliktu uwolniła antysemicką nienawiść, której korzenie są znacznie głębsze niż obecna wojna.

Natomiast wracając do spraw polskich, te same siły eskalują nastroje antyukraińskie. To nasza porażka. Początek wojny w Ukrainie był szansą na pojednanie historyczne, a przynajmniej uporządkowanie starych spraw. Naukowo zajmuję się m.in. pamięcią historyczną w ujęciu prawnym, miałam więc wielką nadzieję na przełom w mówieniu o relacjach historycznych pomiędzy Polską a Ukrainą o tragedii wołyńskiej. Ale pozwoliliśmy – obie strony – wywołać na nowo duchy historii napędzające nienawiść. Zawiniło państwo, ale i my wszyscy.

Psuje się także atmosfera wokół Ukraińców w Polsce. A przecież oni stąd nie wyjadą. Zostaną już częścią społeczeństwa.

Zawsze tak było, że społeczeństwo budowało się z różnych etniczności i wyznań. Przez lata za mało mówiliśmy o tym, że Polska jako monolit narodowo-religijny nie istnieje, że obok jednej wspólnej narodowej historii mamy też mozaikę różniących się od siebie historii lokalnych i doświadczeń. Przez cały czas mojej edukacji nigdy nie było o tym mowy. I chyba to się ciągle nie zmieniło.

Wydawało się, że przynajmniej kaszubska tożsamość została oswojona. A jednak tu też się zagęszcza. Bardzo dobra wystawa o Pomorzanach w Wehrmachcie wywołała falę hejtu. Znamienna jest też nagła zmiana kursu Kościoła, który zaczął właśnie mówić Kaszubom, że jeśli są Polakami, to mają modlić się po polsku. Po kaszubsku mogą sobie mówić w domu…

Bo zmiana kursu, o której mówimy, dotyczy wszelkich mniejszości, nie tylko na poziomie tych najbardziej rozpoznawalnych – Żydów, muzułmanów, osób LGBT. Episkopat wyczuwa te trendy. ▶

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ A przecież od Kościoła tym bardziej wymagałabym postawy tonowania nienawiści. Mamy więc kolejną czerwoną lampkę, bo Kościół pozostaje w Polsce instytucją o dużej sile oddziaływania społecznego.

Inne czerwone lampki?

Pierwsze moje skojarzenie: Jedwabne. Nadal pomimo lat dyskusji, publikacji jest nieodrobioną lekcją. To, co się wydarzyło w Jedwabnem podczas tegorocznej rocznicy pogromu w lipcu, jest preludium do tego, co może nadejść. Kiedyś mogą się odbyć dwie równoległe uroczystości. Jedna upamiętniająca ofiary i druga polegająca na zaprzeczaniu dokonanej zbrodni.

Nieodrobiona lekcja Jedwabnego jest jedną z sił, które napędzają nienawiść. Każdy naród, który przeszedł tak traumatyczne doświadczenie jak wojna, ma w swej historii plątaninę postaw szlachetnych i nikczemnych. To nie jest nic szczególnego, szczególne jest dopiero zaprzeczanie tym faktom.

Ale jest i druga strona. Ciągłe koncentrowanie się przez Zachód na pamięci holokaustowej, choć zrozumiałe, przez dekady wykluczało uznanie i upamiętnienie pamięci o zbrodniach sowieckich. Stąd nasze poczucie, że nie do końca przynależymy do europejskiej wspólnoty pamięci. To zmienia się w czasie i na pewno obecnie sytuacja jest lepsza, ale nadal to pomijanie narracji o zbrodniach innych niż te nazistowskie wywołuje poczucie niesprawiedliwości. Co z kolei często przekłada się na wzrost nastrojów nacjonalistycznych.

Pozostaje też pytanie, na które odpowiedzi szuka w swojej znakomitej książce Michał Bilewicz: jak długo można przerzucać na kolejne pokolenia takie poczucie skrzywdzenia?

Bardzo długo.

I tu akurat narzędzia prawne są tylko częściowo lub mało skuteczne. Samo prawo niczego nie zagwarantuje.

Ostatnie projekty zmian Kodeksu karnego w obszarze mowy nienawiści, dotyczące poszerzenia katalogu tzw. grup wrażliwych m.in. o osoby wyróżniane ze względu na ich orientację seksualną lub tożsamość płciową (ale też np. niepełnosprawność), krytykowano, były określane jako „lewackie" pomysły. Tymczasem to już europejski standard. Niestety prezydent Duda nie podpisał tej ustawy.

Spora część krytyków sprzeciwia się co do zasady ograniczeniom wolności słowa, w duchu amerykańskim. I z taką perspektywą, z takimi poglądami jestem w stanie polemizować. Ale sprzeciwiam się negowaniu ograniczeń wolności wypowiedzi w przypadku mowy nienawiści wobec grup mniejszościowych. Prawo ma obowiązek chronić słabszych, atakowanych.

Co mamy do dyspozycji, żeby walczyć z mową nienawiści i przestępstwami z nienawiści?

Prawniczo rzecz ujmując, mamy Kodeks karny. Mamy cały szereg wdrożonych do polskiego prawa – lepiej lub gorzej – regulacji unijnych, antydyskryminacyjnych. Zestaw instrumentów z różnych obszarów prawa, które razem tworzą barierę ochronną. W tym polskie prawo konstytucyjne. Ofiary dyskryminacji i nienawiści muszą wiedzieć, że istnieją mechanizmy obrony. Prokuratura i policja muszą z kolei wiedzieć, kiedy mają obowiązek działać – i to się zmienia na lepsze.

Ważnym zasobem jest społeczeństwo obywatelskie. Mówiłyśmy o porażkach, a to jest akurat wielki sukces. NGO-sy mimo ogromnych trudności działają prężnie, zabierają głos, przeciwstawiają się złu. Nie wspominając o działaniach wprost ratujących życie również ofiarom przestępstw z nienawiści.

Mamy wreszcie, choć ciągle pojedyncze, głosy rządzących piętnujące rasizm i antysemityzm. Przez wiele lat tak bardzo brakowało mi w przestrzeni publicznej takich słów, jak te wypowiedziane ostatnio przez ministra Sikorskiego. Nawet zgłaszanie takich zdarzeń, jak przypadki mowy nienawiści, jest ogromnie ważne. Jednak aby to robić, nie wolno się bać. Wtedy dobrze jest czuć za plecami wsparcie jakiejś wspólnoty.

Wspólnotę dobrze zlepia poczucie dumy, a ta z kolei jest wyjątkowo skuteczna przy wskazywaniu wroga.

Dumy nie trzeba, a nawet nie wolno rugować. Mamy w historii bardzo wiele zdarzeń i postaci, które dają nam powody do takiej emocji. Pytanie dotyczy bardziej tego, jak sprawić, aby przejść do tego kolejnego poziomu – społecznej odwagi. Odwagi dotyczącej prawdy historycznej, odwagi przeciwstawiania się nienawiści i dyskryminacji.

A mamy jeszcze jeden problem, o którym często pani pisze. Odwracanie tej narracji. Instytutowi Ordo Iuris niedawno udało się wcisnąć do unijnych dokumentów, do raportu o prześladowaniach mniejszości, przypadki prześladowań religijnych wobec chrześcijan w Polsce. Chodziło o epizody niszczenia wyposażenia kościołów.

Każdy przypadek znieważania czy nawoływania do nienawiści ze względu na wyznanie powinien być traktowany przez prawo w taki sam sposób, niezależnie od tego, jakiego wyznania dotyczy. I jeśli takie przypadki miały miejsce, organy ścigania powinny się nimi zająć. Jest jednak zdecydowana różnica pomiędzy incydentalnymi zdarzeniami a generalną dyskryminacją i nienawiścią wobec określonej grupy. Jest to też szerszy problem zawłaszczania pojęć z obszaru praw człowieka do atakowania tych praw przez rządy populistyczne. Nie tylko w Polsce. To zjawisko obserwowane od wielu lat – rozmydlanie, rozpuszczanie sensu pojęć, używanie ich do szerzenia mowy nienawiści. „Propaganda gejowska", jak ją nazywano, miała zagrażać dzieciom w Rosji czy na Węgrzech. Ochrona mniejszości zeszła na dalszy plan w momencie, gdy to właśnie mniejszości zostały przedstawione jako zagrożenie dla praw człowieka.

Jakkolwiek próbować, nie da się zahamować mowy nienawiści.

Można za to myśleć o scenariuszach i planach. Nawet o tych z pozoru utopijnych, gdy szkoła uczy, czym jest szacunek dla odmienności. A wszyscy prokuratorzy stosują wytyczne Adama Bodnara, gdy rasizm wyklucza z przynależności do wspólnoty politycznej.

Pytanie, czy nie zmierzamy do scenariusza przeciwnego? Takiego, w którym dojdzie do prób wycofania Polski z międzynarodowego systemu ochrony praw człowieka, mowa nienawiści będzie standardem w przestrzeni publicznej, a organizacje pozarządowe zwalczane przez władze. Tę rzeczywistość warto sobie wyobrazić: może się stać za kilka lat naszą rzeczywistością.

Scenariusz najbardziej prawdopodobny zapewne znajduje się gdzieś pośrodku. Ale środek środkowi nierówny. Wszystkie siły polityczne śledzą sondaże, polityka zawsze będzie reagować tak, żeby odpowiedzieć na potrzeby społeczne – nawet te opierające się nie na faktach, a na emocjach. Od nas zależy natomiast, jak my sami będziemy na to wszystko reagować, jak będziemy się zachowywać.

ROZMAWIAŁA MARTYNA BUNDA

eprasa.pl ad2f04fa8d

Nowym ministrem aktywów państwowych został Wojciech Balczun. Specjalista od restrukturyzacji firm, a przy okazji założyciel i lider zespołu rockowego Chemia. Na ministerialnej posadzie mogą go czekać testy z kwasów i zasad.

Rock and MAP

MARCIN PIĄTEK

Charakterystyka 55-letniego Wojciecha Balczuna wyłaniająca się z rozmów z osobami, które miały okazję go poznać: sprawny menedżer, analityczny umysł, świetnie porusza się we współczesnych mediach. – *Dba o swój wizerunek, jest na tym punkcie bardzo wyczulony. Może nawet za bardzo* – mówi jeden z zawodowych znajomych.

Przyjęcie przez niego teki ministra aktywów państwowych zostało jednak odebrane z pewnym zaskoczeniem. Dopiero kilka miesięcy temu został samodzielnym szefem Agencji Rozwoju Przemysłu i miał wobec niej ambitne plany. Jako nadzorca spółek Skarbu Państwa będzie pewnie zmuszony realizować polityczne rozkazy: w razie potrzeby ręcznie sterować cenami, jak to było w Orlenie przed wyborami w 2023 r.

Rockowe momenty

Balczun pracował na kierowniczych stanowiskach w bankowości, lotnictwie, mediach, na kolei. Ale równie dobrze mógłby zostać ministrem kultury. Gitarę pokochał jako nastolatek, ale ze swoim zespołem Chemia zadebiutował przed czterdziestką, mając już renomę w biznesie. Gra na gitarze i komponuje. Robert Filipowski, dziennikarz „Teraz Rock": – *Ich styl określiłbym jako postgrunge. Wyróżniali się profesjonalizmem: instrumentaliści, wokal Łukasza Drapały, produkcja, brzmienie – wszystko naprawdę na wysokim poziomie. Mieli ambicję zaistnieć na Zachodzie. Dlatego na wszystkich płytach, poza pierwszą, śpiewają po angielsku.*

O wypłynięciu na szersze wody marzył przede wszystkim Balczun. I to on pchał zespół za ocean. Chemii udało się nawiązać współpracę z wielkimi nazwiskami w branży: producent Mike Fraser (mający na koncie pracę m.in. z AC/DC, Metallicą i Joem Satrianim) realizował ich album „Let Me", a Andy Taylor, swego czasu podpora Duran Duran, wspierał zespół przy nagrywaniu płyty „Something To Believe In". I napisał na nią teksty. Łukasz Drapała: – *Grywaliśmy głównie w klubach, często jako support. Widownia zbliżała się wówczas do tysiąca, zdarzały się również festiwale. Recenzje albumów były dobre. Ale w Polsce nie mogliśmy się przebić do szerszej publiczności.*

Robert Filipowski dodaje, że Chemia miała uznanie w branży, zbierała nagrody. A o tym, że nie zbudowała sobie w kraju większego grona fanów, zdecydowało kilka czynników: uparte nagrywanie po angielsku, zaangażowanie Balczuna ▶

© RADOSŁAW PIETRUSZKA/PAP

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ w biznesową karierę. Łukasz Drapała: – *Przez wiele osób byliśmy postrzegani jako fanaberia bogatego biznesmena. Rozsiewano plotki, że latamy odrzutowcami, pijamy Jacka Danielsa zamiast wódki, że kupujemy za oceanem gotowe utwory i opłacamy współpracę z wielkimi nazwiskami, żeby się chwalić. To prawda, że za studio Andy'ego Taylora trzeba było zapłacić i wbić się w termin, ale ludzie jego pokroju nie pracują, z kim popadnie. Zaprosił nas najpierw na próbę i nasze granie na tyle mu się spodobało, że postanowił wyprodukować płytę. Wkładaliśmy w muzykę całe serce.*

Ostatnią płytę Chemia wydała w 2022 r., obecnie zawiesiła działalność. Łukasz Drapała odszedł z zespołu na początku ub.r., dziś jest wokalistą nowej reinkarnacji Perfectu. – *Miałem już dość tego walenia głową w mur. Zresztą teraz, gdy Wojtek na poważnie wszedł w politykę, nie wyobrażam sobie kontynuowania działalności zespołu. Polityka i rock'n'roll nigdy nie idą w parze* – dodaje.

Czy nie ma obaw, że z czasów życia w trasie koncertowej wypłyną jakieś „kompromaty" na nowego ministra? Dowodem tego, że muzycy Chemii wiedzieli, o co chodzi w rock'n'rollowym stylu bycia, jest teledysk do utworu „Fuckshack" (w wolnym tłumaczeniu „Chatka kopulatka"), który dla moderatorów YouTube okazał się zbyt pikantny i został zablokowany. W końcu zespół nagrał nową wersję utworu, zmienił jego nazwę na „Funshack", a klip został nieco wygładzony, choć i tak miewa „momenty". Drapała się śmieje: – *Co było w Vegas, niech zostanie w Vegas. Nie ma co kryć: balangi się zdarzały, i to ostre, ale jeśli chodzi o kobiety, granica była jasna. My byliśmy ze sobą blisko rodzinnie, przyjaźniliśmy się.*

Z kolejami nie dojechał

W 2008 r. 38-letni Balczun został prezesem PKP Cargo. Firma znajdowała się wówczas w fatalnej sytuacji: rosnące długi, rozdęte zatrudnienie, kiepskie perspektywy. Alternatywa była następująca: bolesna restrukturyzacja albo jazda po równi pochyłej zakończona zwolnieniami grupowymi. Kolejarze patrzyli na nowego prezesa z dużą nieufnością – młody, wcześniej pracował w bankowości (więc będzie ciął bez sentymentów), no i bez większego doświadczenia w branży kolejowej. Leszek Miętek, szef związku zawodowego maszynistów: – *Byłem wówczas w radzie nadzorczej spółki. Podczas konkursu maglowaliśmy go ostro. Widać było, że przewozy kolejowe to dla niego nowa materia, ale szybko się uczył. Zrobił dobre wrażenie.*

Od początku było jasne, że nowy prezes musi iść ze związkowcami na zwarcie. Z zatrudnionych w spółce 44 tys. osób trzeba było zwolnić ponad połowę. Jakub Majewski, prezes fundacji Pro Kolej: – *PKP Cargo to chyba najmocniej uzwiązkowiona z kolejowych spółek. Zwolnienia w takiej skali wydawały się tam nie do przeprowadzenia. Ale prezes Balczun zrobił to umiejętnie. Zaproponował programy osłonowe w ramach dobrowolnych odejść. A dużą część pracowników przesunięto w strukturze grupy PKP do innych spółek.*

Leszek Miętek: – *Nie obyło się bez nerwów i kłótni, ale prezes Balczun jasno postawił cele, wykazał się dużą empatią i zrozumieniem, umiał słuchać, nie faworyzował żadnego związku. Zwieńczeniem operacji była częściowa prywatyzacja oraz wejście na giełdę.*

Debiutu na GPW w październiku 2013 r. Balczun nie doczekał. Podał się do dymisji kilka miesięcy wcześniej, a branżowe media donosiły, że powodem były m.in. zarzuty nepotyzmu. W centrali, jak również w jednej ze spółek zależnych, pracowali jacyś krewni prezesa. Poza tym, choć w czasie jego niemal pięcioletnich rządów bilans firmy zdecydowanie się poprawił (od 180 mln na minusie do 340 mln na plusie) i zdobyła zagraniczne kontrakty, jej udział w krajowym rynku przewozów stopniał o 25 proc. ze 140 do 110 mln ton.

Kapitał udanej restrukturyzacji został zupełnie roztrwoniony w czasie ośmioletnich rządów PiS. Nieudolni zarządcy wybierani z klucza bmw (bierni, mierni, ale wierni) wpędzili spółkę w ponad pięciomiliardowe zadłużenie; obecnie została postawiona w stan sanacji. Akcje od wystrzału w dniu debiutu do ponad 80 zł obecnie oscylują wokół 15 zł. Konieczna jest kolejna restrukturyzacja, zwolnienia idą pełną parą, związkowcy protestują. Przebąkiwano nawet, że Balczun może jeszcze raz wejść do tej samej rzeki. Leszek Miętek: – *Plan transportowy do 2030 r., przyjęty jeszcze w czasach poprzedniej ekipy rządzącej, wprost mówi, że priorytet mają przewozy drogowe. Rosną coraz bardziej, tymczasem transport kolejowy skazany jest na stagnację.*

Tymczasem Balczun, opromieniony sławą uzdrowiciela PKP Cargo, wygrał

w 2016 r. konkurs na stanowisko prezesa kolei ukraińskich (Ukrzaliznycja), największego pracodawcy na tamtejszym rynku (ponad 330 tys. zatrudnionych). Jeden z ukraińskich polityków ujawnił, że nowy prezes miał na tej posadzie zarabiać nawet 1,5 mln dol. rocznie: 25 proc. miał zagwarantowane w formie pensji, a reszta to bonusy uzależnione od wyników.

Skok na głęboką wodę

Balczun miał uzdrowić sytuację w firmie, czyli zoptymalizować koszty, przyjrzeć się zatrudnieniu i przejrzystości przetargów, odnowić tabor, otworzyć nowe kanały zarabiania pieniędzy. Zapalił się do wyzwania, ściągnął do Kijowa kilku bliskich współpracowników, miał zielone światło od ówczesnego prezydenta Petra Poroszenki, który wychodził z założenia, że przeciąć korupcyjne układy w państwowych przedsiębiorstwach mogą tylko zagraniczni menedżerowie, niepowiązani z oligarchami. To wtedy także szefem ukraińskiej agencji drogowej został były minister transportu Sławomir Nowak.

To był skok na głęboką i zdradliwą wodę – jeden z poprzedników Balczuna popełnił samobójstwo, inny został zamor-

eprasa.pl ad2f04fa8d

Wojciech Balczun (pierwszy z prawej) **ze swoim zespołem Chemia w „Pytaniu na śniadanie", 2014 r.**

© TOMASZ ADAMOWICZ/FORUM

dowany. Nowy prezes naruszył układy, a ich uczestnicy i beneficjenci nie zamierzali się temu przyglądać obojętnie. Czarną kampanię przeciw polskiemu prezesowi ukraińskich kolei rozkręcał bezkarnie minister infrastruktury Wołodymyr Omeljan, uchodzący zresztą za człowieka prezydenta Poroszenki.

Po półtora roku w fotelu prezesa Balczun się poddał. Udzielił wówczas wywiadu POLITYCE, w którym mówił, że łapówki były w kolejowym molochu na porządku dziennym, że został obsadzony w roli menedżera z Zachodu głównie po to, by zadowolić międzynarodowe instytucje finansowe, o których przychylność Ukraina zabiegała. I że od początku rzucano mu kłody pod nogi, a ostateczna decyzja o dymisji była podyktowana nie tylko ochroną reputacji, ale przede wszystkim obawą o swój los.

Jagienka Wilczak, publicystka POLITYKI, autorka tamtej rozmowy: – *To było dwa lata po Majdanie, trwała wojna w Donbasie, opadł już entuzjazm, że wprowadzenie zachodnich standardów pójdzie gładko. A oligarchowie znów zaczęli podnosić głowy. Balczun wszedł w gniazdo korupcji i zrozumiał, że walcząc z tymi układami, naraził się potężnym graczom i może zostać w coś wmanewrowany, paść ofiarą prowokacji. Mówił, że zreformowanie ukraińskich kolei jest dla niego ważne, ale nie na tyle, by ryzykować życie.* Łukasz Drapała: – *Wszyscy bliscy Wojtka odetchnęli, gdy dał sobie spokój.*

Tusk stawia na gospodarkę

Po powrocie z Kijowa jesienią 2017 r. zniknął z oficjalnego obiegu. Mówiło się, że jako menedżer robiący karierę w spółkach z udziałem Skarbu Państwa w czasach rządów koalicji PO-PSL stał się dla ekipy Zjednoczonej Prawicy niewybieralny i że ze swoją menedżerską optyką zwyczajnie nie pasował do powstającej sitwy układów i układzików. Zaangażował się w prywatny biznes: został udziałowcem firmy MW Rail, zajmującej się wynajmem wagonów i lokomotyw.

Szefem państwowej Agencji Rozwoju Przemysłu, kontrolującej bezpośrednio lub pośrednio ponad sto firm, został w lutym 2025 r. Swoją aktywność obficie relacjonował na portalu LinkedIn. Sto dni pracy na stanowisku prezesa podsumował następująco: brak śladów biznesowego zarządzania spółkami, codzienne pożary, procesy wymagające porządków od podstaw, kapitał ludzki niewykorzystany albo uśpiony. Zapowiadał „optymalizację firm" w portfolio agencji (w tym pozbywanie się tych nieperspektywicznych), tworzenie specjalnych stref ekonomicznych, udzielanie kredytów podmiotom prywatnym oraz inwestycje, głównie w dziedziny strategiczne: zbrojeniówkę, zieloną energetykę oraz projekty związane z powojenną odbudową Ukrainy.

Arkadiusz Krężel, były szef ARP, znający Balczuna od kilkunastu lat: – *Ucieszyłem się, że został szefem agencji. Jako minister aktywów państwowych wskoczył po prostu stopień wyżej. Myślę, że będzie dyskretnie pilnował, by ARP podążała ścieżką, którą wyznaczył.* Na razie obowiązki prezesa w agencji przejął Bartłomiej Babuśka, który ma doświadczenie menedżerskie, a także pełni funkcję prezesa Polsko-Ukraińskiego Instytutu Pomocy i Rozwoju, co można czytać jako mocniejsze zaangażowanie ARP w działalność biznesową w Ukrainie.

Rekonstrukcję rządu Arkadiusz Krężel odbiera następująco: Balczun powinien łatwo znaleźć wspólny język z ministrem finansów Andrzejem Domańskim, również obytym w sektorze prywatnym. – *Likwidacja Ministerstwa Przemysłu, ulokowanego w Katowicach, jest wymowna. Oznacza uproszczenie zarządzania aktywami państwa i koniec sentymentów dla górnictwa. Nie stać nas na przejadanie pieniędzy, trzeba dbać przede wszystkim o zbrojeniówkę i metalurgię. Już zapowiedziano tworzenie nowych podmiotów na gruzach upadłych Rafako i Huty Częstochowa, będą miały status firm strategicznych. Wojtek Balczun w takiej organizacyjnej robocie jest świetny.*

Nadanie impetu inwestycjom w sektor zbrojeniowy jest jednym z najważniejszych zadań nowego ministra. Większość z astronomicznego budżetu 187 mld zł na obronność idzie dziś na zagraniczne zakupy. Menedżer działający w zbrojeniówce: – *Rolą ministra Balczuna jest uwolnienie potencjału produkcyjnego. Prywatne firmy w branży mają projekty, biznesplany, ale nie ruszą bez wsparcia finansowego. Nie mamy już tego komfortu, by produkować na półkę, a ruska agresja to poważne zagrożenie. O Balczunie słyszałem, że nie kolekcjonuje stanowisk i jest konkretny.*

Balczun, biorąc posadę ministra, mocno zaryzykował. I albo będzie „Happy Ending" – jak w notowanym na listach utworze Chemii, albo potężny „kac Vegas".

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl ad2f04fa8d

Gra w rekrutację

JOANNA CIEŚLA

200 tys. tegorocznych maturzystów startowało do ponad 400 szkół wyższych w Polsce. Rekordziści składali papiery na 30 kierunków na różnych uczelniach. System rekrutacji przypomina dziś grę komputerową.

Maja, 19-latka z Kielc, ma szczęście, bo dość szybko zrozumiała, czym chce się w życiu zajmować: rozwiązywaniem międzynarodowych konfliktów. – *Dość dobrze wybrałam profil w liceum: humanistyczny, z rozszerzonym językiem polskim, angielskim i historią. Dość dobrze, bo zamiast zdawać maturę z historii, wolałam z wiedzy o społeczeństwie. A ten przedmiot na moim profilu kończył się po jednej lekcji tygodniowo w pierwszej klasie.* Dlatego Maja przez lata przygotowywała się do matury samodzielnie i na korepetycjach, za pieniądze rodziców: 80–100 zł za godzinę. – *Nie narzekałam, fascynuje mnie temat relacji między państwami. Ale musiałam też ćwiczyć tworzenie pism procesowych – prywatnego aktu oskarżenia, apelacji i kasacji, bo takie zadania pojawiają się na maturze z wos, uznawanej za najbardziej wymagający z tych egzaminów.* Zimny pot oblał Maję w trzeciej klasie,

© PAP/TOMASZ GZELL

eprasa.pl ad2f04fa8d

gdy dotarło do niej, że szansę na studia prawnicze na dobrym uniwersytecie daje wynik z wos na poziomie ok. 60 proc., podczas gdy średnia krajowa to zazwyczaj ok. 30 proc. I że chętni kandydaci zamiast tego przedmiotu do uwzględnienia w rekrutacji mogą zgłosić wynik z geografii, z której te 60 proc. znacznie łatwiej osiągnąć. To wtedy Maja pomyślała, że może błędem było słuchanie rodziców mówiących: „Ucz się tego, co lubisz, a wszystko się ułoży". 17-latka wyrzucała sobie, że za późno zaczęła myśleć strategicznie.

Wyścig do miejsc na ponad 400 uczelniach w Polsce w fazę finałową wszedł po ogłoszeniu wyników matur 8 lipca. Wcześniej kandydaci na studia mogli rejestrować swoje dane w elektronicznych systemach uczelni, potem uzupełniali rubryki z egzaminacyjną punktacją. Pierwsze listy przyjętych na ponad kilka tysięcy kierunków studiów pojawiły się w połowie lipca. A wraz z listami porcja przykrych zaskoczeń, bo okazało się, że progi punktowe konieczne do pokonania, by znaleźć się na wybranym kierunku, w wielu miejscach podniosły się w stosunku do ubiegłorocznych, choć wyniki matur utrzymują się na podobnym poziomie, więc na logikę powinno być tak samo.

Ostatecznie więc los przyznał rację tym, którzy – zgodnie z tendencjami ostatnich lat – wysyłali aplikacje z rozmachem. Na przykład na 19 kierunków, jak „rekordowy" kandydat na Uniwersytecie Warszawskim, lub na 30 kierunków na różnych uczelniach, jak niektórzy chętni na studia medyczne.

To tylko jeden z poziomów maturalno-rekrutacyjnej absurdeski, dotyczącej ok. 200 tys. tegorocznych absolwentów. System, w którym muszą sobie radzić, przypomina grę komputerową obfitującą w pułapki, zmieniające się reguły i *questy* (czyli zadania), z których obronną ręką pozwala wyjść wyłącznie kombinacja inteligencji, refleksu, dalekowzroczności i sprytu. Choć w zasadzie nie wiadomo, czy ma to jakikolwiek sens, bo cel, czyli zdobycie adekwatnego do współczesnych wyzwań i potrzeb wykształcenia, i tak wydaje się raczej mglisty.

Poziom 1: wiedz, czego chcesz

Na pierwszy poziom tej gry wchodzi się w ósmej klasie podstawówki. Główne zadanie etapu to dobrze wybrać liceum, a konkretniej: odciąć sobie część marzeń. Choć wszyscy dziś wiedzą, że trudno przewidzieć, czym będzie świat w perspektywie czterech–pięciu lat, projektanci polskiej edukacji oczekują, że 14-latek określi, kim on sam chce być w perspektywie lat pięciu–dziesięciu. Bo jeśli wybiera naukę w technikum, choćby był pracowity i zdolny, raczej musi porzucić myśl o karierze lekarza. Nie nauczy się biologii i chemii, które kandydaci na studia medyczne muszą dobrze zdać na maturze. Kto wybierze profil biologiczno-chemiczny w liceum, teoretycznie wciąż ma szansę dostać się np. na ekonomię, gdzie liczone są wyniki matury z rozszerzonej matematyki i geografii, jednak czeka go przepotężny wysiłek.

– *Zazwyczaj w pierwszej klasie szkoły średniej ludzie rozglądają się po nowej szkole. W drugiej klasie starają się przetrwać, bo jest najwięcej godzin i strasznie dużo materiału* – relacjonuje Maja. – *W trzeciej zaczynają myśleć o studiach i wtedy właśnie może się okazać, że licealny profil nie pasuje do tego, czego chcieliby się dalej uczyć. Ale przenieść się między profilami jest trudno. Moi koledzy w podobnych sytuacjach też ratowali się korkami, ale i tak mieli problem, żeby zaliczać klasy. Bo zwłaszcza dobre licea niechętnie odpuszczają naukę na profilach* – kontynuuje dziewczyna. Tylko pojedyncze publiczne licea w całym kraju umożliwiają wybór przedmiotów rozszerzonych później, np. pod koniec drugiej klasy.

Ale może się okazać coś jeszcze: że spora część podejmowanego przez nastolatka wysiłku na tym etapie gry poszła na szlifowanie ornamentów, by nie powiedzieć bruku w edukacyjnej ślepej uliczce. Anna z Warszawy uczyła się do dwujęzycznej matury z geografii i matematyki, w języku angielskim. – *Ale dodatkowe punkty za tę dwujęzyczność przyznaje w rekrutacji na kierunki ekonomiczne tylko jedna uczelnia w mieście – Szkoła Główna Handlowa, w innych to nie ma żadnego znaczenia. A mnie akurat forma studiów na SGH za bardzo nie odpowiada.* Podobnie jest w przypadku Bartka, który zdał dwujęzyczną maturę z matematyki i fizyki po angielsku w jednym z najlepszych techników w Polsce. Na najatrakcyjniejszych kierunkach, np. na Politechnice Warszawskiej, też nie ma za to bonusów. Kogo bardziej poniosą opowieści o mobilności i umiędzynarodowieniu, może wylądować jeszcze koślawiej. Aneta, uczennica z Gdańska, na ostatni rok szkoły średniej wyjechała do Stanów. Wróciła do domu z amerykańską maturą. Przy składaniu dokumentów na rodzimy uniwersytet medyczny zażądano od niej dokumentu poświadczającego znajomość języka polskiego na poziomie B2. W ramach sprzątania po ubiegłorocznej aferze wizowej taki wymóg wprowadzono wobec wszystkich kandydatów na studia z zagranicznymi maturami – niezależnie od obywatelstwa.

Poziom 2: dobrze zdaj maturę

Główny *quest* drugiego etapu gry o wykształcenie może się wydać jasno zakreślony – każdy mniej więcej wie, co to znaczy dobrze zdać. Ola, uczennica z Mazowsza, nie zdała wystarczająco dobrze, by dostać się na dziennikarstwo, polonistykę, sztukę pisania ani też publikowanie współczesne na Uniwersytecie Warszawskim (takie kierunki wybrała za głosem serca, tłumiąc obawy o materialną przyszłość w świecie przejętym przez sztuczną inteligencję). Obrót spraw trochę ją zastanawia, bo uczyła się zawsze dobrze, z egzaminów – rozszerzony polski i filozofia – wyszła dość zadowolona. Rozczarowały ją wyniki matur: 60 i 32 proc. W klasie Bartka, w jednym z najlepszych techników informatycznych w kraju, część uczniów uznała, że z uzyskanymi wynikami nie ma sensu nawet aplikować na obleganą informatykę na Politechnice Warszawskiej. Co też wydaje się zadziwiające.

Ola złożyła wniosek o wgląd do swoich prac maturalnych pod koniec drugiego dnia po uzyskaniu wyników, w ostatniej dopuszczonej przepisami chwili. Wcześniej przez te dwa dni nikt w warszawskiej Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej nie odbierał jej telefonów, gdy chciała dopytać o techniczną ścieżkę przejścia procedury. Na tym etapie gry wykazała się nieustępliwością, bo życie nauczyło ją już, że ograniczone zaufanie do instytucji ma sens. Po egzaminie ósmoklasisty mama Oli wniosła o ponowne sprawdzenie jej pracy i okazało się, że oceniający błędnie zaniżył jej wynik o trzy punkty. Decydowały o przyjęciu do liceum, w którym Ola chciała się uczyć.

Pod koniec lipca Najwyższa Izba Kontroli ogłosiła raport o ocenianiu matur w latach 2021–24. Informację prasową zatytułowano klarownie „Oblany egzamin ze sprawdzania". Na podstawie analizy danych z Centralnej Komisji Egzaminacyjnej i z OKE w Poznaniu kontrolerzy zmiażdżyli działanie polskiego systemu. Wypunktowali, że co piąty egzaminator poznańskiej OKE popełniał błędy merytoryczne w ocenie prac, a kilkanaście procent – błędy techniczne. W skali kraju co czwarty wniosek o weryfikację wyniku egzaminu maturalnego kończył się podwyższeniem punktacji i zmianą świadectwa. Takich wniosków przybywa, ale wciąż ▶

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ dotyczą tylko niewielkiej części prac (w 2024 r. był to mniej więcej 1 proc. – 16 tys.). Strach myśleć, jak wielką skalę błędów w niezweryfikowanych pracach może to oznaczać. Błędy zresztą mogą też zdarzać się w drugą stronę. – *W mojej szkole wszyscy zdający rozszerzony egzamin z polskiego uzyskali wyniki 90–100 proc., choć poziom naszych uczniów był bardzo zróżnicowany. Część z nich nawet nie miała humanistycznego profilu, poszli z marszu, niektórzy tak robią. Jestem przekonana, że po prostu mieli szczęście trafić na łagodną oceniającą* – opowiada dyrektorka szkoły średniej z centralnej Polski. – *Dla dzieciaków i naszej pozycji w rankingu to świetnie, ale po tym doświadczeniu nie mam złudzeń – polski na maturze to jakaś loteria.* Dodajmy, że mowa o egzaminach zewnętrznych ustanowionych, aby ocena wyników kształcenia i rekrutacja na kolejne etapy przebiegała sprawiedliwie, transparentnie i wiarygodnie, zapewniając równy dostęp do nauki.

Faktycznie nawet dostęp do weryfikacji ocen nie jest równy. Właściwe napisanie wniosku wymaga umiejętności, których nie posiada przeciętny uczeń ani nawet jego rodzic. Nauczyciel polonista nie zawsze może pomóc, a profesjonalnym usługodawcom trzeba zapłacić ok. 500 zł. Oczywiście wcześniej trzeba też ponieść koszty dojazdu do komisji egzaminacyjnej – czasem w odległym mieście wojewódzkim – by obejrzeć i sfotografować pracę. Krótko mówiąc, niekompetencja i pomyłki dorosłych narażają uczniów i ich rodziny także na bezpośrednie finansowe straty. W krajach o bardziej rozwiniętej kulturze prawnej instytucja działająca tak jak polska CKE runęłaby pod lawiną pozwów o odszkodowania.

Co do Oli, to termin wglądu w prace maturalne wyznaczono jej na sierpień. Na uczelniach będzie już po pierwszej i po drugiej turze rekrutacji. Ewentualne podniesienie liczby punktów nic jej nie da. Teoretycznie przepisy nakazują uczelniom przeprowadzenie dla kandydatów w takiej sytuacji rekrutacji uzupełniającej, ale zazwyczaj jest to możliwe pod różnymi warunkami, jeśli np. inny, przyjęty już, kandydat zrezygnuje. Co na atrakcyjnych kierunkach w praktyce się nie zdarza. O tym też wspominała NIK.

Poziom 3: nie zgub się w gąszczu tur

Ten etap czasem przewrotnie nazywa się „Najdłuższe wakacje w życiu", bo tak to wyglądało, gdy rodzice dzisiejszych kandydatów zdawali maturę, krótko po niej egzaminy na studia i spokojnie czekali do października na „Gaudeamus igitur". Obecnie głównym zadaniem jest zachować czujność, szybkość reakcji i nie pogubić się w terminach dopełniania formalności. Maja, absolwentka liceum z Kielc, aplikowała na trzy uniwersytety w trzech miastach, w sumie na siedem kierunków – stosunki międzynarodowe, europeistykę i prawo. Bartek, absolwent technikum z Warszawy – na 10 kierunków informatycznych na czterech uczelniach; chciał na jeszcze dwa w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, ale za każdy zapis płaci się tam osobno ponad 80 zł, więc ograniczył się do jednego. Jak tłumaczą nastolatki, zapobiegliwość, czasem ekstremalna, wymuszona jest m.in. koniecznością składania aplikacji przed ogłoszeniem wyników matur. Ale z kolei szerokie rozsiewanie wniosków rekrutacyjnych na wszelki wypadek sprawia, że w planie masowym pogłębia się chaos i przedłuża niepewność, ile punktów i na co wystarczy. Tym bardziej że w rekrutacji uczestniczą też absolwenci z wcześniejszych lat. Możliwe (to się dopiero okaże), że w tym roku jest ich nawet więcej niż zwykle. Niewykluczone, że to przyczyniło się do zastanawiającego podniesienia progów na wielu kierunkach.

Maja, mimo obaw, z matury z wos uzyskała 87 proc. – jeden z najlepszych wyników w kraju. Na kierunki politologiczne dostała się od razu, ale na prawnicze, na których najbardziej jej zależy, jest na listach rezerwowych. – *Interesuje mnie szczególnie Uniwersytet Jagielloński, tam obecnie jestem 40. w kolejce pod kreską. Może się załapię* – mówiła w połowie poprzedniego tygodnia. I dodawała, że wiary nie tracą nawet jej koledzy na pięćsetnych miejscach w kolejkach na popularne studia. Na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku lista rezerwowa na kierunek lekarski liczy obecnie ponad 2 tys. osób. Teoretycznie nawet ostatni mają szansę na miejsce.

Kto dostanie się tam, gdzie chce najbardziej, musi potwierdzić chęć studiowania i zazwyczaj w dwa dni dowieźć na uczelnię dokumenty. Jeśli tego nie zrobi, miejsce się zwalnia, a kolejna osoba z rezerwy zapraszana jest do rekrutacji. Jeśli przegapi swoje okienko, szansa przepada. Od nowa można jej szukać w rekrutacji uzupełniającej w drugiej turze, jeśli jest prowadzona. A ponieważ harmonogramy rekrutacji na różnych uczelniach się różnią, kandydaci co rusz odświeżają strony uczelnianych systemów, sprawdzają maile i dostępność połączeń kolejowych. Maja, żeby – w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie na UJ – na wszelki wypadek potwierdzić miejsce na stosunkach międzynarodowych na UW, złapała ostatni bilet na pendolino, które dowiozło ją do Warszawy tuż przed zamknięciem uczelnianego sekretariatu.

Poziom 4: a teraz decyduj

Nauczycieli akademickich i uczelnianych ekspertów od rekrutacji uderza, jak niejednoznaczny stosunek do studiów mają dziś młodzi ludzie. Przybywa tych, którzy na zachodnią modłę decydują się na modny *gap year*, rok przerwy przed nauką na uniwersytecie (choć na razie to grupa kilkuprocentowa). Jednocześnie ci, którzy od razu chcą się kształcić dalej, wpadają w panikę na myśl, że mogliby się nigdzie nie dostać.

Na ostatnim etapie gry o wyższe wykształcenie najtrudniejszym przeciwnikiem bywasz dla siebie sam. Prof. Barbara Fatyga, socjolożka z Instytutu Nauk Stosowanych UW, opowiada o studentce, która zwróciła jej uwagę bladością i wyraźnym przemęczeniem. Oraz ciągłymi prośbami o wypuszczenie z zajęć 15 minut przed końcem. – *Gdy w końcu udało mi się ją zapytać, o co chodzi, okazało się, że dziewczyna studiuje trzy czy cztery kierunki, bo mama jej powiedziała, że musi się zabezpieczyć. Zapytałam, czy w ogóle korzysta z biblioteki. Nie ma czasu, bo jeszcze musi pracować. Zapytałam, co by wybrała, gdyby nie musiała tego wszystkiego robić. Powiedziała, że wybrałaby filozofię. Ale że nie może, „bo nie będzie z tego chleba". To skrajny przykład, ale obrazuje, jak funkcjonuje dziś wielu młodych ludzi.*

Profesorka nie podziela radości z przytaczanych z entuzjazmem statystyk, według których 60–80 proc. studentów dziennych pracuje już w trakcie studiów. – *Rozumiem, że zmusza ich do tego sytuacja życiowa, ale moim zdaniem dla wielu z nich to za duży wysiłek, który odbija się na zdrowiu i sprawia, że nie czerpią ze studiowania tego, co mogliby zyskać. Oni często nawet nie wiedzą, gdzie są. Immatrykulacja odbywa się przez kliknięcie klawisza „Akceptuj" na internetowym koncie studenta. Nie jestem wielką zwolenniczką akademickich ceremonii i pochodów rektorów w sobolach, ale gdy młodzi ludzie w ogóle się z nimi nie zetkną, nie mają poczucia przynależności i nie doświadczają rytuałów przejścia. Dzisiejszy sposób studiowania nie przynosi zrozumienia świata i pogłębia psychiczne kryzysy.*

Pytani przez nas przedstawiciele kilkunastu uczelni zgadzają się, że młodzi ludzie traktują studia zdecydowanie bardziej

eprasa.pl ad2f04fa8d

Mapa kierunków

Do matury przystąpiło w tym roku 255,5 tys. absolwentów liceów, techników i szkół branżowych drugiego stopnia. 80 proc. z nich, czyli ok. 200 tys., zdało egzamin bez poprawki, co pozwala uczestniczyć w głównej rekrutacji na uczelnie. Faktycznie studia na pierwszych latach zazwyczaj zaczyna znacznie więcej osób; w ubiegłym roku było ich ok. 350 tys. W tej grupie są też absolwenci wcześniejszych lat, którzy zmieniają kierunki albo wracają do nauki po przerwie. Według badania Eurostudent VIII wśród polskich studentów niecałe 12 proc. zaczyna studia po dłuższej niż dwuletnia przerwie od matury. 60 proc. z nich kontynuuje edukację bezpośrednio po szkole wcześniej. Jeszcze kilka lat temu ten odsetek wynosił 67 proc. Ponad 60 proc. wybiera naukę stacjonarną. Ofertę dla potencjalnych studentów przygotowało ponad 400 szkół wyższych w Polsce, w tym 135 publicznych, ponad 260 niepublicznych i 17 kościelnych. Zdecydowana większość – ok. 280 – to uczelnie zawodowe, a 135 – akademickie.

Czołówka najchętniej wybieranych spośród 2 tys. kierunków studiów ma skład podobny od lat – to psychologia (nawet do 20 osób na jedno miejsce), informatyka, zarządzanie oraz prawo, a także rozmaite orientalistyki oraz studia związane ze sztuczną inteligencją (po kilkunastu kandydatów na miejsce, ale warto pamiętać, że wielu z nich aplikuje na więcej niż jeden kierunek). Dużo chętnych nadal zapisuje się też na kierunki lekarskie, choć takie kształcenie proponuje już ponad 50 ośrodków, poczynając od okrzepłych, jak Warszawski Uniwersytet Medyczny, a skończywszy na mniej oczywistych, jak Społeczna Akademia Nauk w Łodzi (koszt studiów od 5,4 tys. zł miesięcznie) czy toruńska Akademia Kultury Społecznej i Medialnej pod patronatem Tadeusza Rydzyka. Aż 27 osób zgłosiło się na kierunek lekarski w filii Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Bielsku-Białej. Rośnie też popularność kierunków mniej oczywistego praktycznego zastosowania, jak kryminologia – na UW 14 kandydatów na miejsce, ale i kryminalistyka w biogospodarce (Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie), zielarstwo i fitoprodukty, zoofizjoterapia czy muzyka użytkowa.

Oczywiście tym, co spędza sen z powiek kandydatom na najbardziej atrakcyjne kierunki, jest szansa na przeskok przez próg punktowy pozwalający dostać się na studia. Punkty są wyliczane na podstawie wyników maturalnych aplikanta, zwykle poprzez dość skomplikowane wzory, a progi to wypadkowa tych wyników, liczby chętnych i liczby miejsc. Na Politechnice Warszawskiej najwyższe progi w tym roku zbudowały się do kierunku Aerospace Engineering. Żeby się tu dostać, trzeba było zdobyć aż 204 z 225 możliwych do zdobycia punktów za wyniki z matematyki, języka obcego i jednego dodatkowego przedmiotu. Ale nie brak też kierunków takich jak pedagogika, informacja naukowa czy praca socjalna, gdzie – na wielu uczelniach – próg zatrzymuje się na poziomie 30 pkt na 100 możliwych.

użytkowo i pragmatycznie, mniej kierują się zainteresowaniami. – *Oczywiście, to się nie musi wykluczać. Ale widać, nawet poprzez kierunki najchętniej wybierane na uniwersytetach, że największą popularnością cieszą się te, które gwarantują stabilną, dobrze płatną pracę: prawo, psychologia, gdzie na naszej uczelni od lat utrzymuje się proporcja ok. 19 kandydatów na miejsce* – ocenia prof. Bogumiła Kaniewska, rektorka Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu i prezeska Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich.

Prof. Krzysztof Mendrok, prorektor ds. kształcenia w krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, zauważa, że od ubiegłego roku, być może w związku z rozwojem sztucznej inteligencji sprawnie piszącej proste komputerowe kody, maleje różnica w skali zainteresowania kierunkami informatycznymi i pozostałymi technologicznymi. – *Prym nadal wiodą kierunki związane z przestrzenią cyfrową, jak cyberbezpieczeństwo, zarządzanie bezpieczeństwem informacji czy tworzenie przestrzeni wirtualnych i gier. Jednak porównywalnie wysoki wskaźnik rekrutacyjny obserwujemy np. na automatyce i robotyce czy fizyce technicznej. Dominacja kierunków informatycznych utrzymuje się, ale z tendencją malejącą* – ocenia prorektor.

Nową erę w rozwoju oferty kształcenia wyznacza zaangażowanie Polski w badania kosmiczne i sukces Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego. Na przykład AGH otworzyła kierunek Space Technologies (na razie na drugim stopniu, dostępny dla inżynierów), a Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu – inżynierię danych satelitarnych i kosmicznych, która z miejsca stała się rekrutacyjnym przebojem. Przebojem jest również groznawstwo (tworzenie i analiza gier komputerowych) na UAM, ale też nowy kierunek laboratorium praktyk tekstowych czy antropozoologia (skupiona na badaniu relacji i interakcji ludzi i zwierząt) na UW. Z kolei okrzepłe na uniwersytecie kulturoznawstwo w tym roku doczekało się spektakularnego skoku progów punktowych. Na wielu uczelniach medycznych w czołówce popularnych kierunków znalazła się praktyczna i konkretna fizjoterapia.

– *Dostrzegamy wyraźne przenikanie się fascynacji cyfrowym światem, sztuczną inteligencją i humanistyką* – relacjonuje prof. Kamila Jankowiak-Siuda, prorektorka ds. dydaktyki w Uniwersytecie SWPS. Na uczelni dużym zainteresowaniem cieszą się kierunki interdyscyplinarne, np. połączenie psychologii z informatyką. Nasi młodzi rozmówcy przyznają, że oni i ich koledzy często mają trudności z wyborem, rozważają studia na więcej niż jednym kierunku, jeśli wynik rekrutacji na to pozwoli.

Prof. Jankowiak-Siuda też widzi potrzebę indywidualizacji, dopasowywania studiów do własnych marzeń i wizji. Model amerykańskiego uniwersytetu, pozwalającego na radykalną zmianę kierunku kształcenia przez dwa–trzy lata po maturze, byłby dużo bardziej adekwatny do obecnej rzeczywistości. Ale w Polsce wciąż jesteśmy w realiach faktycznego wyboru drogi zawodowej przez dzieci w wieku lat 14. I obecnie dla ok. 40 proc. młodych uczestników gry o wykształcenie jej finał jest taki, że po pierwszym roku rezygnują ze studiów (według danych Polskiej Komisji Akredytacyjnej). Może dlatego, że dopiero wtedy mają pierwszą okazję do podjęcia samodzielnej i względnie świadomej decyzji o własnej edukacji. A spośród tych, którzy zostają na uczelniach, mniej więcej połowa poprzestaje na studiowaniu trzyletnim. Odbierają tytuł licencjata, dający prawo do wpisu wyższego wykształcenia w statystyczne rubryki, i uciekają czym prędzej z systemu kształcenia. Po tym, jak ich traktuje przez wcześniejsze kilkanaście lat, wydaje się to w pełni zrozumiałe.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl ad2f04fa8d

Szatan może wejść w każdego

Przejął nieruchomość w zamian za obietnicę dożywotniej opieki. A potem zabił. Podpalił ciało. Czy dowiemy się prawdy o księdzu Mirku z Przypek?

JAKUB HALCEWICZ

Do sklepu w Tarczynie, czterotysięcznego miasteczka, położonego 30 km na południe od Warszawy, wchodzi uśmiechnięty klient: – *Niech będzie pochwalony!*

– *Nie chcę tego nawet słyszeć* – odpowiada sprzedawczyni. – *Jeden taki już się pochwalił*. Tym „jednym" jest ks. Mirosław M., czyli – jak się tu o nim mówi – ks. Mirek. 60-letni proboszcz parafii w pobliskich Przypkach i rektor stołecznego cmentarza Południowego w Antoninowie.

Kilka dni wcześniej, 24 lipca, około dziesiątej wieczorem, jechał samochodem ze znajomym, 68-letnim Anatolem Czaplickim. Pokłócili się o sprawy bytowe: lata temu ks. M. w zamian za działkę zobowiązał się do dożywotniej opieki nad Czaplickim, któremu miał zapewnić mieszkanie. Sprzeczali się o jego lokalizację. Wysiedli z auta we wsi Lasopole, nieopodal krajowej pięćdziesiątki, w połowie drogi między Grójcem a Górą Kalwarią. Proboszcz kilkakrotnie uderzył znajomego siekierą w tył głowy. Potem oblał benzyną i podpalił.

Zdążył spisać numery

– *Służby powiadomił mój kolega* – opowiada ten sam klient sklepu w Tarczynie. Sprawdzał, co się dzieje na drodze, bo w tych okolicach jest wiele sadów i wiele złodziejstwa. Tym razem jednego z sadowników zaniepokoił wysoki ogień. Zobaczył palącego się człowieka i terenowe auto, które odjeżdża bez świateł. Zdążył spisać numery.

Czaplickiego nie udało się uratować. Oparzenia objęły 80 proc. powierzchni ciała. Według wstępnych ustaleń biegłego ofiara jeszcze żyła. Policjanci od razu zidentyfikowali auto, pojechali na plebanię w Przypkach i zatrzymali właściciela. Proboszcz jest podejrzany o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem. Grozi mu od 15 lat więzienia do dożywocia. Przyznał się do winy. Wyraził żal.

Nikt nie pojmuje, jak to wszystko mogło się stać.

Choć władze archidiecezji warszawskiej informowały, że w Przypkach jest zapewnione zastępstwo za proboszcza, na początku zeszłego tygodnia planowe msze się nie odbywały, a drzwi kościoła były zasłonięte roletą. Około 7.30 kobieta w średnim wieku pilnowała przy kościele porządku. Nie chciała rozmawiać. Rzuciła tylko, że proboszcz jest świetny i nie pozwalał sobie wejść na głowę.

Ale zabił? – *Nie wiemy!*

Przypki to jedna z najmniejszych parafii w diecezji warszawskiej. We wsi mieszka ok. 300 osób. Początkowo była tu kaplica filialna parafii Świętego Mikołaja w Tarczynie. Powołanie odrębnej parafii było odpowiedzią na potrzeby i postulaty okolicznych działkowiczów.

Według Geoportalu grunt w środku wsi należący do Kościoła liczy blisko 5,5 ha. Stoi na nim maleńki kościółek bez oddzielnej plebanii. Tył budynku zdaje się domem mieszkalnym: wystaje z niego garaż, nad którym rozciąga się taras. Rozstawiona suszarka czeka, aż ktoś wywiesi pranie. Do betonowych tralek trytytkami i sznurkami przymocowane są cztery jelenie czaszki z porożem. Ks. Mirek jest myśliwym. Na końcu działki w metalowych kojcach wyglądają go dwa psy w rodzaju myśliwskiej łajki.

Msze odbywają się najbliżej w parafii św. Mikołaja. Przed ósmą modli się tam 30 osób. O tej porze w kościele są wyłącznie tacy, którzy zamawiają mszę za zmarłych, albo tacy głęboko religijni. Zło przypisują szatanowi, a nie ks. Mirkowi, którego pamiętają jeszcze z czasów jego pierwszej służby jako wikariusza w tym kościele. – *Szatan walczy z rodziną, przez niego są rozwody i zginiemy jako naród, może wejść w każdego* – mówi parafianka. Druga wspomina pogrzeb prowadzony przez ks. Mirka w Antoninowie. – *Aż podeszłam mu podziękować za ten piękny styl. Zaprosił do siebie. Porozmawiał. Nie tak jak inni.*

Proboszcz był porywczy

Gdyby ktoś szukał dla siebie parafii przez Google, opinie użytkowników o ks. Mirku raczej do Prypek zniechęcają. „Powiem tak, dość specyficzny

ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

eprasa.pl ad2f04fa8d

proboszcz i albo się dostosujesz, albo...", „Ksiądz arogancki, zapomniał o 1 Liście do Koryntian. Brak miłosierdzia, tylko tłusty SUV". Ktoś wspomina pogrzeb na cmentarzu Południowym sprzed roku: „Od początku prowadził mszę w sposób agresywny, kazanie niewiele miało wspólnego ze śmiercią czy pożegnaniem, bardziej mówiło o potępieniu i o problemach z wiernymi. Stwierdził, że nie jest tu dla przyjemności, a dla formalności". Na cmentarzu Południowym chowani są także bezdomni. Wśród działaczy społecznych znana jest niechęć ks. M. do tych pogrzebów; opóźniał je i odprawiał z konieczności. „Najgorszy ksiądz, z jakim mieliśmy okazję pracować na ślubie – pisze inna osoba. – Chamstwo i agresja, która przez niego przemawiała, dała nam nieźle w kość, na samym początku dostaliśmy taki opier... za nic oczywiście, że aż nam się odechciało".

W Tarczynie mówi się, że od co najmniej kilkunastu lat skargi na ks. Mirka szły do kurii, a organizacjom zajmującym się zwierzętami zgłaszano, że niewłaściwie traktował własne psy. – *Proboszcz był porywczy. W trakcie mszy mówił, że jak komuś nie pasuje, to ma wyjść z jego kościoła* – mówi mieszkanka Prypek.

Kilka osób wspomina, że wyrzuciły proboszcza z domu w trakcie kolędy. Są rozmowne, bo czują, że dzieje się krzywda i nie tak powinna wyglądać codzienność w Kościele. – *Jakimi on nas grzechami i diabłami nie wyzywał, bo mamy tylko ślub cywilny* – wspomina inna mieszkanka Przypek, która starała się o chrzest dziecka. Jednocześnie miał się wściekać, że wierni po sakramenty wolą chodzić do Tarczyna. – *Raczej wszyscy mamy takie samo zdanie na temat tego pana w sutannie* – słyszymy.

– *Część osób go nie lubiła, ale nie wszyscy się muszą lubić* – podsumowuje sołtys Przypek Maciej Sówka. Nie chce wybielać proboszcza, dystansuje się, nie chodził do tego kościoła. Teraz skupia się na żniwach. – *Napisane jest: „Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni"* – dodaje.

Są jednak tacy, którzy znają ks. M. od lat (wcześniej pracował jeszcze na warszawskim Ursynowie), cenią jego kazania i zaangażowanie w pracę, mówią o nim „nieskazitelny"; gdy inni wypominają mu pazerność, oni tłumaczą, że nie potrzebował pieniędzy, bo dorabiał jako architekt. Jeszcze bardziej nie wierzą w to, co się teraz dzieje.

Kolejny sklep i kolejna rozmowa. – *Jaki bezdomny ten Anatol, skoro dał księdzu osiem hektarów?* – zachodzi w głowę mieszkaniec Tarczyna. – *Musiał ostro wkurzyć Mirosława* – dodaje. I zamyśla się: – *Gdyby chociaż Mirosław go, k..., nie podpalił.*

Podobno po księdzu widać było, że potrzebuje urlopu albo emerytury; że dręczyły go padaczka (wzywano do niego karetkę, nawet podczas mszy), nerwica, do tego jakiś czas temu złamał nogę – a kuria to wiedziała, ale nie pomogła.

Prokuratura i prasa, pisząc o Czaplickim, używa słowa „bezdomny". Faktycznie pochodził z rodziny poczciwej i życiowo niezaradnej. I taki też był. Po śmierci rodziców przejął gospodarstwo. Ale w 2003 r. trafił do ośrodka dla bezdomnych przy Żytniej w Warszawie. Jego dyrektorem był wtedy ks. M. Umówili się na wymianę: działka po rodzicach za opiekę i mieszkanie. Była to prywatna sprawa ks. M., niezależna od instytucji Kościoła. Ksiądz działkę sprzedał (jej wielkości, ceny, lokalizacji ani tego, czy stoi na niej dziś osiedle, nie udało nam się potwierdzić). A konieczność wywiązania się z umowy z podopiecznym przez lata stawała się dla niego wyrzutem sumienia. Czy ten wyrzut doprowadził do zbrodni?

– *Nie znamy stanu neurologicznego i psychicznego ks. M., ale to się zdarza* – mówi ks. Andrzej Pęcherzewski, proboszcz parafii pw. Matki Bożej z Góry Karmel w Dąbkach, teolog i terapeuta. – *Można mieć pewne wyparte obszary świadomości, cechy charakteru narcystycznego z potencjałem zadawania bólu i niszczenia. A jako księża jesteśmy grupą zawodową zamkniętą i z trudem poddającą się procesowi terapeutycznemu* – tłumaczy.

Ks. M. mógł być niepoczytalny, mógł nosić w sobie zdolność do popełnienia zbrodni i mógł ją zaplanować. Stan jego zdrowia prokuratura zamierza poznać w ciągu najbliższych miesięcy.

Ja nie przepraszam

Dzień po zbrodni oświadczenie wydał metropolita warszawski abp Adrian Galbas. Nie chował głowy w piasek: „Jestem przybity i zdruzgotany wiadomością, że jeden z moich księży brutalnie zamordował człowieka – ubogiego i bezdomnego. Nie mam odpowiedzi na żadne pytanie zaczynające się od słowa: »dlaczego?« (...) Jako biskup Kościoła w Warszawie czuję się moralnie odpowiedzialny za wszystko, co się w tym Kościele dzieje – zarówno dobrego, jak i złego. Także za tę okropną zbrodnię. Przepraszam Was".

Abp Galbas wyznaczył na ubiegłą niedzielę modlitwę ekspiacyjną (prośba o wybaczenie grzechów własnych i cudzych) po każdej mszy w całej archidiecezji. W Przypkach mszę odprawił warszawski bp pomocniczy Rafał Markowski – prosił o modlitwę za zmarłego i o nawrócenie sprawcy. Ks. M. ma zostać wydalony ze stanu kapłańskiego (to najwyższa możliwa kara w prawie kanonicznym), a kuria zapewnia o współpracy z państwowym wymiarem sprawiedliwości.

Sprzedawczyni w sklepie w Tarczynie się oburza: – *Biskup chce, żebyśmy przepraszali. Ja nie przepraszam, ja nie zabiłam. Mam się modlić za zwyrodnialca? Ksiądz to zwykły człowiek, powinien zap... tak jak my od piątej rano. A on kazał sobie drogę odśnieżać, bo inaczej nie wchodził z kolędą. – Najgorzej, jak sobie wyrobi papiery wariackie i go wypuszczą* – dodaje klient.

Do kurii nie docierały sygnały

Dla niektórych metropolita zareagował za szybko. Chciał być empatyczny, odsłonił emocje, wziął winę na siebie, choć jest w diecezji nowy. Jeśli biegli stwierdzą, że M. jest chory, wyjdzie na to, że zwierzchnik go porzucił. A jeśli M. okaże się zdrowy, odpowiedzialność spada na kurię, która nie kontroluje kadr, a księży z problemami pozostawia samym sobie – aż coś się wydarzy.

Rzecznik archidiecezji ks. Przemysław Śliwiński twierdzi, że podczas 18 lat pracy proboszcza w Przypkach przyszły na niego dwie skargi. Pierwsza dotyczyła sposobu udzielenia komunii świętej, druga – odprawienia pogrzebu. W obu przypadkach odbyło się spotkanie z proboszczem i udzielono mu stosownego pouczenia. – *Do kurii nie docierały sygnały o poważnych problemach osobowościowych księdza, jego konfliktowości czy niestabilności psychicznej* – mówi ks. Śliwiński.

Wierny w pobliskiej parafii usłyszał w tych dniach od księdza podczas spowiedzi, że przykład zabójcy w sutannie pokazuje, do czego może prowadzić grzech, jeśli się z nim nie walczy. Może koledzy księdza M. wiedzą więcej niż kuria? ■

eprasa.pl ad2f04fa8d

Kultura na unijnych fundamentach

Minęło ponad 20 lat od momentu, gdy Polska dołączyła do Unii Europejskiej. Wsparcie z funduszy EU na trwałe zmieniło krajobraz naszego kraju. Modernizacja transportu, rewitalizacja miast, nowe uczelnie, parki technologiczne – to wszystko widzimy na co dzień. Rzadziej uświadamiamy sobie, że również polska kultura – w całej swojej różnorodności – rozwija się dzięki temu wsparciu.

Dzięki funduszom europejskim możemy zrealizować wiele inwestycji, które dotychczas pozostawały jedynie w sferze planów. Odrestaurowaliśmy liczne zabytki, w tym m.in. zamki, muzea, teatry, rozbudowaliśmy i odremontowaliśmy szkoły i uczelnie artystyczne, powstały nowoczesne sale koncertowe, centra kultury i biblioteki, zakupiliśmy nowoczesne wyposażenie służące wzbogaceniu oferty kulturalno-edukacyjnej, a lokalne instytucje zyskały szansę, by konkurować z największymi ośrodkami. Co więcej, rozwój infrastruktury i bogatsza oferta przyczyniły się do wzrostu ruchu turystycznego i większej obecności polskiej kultury na arenie międzynarodowej.

Dziś, z perspektywy dwóch dekad, widać wyraźnie: **członkostwo w UE stworzyło realne warunki do dalszego rozwoju polskiej kultury – od wielkich miast po najmniejsze miejscowości.**

Polska jest obecnie niekwestionowanym liderem wykorzystania środków UE na kulturę w Europie. Od lat skutecznie zabiegamy o środki na kulturę i efektywnie je wydatkujemy. Obecnie wdrażany Program Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko (tzw. FEnIKS), finansowany jest z budżetu UE na lata 2021-2027. Mimo zmniejszenia środków przeznaczonych na cały Program **dla Priorytetu Kultura wynegocjowaliśmy rekordową alokację ponad 2,8 mld zł, tj. o 621 mln zł więcej niż w poprzedniej perspektywie finansowej.**

Dlaczego dotacje dla kultury są tak ważne? Bo dziedzictwo kulturowe to nie tylko przeszłość – **to także przyszłość – fundament, na którym budujemy wspólnotę**. Dlatego kolejne edycje programów europejskich – jak obecny FEnIKS – poświęcają kulturze szczególną uwagę.

Realizowane w ramach programu FEnIKS zadania dotyczą **rozwoju infrastruktury kultury w celu tworzenia miejsc integracji społecznej oraz podniesienia atrakcyjności turystycznej najcenniejszych zabytków.** Głównym efektem programu będzie wzrost udziału społeczeństwa w życiu kulturalnym oraz podniesienie atrakcyjności

eprasa.pl ad2f04fa8d

turystycznej regionów, ze szczególnym uwzględnieniem miast tracących swoje funkcje gospodarczo-społeczne. Ważną częścią realizowanych inwestycji jest współpraca z podmiotami lokalnymi, w tym m.in. z organizacjami pozarządowymi. Poza działaniami infrastrukturalnymi projekty będą wspierały profesjonalizację kadr kultury, zadania edukacyjne podnoszące świadomość ekologiczną społeczeństwa oraz współpracę z partnerami z innych państw.

W Programie FEnIKS w ramach VII Priorytetu Kultura rozdysponowaliśmy już łącznie ponad **1,6 mld zł**. Dzięki nim zrealizujemy 52 projekty w całej Polsce, zarówno z małych miejscowości jak Wieliczka czy Nałęczów, średnich jak Kielce i Radom, jak i tych największych jak Warszawa czy Kraków. Wśród nich znajdują się inwestycje dotyczące renowacji zabytkowych siedzib ważnych instytucji, m.in. budynku Teatru Słowackiego w Krakowie, Muzeum Zamkowego w Sandomierzu, Teatru Polskiego we Wrocławiu, Muzeum Narodowego w Kielcach, rozbudowy Opery Nova w Bydgoszczy, Książnicy Kopernikańskiej w Toruniu, wspierające integrację społeczności lokalnych poprzez zwiększenie udziału w kulturze w miastach tracących funkcje gospodarczo-społeczne, wśród nich m.in.: modernizacja Centrum Kultury w Żyrardowie, rozbudowa Domu Kultury w Mielcu czy budowa Bytowskiego Centrum Kultury. Wśród dofinansowanych projektów znalazły się także te dotyczące najcenniejszych zabytków wpisanych na listę UNESCO (np. Sanktuarium w Kalwarii Zebrzydowskiej, Zamek w Malborku, Kościół Pokoju w Świdnicy) czy Listę Pomników Historii Prezydenta RP (np. zabytkowy Zespół Sierocińca w Gdańsku, barokowy dawny klasztor misjonarzy w Tykocinie).

O wszystkich projektach zrealizowanych z Programu FEnIKS jak i z wcześniejszych jego edycji (POIiŚ 2007–2013 i POIiŚ 2014–2020) można przeczytać na stronie www.feniks.kultura.gov.pl w sekcji mapa projektów.

Obecnie trwa ostatni już nabór na projekty infrastrukturalne w kulturze w ramach programu Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko (Priorytet VII, Działanie 7.1. Infrastruktura kultury i turystyki kulturowej). **Wnioski można składać do 30.09.2025 r.** Wyniki naboru poznamy w kwietniu 2026 roku. Szczegółowe informacje o naborze dostępne są na stronie www.feniks.kultura.gov.pl.

„Dzięki wsparciu finansowemu ze środków Unii Europejskiej możliwa staje się realizacja przedsięwzięć, które przyczyniają się do wzmocnienia roli kultury w życiu społeczności. To dla mnie ogromna satysfakcja, że Polska w sposób tak przemyślany i odpowiedzialny wykorzystuje szanse, jakie niosą fundusze strukturalne – nie tylko dla rozwoju infrastruktury kultury, lecz także dla ochrony i zachowania dziedzictwa kulturowego. Sukces tych działań nie byłby możliwy bez zaangażowania instytucji kultury i samorządów, które dostrzegają strategiczne znaczenie kultury w budowaniu wspólnoty i tożsamości lokalnej"– podkreśla Marta Cienkowska, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko
Rzeczpospolita Polska
Dofinansowane przez Unię Europejską
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl ad2f04fa8d

Tam stało się coś złego

Jezioro Ośno w miejscowości Wilcze. Tu wydarzyła się tragedia. Na fot. obok: zatrzymanie 19-letniego ratownika.

Tamtej nocy było zimno i ciemno. Od dwóch dni padał deszcz. Na niebie nie było widać żadnych gwiazd. Dlaczego więc 15-letni Dominik wszedł do jeziora w ubraniu, ciężkich butach, z pełnym harcerskim ekwipunkiem?

KATARZYNA KACZOROWSKA

Dlaczego 19-letni ratownik i 21-letni drużynowy nie asekurowali chłopaka, który miał przepłynąć na drugi brzeg jeziora i rozpalić ognisko? Zostali na pomoście. Nie wsiedli do łódki, w której zresztą i tak nie było żadnego sprzętu ratunkowego. Według ustaleń POLITYKI komendant obozu nie wiedział, że Marek G. i Igor K. poszli z 15-letnim Dominikiem w środku nocy na pomost po to, by mógł zdobyć stopień ćwika. Mogą nim zostać chłopcy w wieku 13–16 lat, którzy wykażą się takimi umiejętnościami, jak zmontowanie wędki, złowienie i oprawienie ryby czy rozpalenie ognia bez zapałek. Wykaz tych umiejętności zawarty jest w regulaminie. Do zdobycia stopnia ćwika konieczna jest też próba: „zespół zadań, które kandydatowi na wyższy

© NEWSLUBUSKI/EAST NEWS, KPP WOLSZTYN

eprasa.pl ad2f04fa8d

stopień wyznacza jego drużynowy. Ich celem jest wykształcenie w kandydacie cech pożądanych przez harcerstwo".

Ćwik to nie tylko mistrz w technikach harcerskich, którego nie załamują trudności. To nastolatek aktywny fizycznie, który daje sobie radę w każdej sytuacji, próbuje sił w nowych dyscyplinach, jest odpowiedzialny za kolegów, a przede wszystkim umie udzielić pomocy. Również tonącemu. Dominik był przybocznym, co dla 15-latka było znacznym osiągnięciem, dowodzącym jego umiejętności, sprawności i ambicji. Dzisiaj to, co wydarzyło się pomiędzy tą trójką, jest kluczowe dla wyjaśnienia tragedii, do której doszło w nocy z 23 na 24 lipca nad jeziorem Ośno w miejscowości Wilcze.

Pytamy: dlaczego?

Pogrzeb Dominika odbył się kilka dni po tragedii, w rodzinnym Witoszowie niedaleko Świdnicy. Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej przekazał, że najbliżsi proszą, by media uszanowały ich prywatność. W ostatniej drodze Dominikowi towarzyszyli harcerze i poczty sztandarowe – o to też poprosiła rodzina. A ks. Krzysztof Janiak podczas mszy mówił do nich wszystkich: „Drodzy, to jedno z tych kazań, których się nie chce mówić. I które pewnie nie powinno być kazaniem. Raczej modlitwą. Milczeniem. Westchnieniem. Płaczem. Albo obecnością. Bo gdy żegnamy 15-letniego chłopca – syna, przyjaciela, harcerza, ministranta – serce się kurczy. I pytamy: »Dlaczego?«".

Przewodnicząca ZHR hm. Anna Malinowska w oświadczeniu dla Polskiej Agencji Prasowej: „Działania, które narażają zdrowie i życie harcerzy, nie są naszym standardem. Dlatego dążymy do kompleksowego i jak najszybszego wyjaśnienia sprawy, aby zrozumieć, co się wydarzyło. Nie chcemy, żeby podobne nieszczęście kiedykolwiek się powtórzyło".

Rzecznik ZHR hm. Adam Pacyna: – *Jestem w harcerstwie od 17 lat. To ponad połowa mojego życia. I nigdy wcześniej nie spotkałem się z praktyką takich wyczynów jak na obozie w Wilczu. Tak, harcerze mają próby związane z pływaniem w jeziorze. Również w ubraniu, które muszą w tej wodzie ściągnąć. Ale to się dzieje pod okiem ratowników i w dzień, przy pełnej asekuracji.*

Phm. Jan Garnecki, rzecznik prasowy Dolnośląskiego Okręgu ZHR, któremu podlega 1. Sudecka Drużyna Harcerzy „Virtus" im. Brygady Świętokrzyskiej NSZ (jej członkami byli tragicznie zmarły przyboczny Dominik i drużynowy Marek): – *Na pewno wydarzyło się tam coś, co naruszyło procedury bezpieczeństwa. Ale okoliczności są dla nas zagadką. Nie wiemy, jak oni znaleźli się na tym pomoście bez wiedzy komendanta.*

Obóz harcerski w Wilczu rozpoczął się 5 i trwał do 25 lipca. Uczestniczyło w nim 74 harcerzy podzielonych na pięć drużyn. Każda z nich miała swojego drużynowego i plan zadań na trzy tygodnie wypoczynku. Organizatorzy spełnili wszystkie wymagane prawem obowiązki: zgłosili obóz do kuratorium oświaty we Wrocławiu. I zatwierdzili go w wewnętrznym systemie.

Płynął tylko z czołówką

Próba Dominika miała miejsce w przedostatnią noc obozu. Ciało chłopca służby ratownicze wyłowiły z jeziora w czwartek o 5.30. Drużynowy, który na obozie był wychowawcą, oraz ratownik zostali zatrzymani. Postawiono im zarzuty narażenia zdrowia i życia oraz nieumyślnego spowodowania śmierci. Nie przyznali się do winy. Grozi im do pięciu lat więzienia. Prokurator nie wnioskował do sądu o tymczasowe aresztowanie. W kolejnych doniesieniach medialnych ujawniono, że Dominik płynął z tzw. czołówką na głowie. Czy zgubił orientację w wodzie, bo światło latarki odbijało się od tafli i go oślepiło? Na pewno to nikłe światło stracili z oczu ratownik i drużynowy, którzy zorientowali się, że chłopak chyba zniknął pod wodą. Ciało znalazł dopiero sonar, którym strażacy skanowali dno jeziora – kilkadziesiąt metrów od brzegu. Wyłowiono je cztery godziny po zaalarmowaniu służb.

W akcji ratunkowej uczestniczyli strażacy z Wolsztyna, specjalistyczne jednostki z Poznania i Kościana. Policja ujawniła, że Dominik nie był asekurowany, choć osoba, która zgłosiła służbom, że zniknął pod wodą, powiedziała, że w łodzi obok niego płynęli ratownik WOPR i opiekun obozu. Obaj mieli próbować ratować chłopca. Bezskutecznie. Według informacji „Gazety Wyborczej" już w czwartek rano po znalezieniu ciała chłopca śledczy wiedzieli, że zgłaszający kłamał. Nie ujawnili jednak, kto dzwonił na numer alarmowy.

Nie ma pewności, jak dokładnie przebiegały wydarzenia. Nieco światła rzuca relacja rodzica jednego z harcerzy, który porozmawiał z POLITYKĄ: – *Łodzie z wyposażeniem ratunkowym były już spakowane. Ostatniego dnia obozu miał przyjechać po nie tir. Dlatego ta jedna łódka przy pomoście nie miała żadnego sprzętu. Kiedy Dominik zaczął tonąć – możliwe, że złapał go skurcz, bo wtedy było zimno, a nasiąknięte wodą ubranie było jak zbroja – wołał o pomoc. Ratownik wpadł w stupor, nie był w stanie się ruszyć. Wtedy po ratunek do obozu pobiegł drużynowy. Wrócił* ▶

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ *z harcerzami z drużyny wodnej, ale już nic nie mogli zrobić. To jezioro jest zamulone, pełno w nim roślin. Dlatego harcerze pływali w nim w dzień, przy przystani. W nocy wodniacy mogli być na jeziorze tylko na łódce i tylko w kapokach. A w dzień jakiekolwiek próby mogli robić przy pomoście. I z asekuracją.*

Rodzic harcerza nie ma wątpliwości, że bez względu na to, komu bardziej zależało na stopniu ćwika: Dominikowi czy drużynowemu, to właśnie drużynowy i ratownik powinni byli powiedzieć twarde „nie" i storpedować pomysł nocnej próby w skrajnie nieprzyjaznych warunkach, w dodatku wykonywanej bez wiedzy komendanta obozu. Wyklucza też, że ta tragiczna próba była karą czy harcerską falą, znaną przede wszystkim z wojska. – *Znam te dzieci. Tam nie było do tej pory takich przemocowych działań, presji czy nacisków* – mówi z przekonaniem ojciec harcerza.

Biegł za nimi jak cień

Jacek Czarnecki, dziennikarz, obecnie wicedyrektor Programu I Polskiego Radia i kiedyś harcerz z 37. Warszawskiej Drużyny Harcerzy: – *Prawo harcerskie reguluje morale. A technik harcerskich się uczymy. Czyli uczymy się tego, jak się poruszać po lesie, posługiwać mapą, budować schronienie, gdzie i jak rozpalać ognisko.* Zgodnie z harcerskimi zasadami, jak tłumaczy Czarnecki, harcerz pomaga słabszym, codziennie stara się wypełnić jakiś drobny, dobry uczynek, ale też ma świadomość żywiołów. I chodzi o to, by przygotować go do życia z tym wszystkim.

– *Dzisiaj ludzie płacą mnóstwo pieniędzy za to, żeby pójść na kurs surwiwalowy, a harcerze takie rzeczy dostają ot tak, po prostu. Uczą się jako zuchy, młodsi harcerze czy później jako starsi harcerze. Ten chłopak, który utonął, na pewno się doskonalił. Był 15-latkiem i już był przybocznym. A to poważna funkcja* – podkreśla Czarnecki. I przyznaje, że kiedy on był harcerzem, to w jego drużynie, jak już coś zrobili, to chcieli zrobić coś jeszcze lepszego. Wyznaczali sobie różne zadania. Sami. Któregoś roku zdecydowali, że na obozie wędrownym będą spali w dziwnych miejscach. I spali. W budce dróżnika, na chórze w kościele w Świętej Lipce obudził ich koncert jazzowy jednego z braci. Dzisiaj o takich wyzwaniach mówi się, że to challenge.

Pytany o sytuacje ryzykowne czy niebezpieczne Czarnecki tłumaczy, że swoich harcerzy uczyłby, że jeśli płyną w butach, to pierwszą rzeczą w wodzie będzie ich zdjęcie i przywiązanie do pasa. Że pływanie w mundurze to próba wytrzymałości, choć dystans 500 m, jaki miał pokonać Dominik, to jednak bardzo dużo.

– *Uczyłem moich harcerzy spać pod śniegiem. W Karkonoszach jeden z nich, wydawałoby się doświadczony, twardy człowiek, taki przynajmniej jest do dzisiaj, nie chciał iść, nie chciał jeść. Chciał spać. Zmusiłem go dość brutalnie do tego, żeby jednak wstał, założył plecak i poszedł dalej. Była śnieżna zima, przebijaliśmy się przez bardzo trudny teren i musieliśmy dojść do schroniska. Doszliśmy. I usnęliśmy po pięciu minutach na podłodze. Ale trzeba było tam dotrzeć* – opowiada Czarnecki.

Przyznaje, że zdarzało mu się wysyłać harcerzy na karniaka, jak nazywało się ciężki alarm, kiedy w pełnym ekwipunku mieli wykonać jakieś zadanie. Raz za złamanie ciszy nocnej trójkę wysłał do wsi przez las. Ale całą drogę biegł za nimi. Jak cień. Żeby mieć pewność, że są bezpieczni.

Nie ma zgody na hejt

Konrad Ciesiołkiewicz, rzecznik rządu Kazimierza Marcinkiewicza, w latach 1997–99 drużynowy 145. Warszawskiej Drużyny Harcerzy „Dykuman", a w latach 2004–06 członek rady naczelnej ZHR, kilka dni po tragedii w Wilczu zamieścił na swoim koncie na Facebooku wpis adresowany nie tylko do harcerzy. I zaapelował o rozwagę w ocenach i osądach, jednocześnie stając w obronie harcerskiej metody wychowawczej. „W niektórych miejscach podnoszony jest argument młodego wieku kadry, systemu stopni i sprawności, organizacji obozów i stawiania pionierki z użyciem narzędzi ostrych (piły, młotki, siekiery, toporki, gwoździe etc.), tzw. systemu zastępowych, hierarchii w drużynie i wielu innych" – napisał, nie kryjąc, że z taką krytyką się nie zgadza.

I wyjaśnił, że pierwszy raz prowadził jako komendant zgrupowanie obozów w wieku 21–22 lat – pod jego opieką było 160 harcerek i harcerzy. Zgrupowanie miało też ratownika, pielęgniarkę, kierowcę, oboźnych, wsparcie kuchenne i inne niezbędne do jego funkcjonowania osoby przygotowane do pełnienia tych ról. Najmłodsza z komendantek miała wtedy 16–17 lat.

Marta: – *Harcerstwo mnie uratowało. Nauczyło samodzielności. Były lata 90. Moi rodzice stracili pracę, pojawiły się problemy z alkoholem. I to mundur i zasady z nim związane dały mi oparcie, które w moim życiu procentuje do dzisiaj.*

Dla Marty tragedia z Wilcza nie powinna być powodem do zmasowanej krytyki obozów harcerskich – wszystkich, ale szczególnie tych organizowanych przez ZHR oraz przez Kościół, bo ZHR odwołuje się do wartości chrześcijańskich. I podkreśla, że wypadki, również te najtragiczniejsze, zdarzały się i zdarzać będą.

– *Rzecznik prezydenta Lecha Kaczyńskiego Paweł Wypych, który zginął w katastrofie smoleńskiej, też był harcerzem. I instruktorem na zimowisku. Jedna z jego harcerek zginęła na stoku. To jest nieszczęśliwy wypadek, ale też doświadczenie, które zostaje z żywymi już na zawsze* – mówi Marta. I nie kryje, że jej zdaniem śmierć 15-letniego Dominika to nie tylko tragedia jego najbliższych, ale też dramat, który zmieni życie 19-letniego ratownika i 21-letniego drużynowego. Bo w sprawnościach i stopniach harcerskich nie chodzi o bezsensowne ryzyko (choć, jak przyznaje, nastolatkom przychodzą do głowy różne rzeczy, te głupie też), ale o pokonanie własnych słabości, lęków, o samodoskonalenie.

Rzecznik ZHR hm. Adam Pacyna: – *Trwa przegląd zasad bezpieczeństwa – czy są na pewno w 100 proc. szczelne – by drugi raz do takiej tragedii nie doszło.* Phm. Jan Garnecki: – *Jest ciężko. Wszyscy to traktują osobiście. Przecież my się wszyscy znamy, obóz to zwieńczenie ośmiu miesięcy pracy.*

W ZHR od 20 lat prowadzone są kursy na wychowawcę i kierownika wypoczynku, każdy z kadry obozu harcerskiego musi je ukończyć: wychowawcy, czyli drużynowi i przyboczni, a także komendant zgrupowania obozów.

Ewa Skrzywanek, dolnośląska kurator oświaty: – *Na spotkaniu kuratorów z minister edukacji, zwołanym po tym wypadku, zastanawialiśmy się, czy nie powinno się wprowadzić jednak dodatkowego przeszkolenia, przypominającego ustalone zasady.*

– *Najwięcej o harcerstwie mówią teraz ci, którzy nic o nim nie wiedzą, nie rozumieją jego sensu i znaczenia. To jest krzywdzące dla tysięcy młodych ludzi, ale też dla ich rodziców i opiekunów. Myślę o tym, co się stało, jako matka i jako harcerka. Czuję ból, ale też nie ma we mnie zgody na hejt na harcerstwo* – mówi Marta.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl ad2f04fa8d

Zawsze jest czas na miłość

Ponad połowa osób w wieku 60+ mieszka samotnie. A to właśnie samotność uważana jest za największy czynnik ryzyka, jeśli chodzi o zdrowie seniorów. Ale nie zawsze osoby starsze są na nią skazane – co pokazują historie późnych miłości.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Ona: anestezjolożka, 80 lat, jeszcze rok temu aktywna zawodowo. On: internista, przez ponad 40 lat lekarz uzdrowiskowy w Polanicy-Zdroju, rok starszy od niej. Wpadli sobie w oko na studiach we Wrocławiu. Ale potem życie ich rozdzieliło. Ona nie założyła rodziny. On tak, ma trójkę dzieci; przed 25 laty owdowiał. Spotkali się po pół wieku w Polanicy. Akurat tam dostała skierowanie na rehabilitację po zabiegu kardiologicznym. Anna Żołnowska i Janusz Zawada

Zanim Janusz oświadczył się Annie i przyjechał do niej z pierścionkiem, powiedział o swoich planach dzieciom. I wszystkie zareagowały entuzjastycznie.

Anna Żołnowska-Zawada: – *Spisaliśmy intercyzę. Nie dziedziczymy po sobie. Nie było żadnych sugestii ze strony rodziny, ale uznaliśmy, że tak będzie po prostu lepiej.*

Pani doktor przyznaje, że gdyby nie oświadczyny na ławce w Polanicy, po których oboje zapalili papierosa, to nie wie, jak potoczyłaby się na nowo stara miłość do Janusza. Przecież nigdy nie wpuściła do swojego mieszkania mężczyzny na stałe. A mąż to mąż.

– *Na nauki przedmałżeńskie też chodziliśmy. Ksiądz żartował, że to on powinien się od nas uczyć, a nie mówić nam, czym jest małżeństwo.* Doktor pokazuje prezentację, jaką przygotowali dla gości na przyjęcie. Bo słowa „wesele" nie używają. Są tu zdjęcia państwa młodych z ich młodości, kiedy zakochani byli w sobie po raz pierwszy. Są z pracy jego i jej, z podróży po świecie, z dziećmi i z przyjaciółmi... Album ze zdjęciami z ich ślubu jest w specjalnej teczce.

Wróg numer jeden

W styczniu 2025 r. Polski Czerwony Krzyż przeprowadził badanie, z którego wynika, że ponad 55 proc. osób w wieku 60+ mieszka samotnie, a ci, którzy mieszkają z rodziną, często sygnalizują, że relacje ▶

© ALEKSANDER MAŁACHOWSKI/HASHTAGALEK Z CYKLU „JESIEŃ ŻYCIA"

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ z bliskimi nie zaspokajają ich potrzeb. Dane populacyjne pokazują realną skalę problemu: aż 9 mln Polaków to osoby w wieku powyżej 60 lat.

Demografowie szacują, że za 25 lat seniorzy będą stanowić ponad 30 proc. społeczeństwa. Jednocześnie geriatrzy mówią jasno: obowiązująca wciąż definicja starości, za której początek uważa się przekroczenie progu sześćdziesiątki, jest już nieaktualna i nie oddaje zmian, jakie dokonują się w społeczeństwie, w którym faktyczny próg starości przesunął się zdecydowanie powyżej 70. roku życia.

Dwa lata temu Stowarzyszenie Mali Bracia Ubogich przeprowadziło badanie dotyczące samotności 80+. Pokazało ono, że: 60 proc. osób po osiemdziesiątce to wdowy i wdowcy, 58 proc. mieszka samotnie, a 26 proc. odczuwa osamotnienie. 12 proc. prawie nigdy nie wychodzi z domu.

W populacji osób starszych większość stanowią kobiety. Według raportu sygnowanego przez ministrę ds. polityki senioralnej (uwaga: stanowisko to właśnie zlikwidowano!) w 2023 r. stanowiły one 58 proc. seniorów. Na 100 mężczyzn przypadało ich 138. Przewaga liczebna kobiet wzrasta wraz z przechodzeniem do kolejnych grup wiekowych – np. w grupie 60–64 lata kobiety stanowiły 52,7 proc. ogółu osób starszych, ale już wśród osób co najmniej 85-letnich 72,1 proc. to kobiety, a na 100 mężczyzn przypada ich 258.

Prof. Mateusz Cybulski z Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, naukowo zajmujący się geriatrią i gerontologią, na UMB zorganizował i prowadzi dwa programy senioralne: Uniwersytet Zdrowego Seniora i Uniwersytet Profilaktyki Psychogeriatrycznej. – *Samotność rodzi łańcuch zależności, bo samotność to depresja, a depresja to bardzo często również różnego rodzaju problemy somatyczne i w efekcie większe prawdopodobieństwo szybszego zgonu* – mówi.

Jak podkreśla prof. Cybulski, choć w polskim społeczeństwie to wciąż temat tabu, badania naukowe jednoznacznie pokazują, że znaczenie ma też aktywność seksualna i – co więcej – ok. 50 proc. osób w wieku 60+ w tym obszarze jest aktywna.

– *Na pewno największym obciążeniem psychicznym jest dla seniora wdowieństwo. Osoby, które tracą partnera w młodszym wieku, mają jeszcze szansę kogoś znaleźć. Trudniej jest tym starszym, choć są przestrzenie, gdzie jest to możliwe. Jedną z nich są uniwersytety trzeciego wieku* – podpowiada prof. Cybulski, przyznając, że kiedy uruchomił w Białymstoku Uniwersytet Zdrowego Seniora, to już pierwszy rok zajęć zaowocował kilkoma bliższymi relacjami słuchaczy i słuchaczek.

– *Jako społeczeństwo stajemy się bardziej konserwatywni, a to oznacza bardziej restrykcyjne normy i zachowania, ale dzisiejsze pokolenie 70–80+ to przecież dzieci kwiaty, których młodość przypadała na czas znacznie większej swobody i otwartości w szukaniu i nawiązywaniu relacji* – tłumaczy profesor. I dodaje, że w tym szukaniu odważniejsi wydają się jednak mężczyźni, kobiety rzadziej wychodzą z inicjatywą.

Tę inicjatywę mogą wesprzeć portale randkowe – tych sformatowanych pod seniorów jest całkiem sporo. Jeden przeznaczony dla osób z wyższym wykształceniem, inny dla tych, które stawiają raczej na swobodną relację. Kilka zarejestrowanych jest za granicą, w Stanach Zjednoczonych i Luksemburgu, choć istnieje też portal polski, reklamujący się jako pewny, z autentycznymi propozycjami, bez oszustw.

Anna i Janusz na ślubnym kobiercu. Ich historia to gotowy scenariusz na film.

Randki i intymność

Maria Bierska, wieloletnia szefowa klubu seniora we Wrocławiu, w jednym z wywiadów nie kryła, że jeszcze kilkanaście lat temu najwięcej znajomości zawieranych było na... cmentarzach. Ona wdowa, on wdowiec, a miejsce sprzyjało nie tylko zadumie, ale też rozmowie o tym, co ich spotkało.

Dzisiaj seniorzy może nie są aż tak biegli w świecie internetu jak ich wnuki, ale na pewno radzą sobie z nim znacznie lepiej niż jeszcze kilka czy kilkanaście lat temu. Tym bardziej że rejestracja na profilu randkowym jest prosta: prowadzi nas wirtualna asystentka, a pytania dotyczą wieku, wykształcenia, typu sylwetki, dochodów, ale też tego, czy ktoś pije alkohol (jak często), pali papierosy... Podaje się też swoje trzy wybrane cechy (np. empatyczny, rozrywkowy, inteligentny) i te oczekiwane u poszukiwanego partnera. Po podaniu miejsca zamieszkania i kodu pocztowego system wyszukuje potencjalnych kandydatów. Najpierw do randek, a potem się zobaczy.

Prof. Piotr Gałecki, krajowy konsultant ds. psychiatrii: – *To było krótko po studiach. Przyszła do mnie pacjentka. Miała 84 lata. I do dzisiaj ją pamiętam, bo kiedy wykluczyłem już wszelkie podejrzenia*

© ARCHIWUM PRYWATNE

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Wszystkie teksty i wywiady, które do tej pory ukazały się w cyklu „Odchodzić po ludzku", znajdą Państwo w specjalnej zakładce na naszej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku**
Zachęcamy też do dzielenia się z nami swoimi doświadczeniami: **akcja@polityka.pl**

eprasa.pl ad2f04fa8d

depresji czy początków demencji, okazało się, że powodem jej stanu i wizyty u mnie był zawód miłosny. Wtedy byłem naprawdę mocno zaskoczony, bo wydawało mi się, że taki stan jest przypisany osobom młodym, a jednak...

Dzisiaj prof. Gałecki ma 50 lat i na tamto doświadczenie patrzy już zupełnie inaczej. Nie kryje też, że choć medycyna wie dużo o rozwoju niemowlęcia, okresie dorastania, o menopauzie i andropauzie, to wciąż niewiele wie o tym, jak zmienia się człowiek, który się starzeje. Tymczasem okazuje się, że 80-latek może być zakochany tak samo jak nastolatek i odczuwać takie same emocje.

– *Nikt na studiach nie uczy studentów fizjologii starzenia, również w aspekcie seksuologicznym, który dla człowieka jest szalenie istotny, bo przecież każdy z nas jest istotą seksualną* – tłumaczy prof. Gałecki, dodając, że na seksualność, czy precyzyjniej: libido, wpływ mają np. leki antydepresyjne (u kobiet częściej je obniżają).

– *Dla mężczyzn aktywność seksualna to sposób potwierdzania męskości. Dla kobiet wyznacznik ich atrakcyjności dla partnera. Zmienia się anatomia i fizjologia naszych narządów, ale potrzeba bliskości, intymności, kontaktu fizycznego jest istotna w budowie relacji emocjonalnej i nie możemy udawać, że tego aspektu w związkach, szczególnie osób starszych, nie ma, że on zanika z wiekiem* – podkreśla profesor.

No kto to widział

Doktor Anna i doktor Janusz wspominają, że ślub był cudowny. Kościół przystrojony, wszyscy przejęci. A ksiądz Wojciech Zięba, który im tego ślubu udzielał, chyba najbardziej.

– *Na drugi dzień moja siostra była w sklepie na osiedlu, na którym znajduje się ten kościół. Coś kupowała, chodziła między regałami i nagle usłyszała dwie starsze panie. Jedna do drugiej mówiła: „No widziała pani coś takiego? Wczoraj w kościele dwóch staruchów ślub brało. Powariowali ci ludzie do reszty!". Zadzwoniła do nas ze śmiechem, że jesteśmy parą wariatów. Może i jesteśmy, ale za to na pewno szczęśliwą* – mówi Janusz Zawada.

– *Jeśli możemy coś radzić, to tylko jedno: nie zamykajcie się w czterech ścianach. Pielęgnujcie przyjaźnie z młodzieńczych lat. Spotykajcie z ludźmi* – mówią Anna i Janusz Zawadowie, którzy 4 września będą świętować już czwartą rocznicę ślubu.

KATARZYNA KACZOROWSKA

REKLAMA

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!
Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Prenumeruj uniwersalnie w druku i cyfrze

Kupuj aktualne numery naszych publikacji

Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na sklep.polityka.pl

Prenumerata „Polityki", „Wiedzy i Życia" oraz „Świata Nauki" także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl ad2f04fa8d

Domki na piasku

Jedni szukają nad Bałtykiem ciszy, spokoju, kontaktu z naturą. Inni – tłumu, gwaru, kramów i dyskotek. Drugi model zdecydowanie przeważa, czemu sprzyja postępująca zabudowa nadmorskich terenów.

RYSZARDA SOCHA

Władysławowo, temperatura kurtkowo-polarowa. Ludzi sporo, ale nie tłumy, jak zwykle w lipcowe weekendy. Nieurodziwe miasteczko bez wyrazu nieco zyskało dzięki ładnej zieleni wzdłuż głównych traktów. Przy ul. Hallera łączącej dworzec PKP z Domem Rybaka (siedziba magistratu) ciągnie się szeroki pas barwnego kwiecia. Ławki przy chodnikach wtopiono w pergole z pąsowymi różami. To sprawia, że mniej rzuca się w oczy brzydactwo na drugim planie – namioty i hangary z tandetą.

Wesoły bałagan

Dojście do plaży. Czego tu nie ma? Zapiekanki, akcesoria plażowe, zabawki, lody, wypożyczalnie leżaków i parawanów, drinki, burgery. Na słupie oświetleniowym: „Cyrk Safari zaprasza". Totalny miszmasz.

Za ciągiem barów i smażalni pod prowizoryczną wiatą działa kino 9D. Obsługująca je Nikola, uczennica klasy maturalnej z Bielska Podlaskiego, objaśnia, na czym to polega: siadamy w fotelu, zakładamy gogle i zależnie od tego, jaką grę wybierzemy, tak toczy się akcja. Sterujemy nią, używając joysticków z przyciskami. W „Gwiezdnych wojnach" się strzela. Ale są gry, gdzie nie trzeba niczego robić, tylko patrzeć. Dzieciaki najczęściej wybierają rollercoaster – daje wrażenie jazdy kolejką górską. Osobom starszym poleca nurkowanie w oceanie, bo można podziwiać różne wodne stworzenia, choć na końcu atakuje rekin i trzeba się bronić.

Gdy Nikola była w podstawówce, przyjeżdżała co roku do Władysławowa z rodzicami. Potem pięć lat przerwy. Obawiała się, że teraz nie odnajdzie już starego klimatu. Ale jest. Wracają wspomnienia zachodów słońca, kopania dziur do samej wody... – *Tu jest różnorodność, trochę takie „Kac Vegas". Wszędzie stragany. Dużo fajnych, tętniących życiem ulic. Na Morskiej są różne występy, które przyciągają dzieciaki i dorosłych. Na Sportowej – puby i życie nocne. Do Władka wiele osób przyjeżdża rok w rok. Wracają, bo podoba im się ten klimat.*

Potwierdza to rodzina z dwójką dzieci z Łęczycy. Byli we Władku wielokrotnie. Mama z babcią snują się z dzieciakami po miasteczku. Tata z dziadkiem łowią ryby. Tym razem wynajęli przy porcie jeden z kolorowych domków: 2 tys. zł za trzy noce. Wygodniej i taniej niż w hotelu. Chwalą, że wszędzie blisko i dużo atrakcji. Byli w Jastarni, w Helu, w planie jest jeszcze lunapark. Oprócz plaży były warkoczyki, tatuaże natryskowe, karuzele, samochodziki... Cały ten wesoły bałagan.

Lubi go też Tomasz, białostoczanin. Ale Władysławowo traktuje jako odskocznię, miejsce z atrakcjami. Bo działkę kupił w Karwieńskich Błotach – cisza,

eprasa.pl ad2f04fa8d

Od lewej: **osiedla w Mielnie wyszły niemal na samą plażę. We Władysławowie chaotycznie i pstrokato. Ale co roku jest i na to klientela.**

spokój, własne zejście na plażę. Potrafi przyjeżdżać tam 20–30 razy w roku. To tereny podmokłe, więc postawił domek holenderski. Młodsi synowie – cztery i osiem – lat mają podwórko i mogą robić, co chcą. Starszy 17-latek żyje już własnym życiem.

Mężczyzna, krzepki 40-latek, jest zakochany w Bałtyku. Jako dziecko był słabego zdrowia, dużo czasu spędził w sanatoriach w Kołobrzegu. Pomogło. Przyglądał się tam pracy fizjoterapeutów. Teraz ma własną poradnię. – *Dla mnie te wyjazdy nad morze to odskocznia od mojego życia na co dzień. Tutaj nikt mnie nie zna. Naprawdę mogę być sobą. U siebie nie, bo co krok spotykam pacjentów.*

Nadmorskie monokultury

W pączkarni naprzeciwko kina 9D pączek z modną czekoladą dubajską – po 15 zł bije na łeb tradycyjnego z różą (8 zł). Jednak zdaniem Nikoli Dubaj zaraz będzie w odwrocie. Wchodzi czekolada anielska – biała połączona z różową watą cukrową. Czy wyprze tę dubajską, tak jak laleczka Labubu wyrugowała z kramów wszechobecną gęś Pipę. – *Teraz im coś dziwniejsze, tym lepsze* – stwierdza sentencjonalnie.

Nie dość, że wieje, to coraz mocniej pada. Na opustoszałej plaży mokną czarne rzędy koszy na śmieci. To właśnie śmieciami od czerwca do połowy lipca żyły władze i stali mieszkańcy miasteczka. Było burzliwe spotkanie z burmistrzem (sala, choć spora, nie pomieściła chętnych) i nadzwyczajna sesja rady miejskiej (przeniesiona do szkoły, by wszystkich pomieścić). Burmistrz Roman Kużel chciał zbudować we Władysławowie „zakład ekologicznego odzyskiwania odpadów", który – jak zapewniał – „pozwoli nam za rok lub dwa szczycić się tytułem Nadbałtyckiej Gminy Czystości nr 1". Odpady nie miały być spalane, ale poddane działaniu pary wodnej. Burmistrz mówił o „wielkiej zmywarce". – *Nie będzie pyłów i sadzy w okolicy, nie będzie odoru, lecz bezwonne powietrze* – przekonywał. Nie przekonał nie tylko mieszkańców, ale i części radnych z własnego klubu.

Według GUS Władysławo jest krajowym rekordzistą w produkcji śmieci zmieszanych. Na obszarze wiejskim gminy na jednego mieszkańca przypadają rocznie 2,2 tony śmieci, w obszarze miejskim niewiele mniej niż tona. Wysoko plasuje się też Mielno, któremu tylko nieznacznie ustępuje Jastarnia. Łeba, Puck, Dziwnów i Międzyzdroje również mają wysokie osiągi. Bo wczasowiska w sezonie puchną od ludzi. Dokładnie nie wiadomo jak bardzo. Spora część bazy noclegowej wciąż funkcjonuje w szarej strefie. Do kasy gminnej wpływów z tego nie ma.

Niektóre samorządy, żeby ogarnąć prawdziwą skalę turystyki, próbują analizować zużycie wody albo logowania do telefonii komórkowej. Generalnie jednak dominują szacunki. Że 10-tysięczne Władysławowo przy dobrej pogodzie przeobraża się w miasto 100-tysięczne, Krynica Morska (1,3 tys. mieszkańców) urasta do 20–30 tys. Im więcej turystów na głowę mieszkańca, tym więcej prowizorki.

Większość miejscowości nadmorskich radośnie witała inwestycje w turystykę, umiarkowanie przejmując się wydolnością infrastruktury. W imię tzw. rozwoju poświęcano ład przestrzenny, krajobraz, przyrodę. Byle mieć jak najwięcej gości. Zmieniano plany pod deweloperów. ▶

© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ Pozwalano budować na plaży i pod niebiosa. Wycinka drzew? Proszę bardzo. Wejście z budową w otulinę rezerwatu? Drobiazg. Wiele tych posunięć kłuje dziś w oczy. A plany zagospodarowania przestrzennego i wydane prawomocne decyzje kryją jeszcze niejedną przykrą niespodziankę. Czasem nie do ruszenia, jak zgoda na wycinkę kilkuset drzew pod hotel na dojściu do Cypla Helskiego.

Władysławowo odstawia dziś śmieci do spalarni w innej gminie. Dostarcza 25 proc. masy, którą zakład przerabia, a nie ma na nic wpływu. Ceny rosną. Burmistrz zapewniał, że w nowym zakładzie, z dużym udziałem miasta, miałoby ono znaczący głos, można by obniżyć opłaty. No i byłby drugą gospodarczą nogą Władysławowa. – *Pandemia uzmysłowiła nam* – podkreśla włodarz – *że gmina, oprócz turystyki, musi mieć inne gałęzie gospodarki, niezależne od pogody.*

Stanęło na tym, że śmieciarki nie zakorkują dróg, w sezonie i tak wystarczająco zakorkowanych. Burmistrz dla „wielkiej zmywarki" będzie szukał miejsca gdzieś poza miastem. Ale zwrócił uwagę na pomijany u nas problem turystycznych monokultur. To pięta achillesowa wielu nadmorskich wczasowisk. Czy to nie jej zawdzięczamy dramatycznie wysokie ceny? A jest jeszcze skomplikowana kwestia depopulacji. W pierwszej trójce polskich miast, które w 20 latach wyludniły się najbardziej w ujęciu procentowym, znalazły się: Władysławowo (spadek o 36,7 proc.), Hel (34,6 proc.) i Jastarnia (33,7 proc.). Ten odpływ ma źródła w wywindowanych cenach działek i mieszkań i w owej monokulturze, w której nie każdy znajduje dla siebie miejsce.

Spokojny luzik

W Kuźnicy (ok. 500 mieszkańców) miejscowi z dezaprobatą mówią o inwestorach z zewnątrz, którzy wybudowali obiekty noclegowe wyrastające kondygnację ponad otoczenie, odbiegające od rybacko-letniskowej architektury wsi.

– *Kuźnica jeszcze się broni, ale nie jest łatwo* – mówi Bogna Konkel ze Stowarzyszenia Miłośników Kuźnicy. – *Ci, którzy tu przyjeżdżają, nie chcą odpoczywać w zabetonowanym otoczeniu. Szukają ciszy i spokoju, swobody. Chcą plaży bez budek. Chcą biegać w rozciągniętym dresie. Cenią sobie dyskrecję. Niedawno ktoś widział Grażynę Szapołowską. I nie poznałby jej, gdyby nie głos. Nasi goście to często ludzie, których stać na takie miejsca jak Bryza w Juracie czy Dom Zdrojowy w Jastarni, ale wybierają Kuźnicę. Jak Janusz Gajos od lat wypoczywający u tych samych państwa. Mając takich gości, warto powalczyć, żeby Kuźnica pozostała taka, jaka jest.*

Na plaży od strony zatoki z chwili słońca korzysta rodzina z Kampinosu – rodzice z dwójką dzieci. Na chwilę. Bo wieczorem rodziców zastąpią dziadkowie. To ich czas z wnukami, rodzinna tradycja. Tak od 14 lat. Od siedmiu lat u tej samej gospodyni, w dwóch malutkich pokoikach połączonych mikroskopijnym aneksem (400 zł za dobę). – *Jest morze i dobre jedzenie* – opowiada chłopak. – *Babcia lubi się kąpać. Dziadek woli ciszę. Zostaje w domu i czyta książki.* Dawniej rodzina przez wiele lat jeździła do Juraty z przyjaciółmi. Ale tam zrobiło się głośno, bardziej komercyjnie. – *Tu jest najspokojniej* – opowiadają.

Trzypokoleniowa familia Katarzyny z Krakowa ma u swojej pani ulubione pokoje. W dniu wyjazdu rezerwują je na następny rok. Mimo że wersalki są niewygodne. W sklepie, w restauracjach widzi znajome twarze. Znaczy i inni wracają.

– *Pogoda jest tak zmienna, że trudno cokolwiek planować. Jak ciepło, to siedzimy na plaży. Leje, to w pokoju pogramy w karty. Chociaż nawet w deszczu można tutaj fajnie pospacerować.*

Zamykające półwysep miasto Hel (2,8 tys.) ze swoim fokarium, muzeum, militariami, domami rybackimi przy Wiejskiej, latarnią morską oraz urodą cypla, zmierza ku modelowi Władysławowa: kram na kramie, buda na budzie, zgiełk. Przez pomosty przerzucone nad plażą ciągną tłumy. Wielu za pomocą GPS stara się zlokalizować wypromowany przez lokalną władzę „początek Polski". Poniżej rozciąga się naturalna plaża. Można tu zobaczyć, jak wyglądają różne stadia wydmy. Ale nawet ta przyrodnicza enklawa na samym końcu półwyspu nie zdołała uniknąć banerów reklamowych.

Co by tu jeszcze zbudować?

O ograniczenie ekspansji inwestycyjnej zabiega teraz Sobieszewo, terytorialnie największa, ale słabo zaludniona dzielnica Gdańska położona na wyspie. Jak się ono do tej pory obroniło przed dzikimi tłumami? Jeśli jest jakaś reguła, gdzie szukać nadmorskich głuszy, to brzmi prosto: tam, gdzie nie da się dojechać samochodem blisko brzegu. Gdzie do plaży trzeba pokonać co najmniej półtora kilometra. Najczęściej polecane są rejony Lubiatowa i Białogóry. Ale te głusze lada moment przekształcą się w zagłębie energetyczne (elektrownia jądrowa, morskie farmy wiatrowe, linie przesyłowe). Sobieszewo to też w większości plaże wymagające dłuższego spaceru lasem.

Ale ponieważ tereny z plażą na wyciągnięcie nogi są na wyczerpaniu i drogie, deweloperzy sięgają i po takie lokalizacje. Podbudował ich sukces kompleksu Solmarina (osiedle apartamentowców, hotel i przystań jachtowa) w Wiślince, która wyrosła dalej od morza, po drugiej stronie mostu łączącego wyspę ze stałym lądem. Ceny na wyspie skoczyły z 300 zł do nawet 1,2 tys. zł za m kw. działki. I choć starzy mieszkańcy marzyli o turystycznym rozwoju, to niekoniecznie o takim.

Pod „Petycją w sprawie ochrony unikalnego charakteru Wyspy Sobieszewskiej", skierowaną do władz Gdańska, podpisało się blisko 5 tys. osób. „Zauważamy ogromne tempo intensywnego zabudowywania Wyspy, z której korzyści wyciągną deweloperzy, a mieszkańcy i miłośnicy Wyspy zapłacą za to cenę. (...) Pod przykrywką »usług turystycznych« budowane są apartamentowce, noszące utajony charakter intensywnej zabudowy wielorodzinnej, czego urzędnicy zdają się nie zauważać".

Piszą też o zagrożeniu dla rezerwatów Ptasi Raj i Mewia Łacha. O wielokilometrowych korkach na wjeździe i wyjeździe. O zagrożeniu, jakie stwarza w razie awarii lub pożaru usytuowany nieopodal przemysł (rafineria, spalarnia odpadów, oczyszczalnia ścieków, budowany gazoport). A gdyby trzeba było ewakuować ludzi? „Niewydolny system komunikacyjny powinien być wyznacznikiem maksymalnej pojemności Wyspy, a ten z kolei nie jest brany pod uwagę" – wskazują autorzy petycji.

Piotr Borys, wiceminister sportu i turystyki, w maju mówił o potencjale wzrostu ruchu turystycznego w Polsce, o możliwości jego podwojenia. Duża pokusa. Dziś to ok. 5 proc. polskiego PKB (100 mld zł rocznie). Nad morzem podwojenie oznaczałoby horror. Minister wieszczył, że będzie to najlepszy rok dla tej branży. Tu raczej nie. Gigantyczna baza wypoczynkowa zaliczyła zapaść. Czas chyba wreszcie przystopować z tą masową rozbudową. Postawić na innego turystę, który doceni nie tylko plażę i kramy, ale też inne walory i inne pory.

RYSZARDA SOCHA

eprasa.pl ad2f04fa8d

NOWE WYDANIE
JUŻ W SPRZEDAŻY

WYDANIE MOŻESZ KUPIĆ TAKŻE Z LUKSUSOWYM KOSMETYKIEM **SENSIBIOME** DO WYBORU

ZWIERCIADLO.PL

DOSTĘPNE INNE WARIANTY PRODUKTU
RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

ODWIEDŹ NAS

zwierciadlo.pl | zwierciadlo_miesiecznik | sklep.zwierciadlo.pl

Wydawnictwo Zwierciadło | wydawnictwo_zwierciadlo

eprasa.pl ad2f04fa8d

Latający cyrk

W tym roku puste, w przyszłym znów przepełnione. Jeśli lotnisko Modlin szybko nie zacznie rozbudowy, będzie duży kłopot.

CEZARY KOWANDA

Kto tego lata leci na wakacje z Modlina, ten tłoku nie musi się obawiać. Jeszcze niedawno niewielki terminal nie radził sobie z ogromną liczbą pasażerów. Teraz pomiędzy poszczególnymi odlotami zdarzają się nawet trzygodzinne przerwy. Wyblakła tablica reklamowa tuż przed lotniskiem informuje, że przez Modlin przewijają się ponad trzy miliony pasażerów rocznie. Tak rzeczywiście było jeszcze niedawno. W 2023 r. lotnisko obsłużyło aż 3,5 mln podróżnych. Kłopoty zaczęły się w ubiegłym roku, gdy liczba pasażerów spadła do 2,8 mln. Ten rok zapowiada się fatalnie – z usług Modlina skorzysta zaledwie 1,5 mln osób. To kara, jaką wymierzył Ryanair zarządowi lotniska za podwyżkę opłat pobieranych przez port za każdego odlatującego pasażera.

Gdy na jesieni 2023 r. Modlin zmienił swój cennik, Ryanair – będący na lotnisku oddalonym o 40 km od centrum stolicy niemal monopolistą – nie ukrywał swojego oburzenia. Chociaż Modlin wciąż należy do tanich portów, irlandzki gigant postanowił się zemścić. Także po to, by wysłać sygnał ostrzegawczy do wszystkich innych lotnisk. Liczba bazujących tu samolotów spadła z siedmiu do czterech, wiele kierunków zostało zlikwidowanych, a w przypadku reszty znacznie zmniejszono częstotliwość lotów. Z Modlina można podróżować obecnie głównie na południe Europy – przede wszystkim do Włoch, Hiszpanii i – w sezonie letnim – do Grecji. Pozostały także niektóre kierunki skandynawskie i brytyjskie czy peryferyjne lotniska obsługujące Brukselę (Charleroi) i Paryż (Beauvais). Sporo połączeń, dostępnych jeszcze niedawno codziennie, jest teraz obsługiwanych tylko dwa lub trzy razy w tygodniu.

Kto z Modlina podróżuje w tym roku, może się cieszyć, że robi to w bardziej cywilizowanych warunkach. Niewielki terminal, oddany do użytku w 2012 r., został zaprojektowany właśnie na taki ruch jak obecnie. Świadczy o tym zaledwie kilka bramek umożliwiających wyjście do samolotów czy skromna oferta sklepów i restauracji. Na pasażerów czeka niewiele siedzeń, a szczególnie ciasno jest w strefie przeznaczonej dla tych, którzy wylatują poza strefę Schengen – głównie do Wielkiej Brytanii.

Już niedługo terminal znowu się przepełni. W ostatnich tygodniach podwarszawskie lotnisko odniosło dwa sukcesy. Po wielomiesięcznych twardych negocjacjach udało się porozumieć

© FRANCISZEK MAZUR/AGENCJA WYBORCZA, MARKUS MAINKA/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ad2f04fa8d

Lotnisko w Modlinie. Nawet jak na port dla tanich linii jest dosyć skromne. Hala ciasna, mało siedzeń, mało sklepów, trochę prowizorka. Doskwiera tym bardziej, im więcej pasażerów się odprawia.

z Ryanairem. Port i irlandzki przewoźnik podpisali nową umowę wieloletnią. Ma ona obowiązywać do 2030 r. i gwarantuje, że do tego czasu Modlin nie wprowadzi kolejnych podwyżek. W zamian za to Ryanair zamierza już w przyszłym roku przywrócić znaczną część zlikwidowanych połączeń i powiększyć swoją bazę. Na tym nie koniec. Już w grudniu w Modlinie pojawią się także Air Arabia (codzienne loty do Szardży blisko Dubaju) oraz największy w Polsce konkurent Irlandczyków – Wizz Air. Na początek ulokuje tu dwa samoloty i otworzy 11 połączeń.

To właśnie największe osiągnięcie zarządu Modlina, bo przez ostatnie 13 lat lotnisko było całkowicie uzależnione od Ryanaira. Wizz Air latał z Modlina tylko przez kilka miesięcy, zaraz po otwarciu terminala w 2012 r. Gdy trzeba było zamknąć na kilka miesięcy pas startowy z powodu pilnego remontu, węgierskie linie wróciły na lotnisko Chopina i już na nim pozostały. Wizz Air najwyraźniej uznał, że nie warto bezpośrednio konkurować z Ryanairem i angażować się w wyniszczającą wojnę cenową. Dziś na głównym warszawskim lotnisku ma aż 14 samolotów. Jednak Chopin Airport jest już bardzo zapchany, a uruchamianie z niego kolejnych połączeń coraz trudniejsze. Wizz Air postanowił zatem po latach przeprosić się z Modlinem. W swoich negocjacjach wykorzystał okazję, jaką był konflikt lotniska z Ryanairem.

Z punktu widzenia pasażerów taka rywalizacja oznacza – przynajmniej na początku – dużo tanich biletów. – *Wizz Air do startu w Modlinie w grudniu tego roku wybrał kierunki, których Ryanair w większości dotąd nie obsługiwał. Jednak Irlandczycy zareagowali natychmiast. Postanowili otworzyć kilka takich samych połączeń, jakie zaoferował Wizz Air, i to miesiąc wcześniej, bo już w połowie listopada. Chodzi na przykład o Ateny, Palermo czy Sofię. Szykuje się zatem wojna cenowa, zwłaszcza w okresie zimowym. Na krótką metę to oczywiście dobre dla pasażerów szukających tanich biletów.*

Nie wiemy tylko, jak zareaguje Wizz Air. Czy będzie gotowy na taką rywalizację i ponoszenie strat – zastanawia się Mariusz Piotrowski, redaktor serwisu lotniczego Fly4free.pl.

Tego lata trudno znaleźć tańsze bilety z Modlina, za to warunki w terminalu są znacznie lepsze. Jednak już niedługo pasażerów, dzięki nowym połączeniom, przybędzie, kolejki do kontroli bezpieczeństwa się wydłużą, a w oczekiwaniu na odlot większość podróżnych będzie stać lub siedzieć na podłodze. Tak jak w ubiegłych latach. To efekt inwestycyjnej blokady w Modlinie trwającej przez cały okres rządów PiS.

Lotnisko ma aż czterech właścicieli – dwóch z nich to samorządy: Mazowsze oraz gmina Nowy Dwór Mazowiecki, na której obszarze leży port. Dwóch innych to państwowa spółka Polskie Porty Lotnicze (zarządzająca m.in. lotniskiem Chopina) oraz Agencja Mienia Wojskowego, kontrolowana przez Ministerstwo ▶

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ Obrony Narodowej. Aby podjąć jakiekolwiek istotne decyzje, potrzeba jednomyślności wśród wspólników.

Tymczasem PiS poprzez PPL blokował wszelkie plany dotyczące rozwoju Modlina, na które z kolei nalegał mazowiecki samorząd kierowany przez marszałka Adama Struzika (PSL). W efekcie Modlin pęczniał od pasażerów, ale nie był w stanie rozpocząć jakichkolwiek inwestycji. Wspólnicy kłócili się, kto jest winny temu, że lotnisko przynosi straty. Do 2023 r. opłat nie można było podnieść, bo obowiązywała stara umowa z Ryanairem – bardzo korzystna dla Irlandczyków, za to dużo gorsza dla samego lotniska.

Po zmianie władzy konfliktu politycznego już nie ma, ale rozbudowa terminalu w Modlinie nie ruszyła. I nie wiadomo, kiedy to się stanie. Do tej pory zakładano, że istniejący terminal zostanie po prostu przedłużony w kierunku wschodnim, a nowa część będzie skonstruowana tak jak stara. Jednak nieoficjalnie wiadomo, że zarządzający portem zastanawiają się nad stworzeniem zupełnie nowego projektu – lepiej dostosowanego do potrzeb tanich linii.

Jak zatem będzie wyglądało podróżowanie z Modlina w przyszłym roku? – *Musimy przede wszystkim szybko ustalić, jaką liczbę pasażerów obsłużymy w kolejnych latach. Pracujemy nad poprawą warunków obsługi podróżnych. Istnieją różne rozwiązanie tymczasowe, które można szybko wprowadzić* – mówi Jacek Kowalski, jeden z wiceprezesów modlińskiego portu. Być może

© LOTNISKO MODLIN

Tak ma wyglądać lotnisko w Modlinie z dobudowanym po lewej stronie nowym terminalem

przy terminalu stanie po prostu hala namiotowa. To rozwiązanie często stosowane w portach na czas rozbudowy. Jak najszybciej trzeba też dodać stanowiska postojowe dla samolotów i zwiększyć przepustowość kontroli bezpieczeństwa. Obecnie wczesnym rankiem z Modlina odlatują cztery samoloty, bo tyle ma tu bazę. Już niedługo ta liczba wzrośnie zapewne do dziewięciu, a to oznacza tłum pasażerów od czwartej rano.

Huśtawka nastrojów ma konsekwencje dla lokalnych przedsiębiorców obsługujących lotnisko. Wielu z nich z napięciem czeka na kolejne informacje od linii lotniczych, bo od tego zależy liczba ich klientów. – *Nie ukrywam, że jeszcze kilka miesięcy temu wielu z nas patrzyło z obawami w przyszłość. Teraz oddychamy z ulgą, gdy okazało się, że przyszły rok będzie już dużo lepszy. Musimy po prostu przetrwać ten trudniejszy czas. Chodzi przy tym nie tylko o właścicieli pobliskich parkingów, pensjonatów, hoteli czy restauracji. Wpływ lotniska na nasz region jest bardzo duży. Pracownicy linii lotniczych wynajmują, a nawet kupują mieszkania w okolicy. Rolnicy sprzedają grunt inwestorom. Mamy ambitne plany – prowadzimy rozmowy w sprawie budowy w okolicy dużego parku rozrywki* – zapowiada Jakub Urbaniak, prezes Stowarzyszenia Partnerstwa Gospodarczego Powiatu Nowodworskiego.

Kłopot w tym, że Modlin wciąż pozostaje zakładnikiem polityków. Zarządzający lotniskiem zdają sobie sprawę, że decyzje o inwestycjach muszą podjąć szybko, do kolejnych wyborów parlamentarnych. Bo po nich udziałowcy samorządowi i rządowi znowu mogą się znaleźć po dwóch stronach barykady. – *Udało się przyjąć wieloletni plan rozwoju, już niedługo ogłosimy przetarg na budowę hotelu przy terminalu, który powinien powstać już dawno. Powiększymy również parkingi, powstanie stacja benzynowa, a w 2028 r. powinny dojeżdżać do lotniska pociągi* – mówi Jacek Kowalski z zarządu lotniska. To zresztą kolejna, bardzo opóźniona inwestycja, którą przez lata bardzo niemrawo prowadziła spółka PKP Polskie Linie Kolejowe. Teraz w drodze z Warszawy trzeba przesiadać się na stacji Modlin z pociągu do autobusu, co jest nie tylko niewygodne, ale też znacznie wydłuża podróż. Także jazda samochodem ze stolicy do Modlina nie jest płynna, bo w pobliżu Warszawy trwa przebudowa trasy ekspresowej S7 ze stolicy do Trójmiasta. Prace mają się zakończyć w 2027 r. – dopiero wtedy korki powinny się zmniejszyć.

Gdy rządził PiS, politycy tej partii przekonywali, że Modlin może co prawda istnieć, ale nie warto go rozbudowywać, skoro powstaje Centralny Port Komunikacyjny. Zamiast Modlina PPL na zlecenie PiS wydał ponad 800 mln zł w Radomiu. Ta inwestycja okazała się zupełnie chybiona. Radomskie lotnisko w ubiegłym roku obsłużyło zaledwie 112 tys. pasażerów – w tym roku wynik może być jeszcze gorszy. Modlin, mimo swoich przejściowym kłopotów z Ryanairem, będzie miał rezultat kilkunastokrotnie lepszy. Także otwarcie CPK nie powinno mu zaszkodzić. Przeciwnie, dla części linii zyska na atrakcyjności po zamknięciu lotniska Chopina. CPK przy wszystkich swoich zaletach będzie miał bowiem jedną istotną wadę – opłaty pasażerskie zostaną ustalone na bardzo wysokim poziomie, aby spłacić ogromne kredyty zaciągnięte na budowę. Na nowym lotnisku nie powstanie oddzielny terminal dla tanich linii, więc te nie mają co liczyć na niższe stawki.

W takiej sytuacji Modlin może stać się jedynym w okolicach Warszawy sensownym rozwiązaniem dla przewoźników niskokosztowych. Jednak nie wiadomo, ilu chętnych zdoła pomieścić. Plany zakładają w pierwszym etapie taką rozbudowę, żeby móc odprawiać około siedmiu milionów pasażerów rocznie (dwa razy tyle, ile w najlepszym dotąd okresie dla lotniska). Jednak ruch lotniczy rośnie w tak szybkim tempie, że ten poziom Modlin może osiągnąć jeszcze przed otwarciem CPK. Na pasażerach mści się to, że przez lata na Mazowszu lotnicze inwestycje były podporządkowane politycznym fantasmagoriom, a nie realiom.

PiS zablokował zarówno rozbudowę lotniska Chopina, jak i Modlina, a równocześnie wydał mnóstwo pieniędzy na Radom. Wszystko podporządkował nierealnym od początku planom otwarcia CPK w 2027 r. Teraz nie wiadomo, jak zapełnić Radom, sensowna rozbudowa Modlina nie jest dobrze przygotowana, za to w trybie ekspresowym ma być powiększane lotnisko Chopina, i tak przeznaczone do zamknięcia zaraz po uruchomieniu CPK. W tym chaosie próbują poruszać się linie lotnicze szukające dla siebie każdego wolnego miejsca w okolicach Warszawy. Na razie znalazły je chwilowo w Modlinie. Jedyna nadzieja chyba rzeczywiście w namiocie. Byle nie cyrkowym.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl ad2f04fa8d

Genialna krypto granda

Donald Trump obiecał zamienić Stany Zjednoczone w światową stolicę kryptowalut. Branża krypto, do której sam należy, już liczy zyski, a ekonomiści ostrzegają, że to się skończy kolejnym globalnym kryzysem finansowym.

ADAM GRZESZAK

Po przyjęciu przez Kongres przepisów podatkowych oficjalnie zwanych Wielką Piękną Ustawą (*One Big Beautiful Bill*), a przez Amerykanów „odwróconym Robin Hoodem" (bo zabiera biednym i daje bogatym), nadeszła pora na Genialną Ustawę (*GENIUS Act*). To ma być fundament kolejnej rewolucji gospodarczej Trumpa – liberalizacji rynku kryptowalutowego i uczynienia stablecoinów pełnoprawnymi cyfrowymi zamiennikami dolara.

Prezydent, który obiecał, że uczyni USA „światową stolicą kryptowalut", jako doświadczony marketingowiec wie, że obok nudnych i długich tytułów ustaw potrzebne są też krótkie, samochwalcze. Tak zatem zredagowano oficjalny tytuł ustawy „o kierowaniu i ustanawianiu krajowych innowacji dla amerykańskich stablecoinów" (*Guiding and Establishing National Innovation for U.S. Stablecoins Act*), by akronim podkreślał geniusz Trumpa.

Stablecoiny to szczególny typ kryptowalut, cyfrowe tokeny powiązane najczęściej z walutą fiducjarną (czyli opartą na zaufaniu do eminenta, zwykle banku centralnego) – dolarem amerykańskim, ale czasem z euro, funtem brytyjskim czy jenem. Mogą też być powiązane z innymi kryptowalutami, towarami lub wykorzystywać złożone algorytmy do kontrolowania podaży i popytu. Zawsze muszą jednak utrzymywać stabilność kursu. Emitentami są firmy kryptowalutowe, które teoretycznie powinny zapewnić pokrycie dla wyemitowanych tokenów i dawać gwarancję, że w każdej chwili właściciel stablecoinów odzyska gotówkę w realu. Słowo „teoretycznie" jest tu kluczowe, bo inwestorzy stracili już na superpewnych inwestycjach wiele miliardów dolarów, w tym także na stablecoinach. Przykładem bankructwo stablecoina Terra w 2022 r. i wciąż powracające wątpliwości dotyczące wiarygodności finansowej Tether, o największej kapitalizacji rynkowej (160 mld dol. – 65 proc. udziału w rynku stablecoinów).

Wiara czyni cuda

Wielka amerykańska giełda kryptowalutowa Kraken lojalnie ostrzega, że „stablecoiny powiązane z walutami fiducjarnymi są z natury także oparte na zaufaniu: uczestnicy wierzą, że scentralizowana strona (emitent – przyp. red.) utrzymuje rezerwy dolarowe w stosunku 1:1. To ryzyko kontrahenta może okazać się katastrofalne w skutkach, gdyby okazało się, że tak nie jest, lub w przypadku ingerencji organów regulacyjnych". I właśnie ograniczeniu ryzyka ingerencji organów regulacyjnych ma służyć Genialna Ustawa Trumpa oraz dwie dodatkowe (o nich za chwilę). Bo dotychczas organy regulacyjne traktowały kryptowaluty i całe związane z nimi otoczenie biznesowe wyjątkowo nieufnie. Stąd liczne postępowania przeciw firmom kryptowalutowym i nakładane wielomilionowe kary.

Wszystko dlatego, że kryptowaluty są niepokojąco zbliżone do schematu piramidy finansowej, w której zyski wypłacane tym, którzy zainwestowali wcześniej, pochodzą z wpłat tych, którzy dołączyli później. A to, że kryptopiramida nie doszła do momentu, gdy zyski nie mają już pokrycia w pieniądzach napływających do systemu, wynika z globalnego charakteru bitcoina i głównych kryptowalut. Zasób nowych uczestników rynku wydaje się niewyczerpywalny.

Dziś na całym świecie jest ok. 500 mln użytkowników kryptowalut. Także ▶

© SHUTTERSTOCK AI

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ w Polsce, gdzie już ok. 20 proc. rodaków posiada aktywa cyfrowe. Być może będzie ich więcej, bo tropem Trumpa obiecuje podążać Karol Nawrocki, który w kampanii wyborczej deklarował zamiar wspierania innowacyjnych rozwiązań finansowych i zapewniał, że jest otwarty na dialog z branżą kryptowalutową. Kłopot jest tylko taki, że w Polsce obowiązuje unijne rozporządzenie MiCA (*Markets in Crypto-Assets*), a Bruksela nie kryje kryptonieufności.

Powód istnienia

Biznes kryptowalutowy oparty jest na korupcji – alarmuje prof. Paul Krugman, noblista, były doradca prezydentów Reagana i Clintona. „Pranie pieniędzy i oszustwa wykorzystujące naiwnych inwestorów nie są niefortunnymi zachowaniami, które rzucają cień na potencjalnie pożyteczny biznes. Dla kryptowalut stanowią one istotę gry, w zasadzie jedyny powód istnienia. (...) 17 lat po pojawieniu się kryptowalut wciąż nie ma – powtarzam: nie ma – znaczących przypadków ich legalnego wykorzystania. Dzieje się tak pomimo wielu wysiłków, aby uczynić kryptowaluty realnym środkiem płatniczym" – czytamy na blogu profesora.

Zwolennicy kryptowalut, zwłaszcza potężna branża krypto, odpowiadają, że to bezpodstawne zarzuty. „Na całym świecie systemy płatności przechodzą rewolucję" – przekonywał przewodniczący Komisji ds. Usług Finansowych Izby Reprezentantów French Hill z Arkansas w trakcie debaty nad Genialną Ustawą. Rewolucyjność kryptowalut polega na technologii blockchain, czyli łańcucha bloków oraz zdecentralizowanego rejestru. Blockchain to system powiązanych ze sobą szyfrowanych kryptograficznie plików cyfrowych zapisanych na wielu komputerach, dzięki czemu jednostki kryptowaluty są chronione, niepodrabialne i każdy może je śledzić przy jednoczesnym zachowaniu anonimowości właściciela.

Bitcoin powstał w 2008 r. w odpowiedzi na światowy kryzys finansowy wywołany przez zachłanne banki i nieodpowiedzialnych polityków. Kryptowaluty mają nas od tych nieszczęść chronić, umożliwiając błyskawiczne bezpośrednie rozliczenia, bez udziału i kontroli jakichkolwiek instytucji, także ponad granicami.

Dlatego od momentu, gdy amerykańska Komisja Papierów Wartościowych i Giełd (SEC) oraz Komisja ds. Obrotu

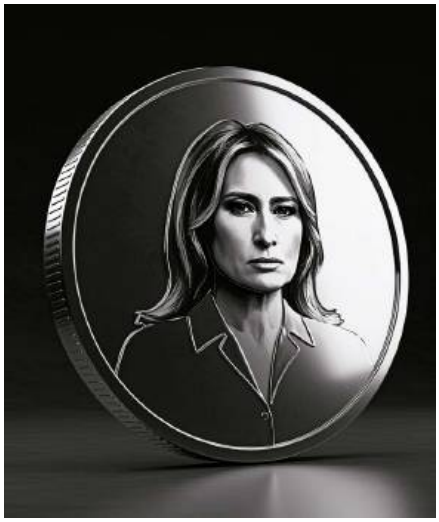

Tak sztuczna inteligencja wyobraża sobie wygląd memowej kryptowaluty $Melania

Kontraktami Terminowymi na Towary znalazły się pod władzą nowego prezydenta oraz Davida Sacksa mianowanego carem do spraw AI i kryptowalut (car to wysoki urzędnik państwowy z szerokimi kompetencjami w określonej dziedzinie), wszystko uległo zmianie. Postępowania przeciw firmom krypto umorzono, a kary darowano. A teraz ustawy Trumpa mają szeroko otworzyć drzwi gospodarki amerykańskiej, a przez to i światowej, dla kryptowalut, szczególnie zaś dla stablecoinów powiązanych z dolarem.

Zaczęło się od bitcoina

Ale komu i do czego potrzebne są stablecoiny? Bo klasyczne kryptowaluty – bitcoin, ethereum i cała reszta, wiadomo: służą głównie do spekulacji. Kupuje się je z wiarą, że ich wartość szybko wzrośnie, przynosząc ogromne zyski, i to już w tradycyjnej walucie. Wszystkim działa na wyobraźnię kariera bitcoina, najważniejszej i największej kryptowaluty świata, od której wszystko się zaczęło. Na początku jeden bitcoin wart był kilka centów, a dziś dochodzi do 120 tys. dol., prognozy zaś mówią, że niebawem dojdzie do 150 tys. dol. Wartość wszystkich wyemitowanych bitcoinów to 2,4 bln dol.

To nakręca biznes, który już stworzył 17 tys. różnych kryptowalut o wartości w sumie ok. 4 bln dol. Z tego też względu kryptowaluty rzadko służą do innych celów niż gra giełdowa. Nieliczni decydują się na zakupy w sieci, korzystając z kryptowalut, ale mało jest takich ofert, bo przy takiej zmienności kursów jest to ryzykowne zarówno dla kupującego, jak i sprzedającego. Być może to się teraz zmieni, jeśli stablecoiny wejdą do szerszego użytku.

Dlaczego Trump postanowił zrobić z USA kryptowalutową stolicę świata i wybrał akurat stablecoiny jako najważniejsze kryptoaktywo? Wyjaśnienia jak zwykle u niego są dwa: prywatne i państwowe. Prywatne jest takie, że prezydent wszedł do biznesu kryptowalutowego z przytupem i błyskawicznie zaczął zarabiać gigantyczne pieniądze. Zajmuje się tym rodzinna spółka World Liberty Financial, w której członkami zarządu są Eric Trump i Donald Trump Jr. Sam prezydent czynnie ich wspiera, bo w ramach akcji promocyjnej dwóch kryptowalut memowych $Trump i $Melania zorganizował ostatnio uroczystą kolację dla osób, które kupiły najwięcej jego kryptomonet.

Jednak spółka prezydent i synowie bardziej stawia na swojego stablecoina USD1. Już dziś osiągnął kapitalizację 2,2 mld dol., choć istnieje od roku. USD1 lokuje się na piątym miejscu w rankingu stablecoinów. Dla dalszego rozwoju kryptobiznesu Trumpa potrzeba sprzyjającego otoczenia prawnego, co Genialna Ustawa mu zapewniła.

„Poza oczywistym motywem osobistego bogacenia się, ciekawszym wyjaśnieniem jest to, że stablecoiny idealnie wpisują się w cel administracji Trumpa, jakim jest zmniejszenie globalnej nierównowagi handlowej, aby „uczynić Amerykę znów wielką" – komentuje grecki ekonomista, były minister finansów Janis Warufakis.

Według niego Trump realizuje nadal swoje główne cele: dewaluację dolara i zmniejszenie deficytu handlowego Ameryki, przy jednoczesnym zachowaniu jej dominacji poprzez groźbę stosowania wysokich ceł. Stablecoiny odgrywają w tym planie kluczową rolę. „Załóżmy na przykład, że Japonia zostałaby zmuszona do wykorzystania znacznej części swoich rezerw w wysokości 1,2 bln dol. na zakup stablecoinów denominowanych w dolarach. Całkowita podaż dolara wzrosłaby, dewaluując go. Emitenci stablecoinów wykorzystaliby otrzymane dolary na zakup bonów skarbowych, obniżając w ten sposób koszty pożyczek rządu USA i wzmacniając tym samym dominację dolara". Jak ujął to J.D. Vance, większe upowszechnienie stablecoinów zwielokrotni siłę naszej potęgi gospodarczej".

Cyfrowy dolar

Sprawa uregulowania rynku kryptowalutowego była już przedmiotem zainteresowania poprzedniej administracji.

© SHUTTERSTOCK AI

eprasa.pl ad2f04fa8d

Pod naciskiem Demokratów, o których poparcie zabiegała branża krypto, prezydent Joe Biden zwrócił się do Departamentu Skarbu, Rezerwy Federalnej i innych agencji rządowych o zbadanie ryzyka i korzyści związanych z kryptowalutami oraz rozważenie możliwości stworzenia kontrolowanego przez rząd „cyfrowego dolara", czyli CBDC (*Central Bank Digital Currency)*. Wiele banków centralnych na świecie czyni przymiarki do emisji narodowej waluty w wersji elektronicznej.

Rezerwa Federalna nie dostrzegła korzyści ze wsparcia kryptowalut, w czym zapewne istotną rolę odegrał list otwarty grupy ekspertów technologicznych, w tym m.in. głównego inżyniera Google Cloud Kelseya Hightowera. Zaapelowali oni do Kongresu, aby „sprzeciwił się naciskom ze strony finansistów, lobbystów i promotorów branży aktywów cyfrowych, którzy chcieliby stworzyć regulacyjne bezpieczne schronienie dla tych ryzykownych, wadliwych i niesprawdzonych cyfrowych instrumentów finansowych".

W tej sytuacji branża krypto postawiła na Republikanów i Trumpa, który jeszcze niedawno był przeciwnikiem kryptowalut, a teraz dołączył do kryptowalutowych magnatów zwanych kryptobraćmi (*Crypto Bros*). Tak narodziła się ustawa GENIUS, która wprawdzie zakazuje czynnym członkom Kongresu i wyższym urzędnikom emisji stablecoinów, ale – uwaga – wyłącza z tego zakazu prezydenta. Z kolei druga ustawa – CLARITY – ma za zadanie ustalić, kiedy tokeny blockchain należy traktować jako papiery wartościowe, a kiedy jako towary. Natomiast ustawa Anti-CBDC wprowadza zakaz emisji cyfrowego dolara przez Rezerwę Federalną. I to mimo że nie ma ona i nie miała takiego planu. Ale chodzi o to, by zagwarantować, że państwo nie zrobi konkurencji kryptobraciom.

Nowy kryzys finansowy

Po uchwaleniu ustaw spodziewany jest wysyp stablecoinów, bo Krzemowa Dolina, a nawet banki, noszą się z takim zamiarem. „Elon Musk i Mark Zuckerberg będą mogli emitować własne pieniądze. Ustawa nadal zezwala dużym firmom technologicznym i innym konglomeratom na emitowanie własnych, prywatnych walut" – komentowała senator z Massachusetts Elizabeth Warren. Wielu ekonomistów ostrzega, że teraz firmy rzucą się do emisji stablecoinów, którym zostaje nadana ranga cyfrowego substytutu amerykańskiej waluty. Łagodne regulacje sprawią, że będzie dochodziło do spektakularnych bankructw. To może przypominać sytuację sprzed wojny secesyjnej, kiedy w USA każdy bank mógł emitować własną walutę.

Uchwalając nowe przypisy kryptowalutowe, Trump spłaca swój dług wobec branży, która wydała miliony dolarów na jego kampanię. Kilka komitetów poparcia połączonych we wspólną Grupę Super PAC zebrało łącznie 245 mln dol. Żadna branża w historii nie zainwestowała w prezydenckiego kandydata takiej fortuny. I jest gotowa wydawać kolejne miliony, bo na przyszłoroczne połówkowe wybory parlamentarne już uzbierała 140 mln dol.

Mimo gigantycznego konfliktu interesów oraz jawnie korupcyjnego charakteru ustawy przyjęte zostały jako ponadpartyjne. Połowa Demokratów w Izbie Reprezentantów głosowała za. „Po raz pierwszy rząd USA nie tylko »toleruje« kryptowaluty, ale też je kodyfikuje. Największa gospodarka świata kładzie podstawy prawne pod rozwój aktywów cyfrowych. Jest to bardzo jasny sygnał dla rynków i innych rządów: dostosujcie się albo zostaniecie w tyle" – ocenia Nigel Green, dyrektor generalny deVere Group, jednej z największych doradczych firm finansowych

„Ustawy GENIUS i CLARITY wprowadzane są pod flagą innowacji, ale tak naprawdę powtarzają ten sam bałagan, który doprowadził do poprzednich kryzysów finansowych: postulują niewielką liczbę regulacji, minimalne egzekwowanie, słabą ochronę konsumentów i większą konsolidację branży" – ostrzega kongresmenka Maxine Waters. Jej zdaniem to będzie powtórka z 1999 r., kiedy w ramach innowacji zniesiono zakaz łączenia ryzykownej bankowości inwestycyjnej z depozytowo-kredytową. Umożliwiło to bankom, brokerom i ubezpieczycielom łączenie się w ogromne finansowe konglomeraty i sprzedaż produktów inwestycyjnych, które były konstruowane z niespłacalnych kredytów hipotecznych. Wiadomo, jak to się skończyło. W 2008 r. wybuchł światowy kryzys finansowy, a jego koszty zapłaciliśmy wszyscy.

ADAM GRZESZAK

REKLAMA

POLITYKA **Zaprenumeruj nasz tygodnik przez** InPost Paczkomat 24/7

- **Gwarantowana dostawa w środę** do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- **Darmowa przesyłka** przez cały okres prenumeraty
- **Niższa cena za egzemplarz** niż w punktach sprzedaży

InPost

569 zł za rok
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~13,90~~ 11 zł za numer

299 zł za pół roku
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~13,90~~ 11,50 zł za numer

blik PayU

Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:

eprasa.pl ad2f04fa8d

Zbyt gorąco dla polityki

Lato na południu Europy staje się sezonem piekielnym. Bezradne rządy próbują udawać, że problem nie istnieje. A samorządy same klimatu nie schłodzą.

eprasa.pl ad2f04fa8d

© GARETH FULLER/PA IMAGES/GETTY IMAGES

Kurtyna wodna w Dover. Upały nie oszczędziły nawet Wielkiej Brytanii.

MATEUSZ MAZZINI

Najpierw wspomnienie sprzed trzech lat. Letnie miesiące 2022 r. były we Włoszech tak samo senne, bezchmurne i błogie jak zawsze. Ale żar lał się już nie tylko z nieba, lecz również z polityki – toczyła się kampania przed wyborami do włoskiego parlamentu.

Po jednej stronie Giorgia Meloni, idąca pewnym krokiem po zwycięstwo dla siebie i swojej prawicowej koalicji. Po drugiej – lider centro-lewicowej Partii Demokratycznej Enrico Letta, prowadzący kampanię katastrofalną, opartą wyłącznie na straszeniu przeciwniczką, którą nazywał „nowym wcieleniem Mussoliniego". W środku tego wszystkiego w typowy dla siebie cyrkowy i karykaturalny sposób ustawił się wracający z politycznych zaświatów Silvio Berlusconi.

Podczas gdy politycy walili w siebie do bólu przewidywalnymi argumentami, w kraju działo się jednak coś ważniejszego. W strefie przybrzeżnej Morza Liguryjskiego, nieopodal znanego kurortu Portofino, dzienna średnia temperatura wody (nie powietrza!) w lipcu nie zeszła poniżej 27 stopni Celsjusza. Choć więc na lądzie było mocno powyżej 35 stopni, ciężko o uczucie schłodzenia po wejściu do morza.

Zestawienie przewidywalnej kampanii wyborczej z wrzącym Morzem Liguryjskim nie jest przypadkowe, ilustruje bowiem rosnący rozdźwięk pomiędzy tym, czym zajmuje się wielka polityka, a realnymi problemami i wydarzeniami w życiu wyborców. W kampanii sprzed trzech lat żadna licząca się partia nie zająknęła się o sprawach klimatycznych. Po skrajnej prawicy trudno byłoby się tego oczywiście spodziewać, bo większość jej polityków w ludzką winę w niszczeniu klimatu zwyczajnie nie wierzy. Globalnego ocieplenia na sztandary nie wzięła też jednak lewica, skupiona na straszeniu faszyzmem i pomysłach zarządzania migracją.

W chwili oddania tego tekstu do druku temperatury z Portofino sprzed trzech lat były już tylko wspomnieniem. Morze Jońskie oblewające wschodnie wybrzeże Sycylii osiąga dziś 30 stopni i więcej. Na przełomie lipca i sierpnia Europa przechodziła trzecią falę upałów tego lata. Pierwsza zaczęła się w drugiej połowie czerwca, mniej więcej 10 dni wcześniej niż w poprzednich latach. Objęła nie tylko Południe – Sycylię, hiszpańską Andaluzję, greckie wyspy – ale też interior Europy. Temperatury przewyższające 35 stopni długo utrzymywały się w Paryżu, Londyn przebił 30 stopni, co jeszcze niedawno wydawało się granicą nieosiągalną dla całych Wysp Brytyjskich.

Spragnieni szczegółowych danych mogą spojrzeć na tegoroczną tablicę rekordów. W Zagrzebiu temperatura wynosiła 41 stopni Celsjusza. Mediolan doświadczył już w tym roku 42 stopni, podobnie Marsylia. Ateny to już 44 stopnie, tak samo jak cypryjski Limassol. Przedmieścia Palermo – ponad 45. Hiszpańska Huelva – 46. Południowo-wschodnie krańce Turcji i okolice miasta Silopi przyniosły z kolei odczyt dosłownie piekielny – 50,5.

W Europie robi się coraz goręcej, i to nie tylko na południu. A w ślad za upałami idą katastrofy naturalne, które Stary Kontynent dotychczas znał wyłącznie z relacji prasowych z odległych miejsc. Pożary terenów zielonych, które – jak w Portugalii czy na Sycylii – uniemożliwiają jazdę po autostradach, blokując widoczność, wstrzymują też ruch lotniczy. Kolejne niże – ostatnio genueński – znad południowych mórz przenoszą wielką wodę nad Europę Środkowo-Wschodnią.

W efekcie poza ludźmi cierpi też gospodarka. Kraje basenu Morza Śródziemnego i Adriatyku – Włochy, Grecja, Hiszpania, Chorwacja – są praktycznie uzależnione od turystyki, ▶

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ dostarczającej w tych państwach 12–13 proc. całego PKB. Ich nadmorskie obszary – chorwacka Rijeka, greckie Chalkidiki, włoskie Rimini – świecą pustkami przez długie dni w środku lata. Coraz więcej turystów ucieka w głąb kraju, na prowincję, bo w dużych miastach też już nie da się wytrzymać.

Rosną więc temperatury, liczby zgonów, straty materialne. Ale zwiększa się też rozdźwięk pomiędzy stanem klimatu i polityką. We wszystkich tych krajach próżno doszukiwać się wzmożenia na szczytach władz, które przecież powinno nastąpić w obliczu tych wszystkich zmian klimatycznych.

Tymczasem Meloni w czasie ubiegłorocznego szczytu COP29 w Baku wygłosiła płomienne przemówienie o konieczności „stworzenia dyskursu klimatycznego wolnego od ideologii". Jej zdaniem Włochy powinny korzystać „z każdej możliwej technologii energetycznej", w tym z paliw kopalnych. W kraju natomiast nie robi nic, by skutki ocieplenia klimatu ograniczyć, odmawiając np. inwestycji w infrastrukturę wodno-kanalizacyjną, która we Włoszech jest w stanie krytycznym.

Sytuacja na Półwyspie Apenińskim jest alarmująca. Według Germanwatch, fundacji zajmującej się analizą skutków zmiany klimatu, w ciągu ostatnich 30 lat Włochy były najbardziej poszkodowanym państwem w Europie (piąte miejsce na całym świecie), biorąc pod uwagę szkody wyrządzone przez katastrofy naturalne. Gorzej było jedynie w Hondurasie, Birmie, Chinach i na karaibskiej Dominice. Koszty tych katastrof Germanwatch wyliczył na 60 mld euro, a liczbę nadmiarowych zgonów na 38 tys.

Samolot strażacki zrzuca wodę podczas pożaru lasu w Koropi. 40 km dalej, w Atenach, były rekordowe 44 stopnie.

Reakcji próżno doszukiwać się też w Hiszpanii zajętej wewnętrznymi aferami w rządzącej Partii Socjalistycznej. Premier Pedro Sánchez klimatu używa co najwyżej jako wymówki, by nie inwestować w obronność tyle, ile wymagają od niego partnerzy z NATO. Podobnie jest w Grecji, gdzie premier Kyriakos Mitsotakis wprawdzie pielgrzymuje do Brukseli, alarmując, że jego kraj się pali, a płomienie zabierają coraz większą część tamtejszej gospodarki, ale w polityce wewnętrznej umiejętnie gra na dwa fronty. Mówi, że „jest wielkim wyznawcą zielonej transformacji". I zaraz dodaje, że „nie może się ona jednak odbywać kosztem tych, którzy na zmianach klimatycznych tracą najbardziej".

Ten ostatni argument wydaje się uczciwy, ale najczęściej jest pretekstem dla nicnierobienia. Koszty transformacji energetycznej muszą ponieść przecież wszyscy i politycy akurat doskonale to wiedzą. Tak jak wielu wyborców, zwłaszcza tam, gdzie upały naprawdę przynoszą utratę miejsc pracy i ludzkiego życia. Ale nie mogąc przebić się ze swoimi postulatami na poziom narodowy, ratunku szukają u samorządowców. I często, przynajmniej częściowo, tam właśnie go znajdują.

Dobrym przykładem są Ateny. Od czterech lat w tamtejszych strukturach samorządowych jest stanowisko głównego oficera do spraw upałów. Pierwsza objęła je Eleni Myrivili, autorka używanej do dziś klimatycznej mapy miasta. To ona opracowała system walki z upałami w letnich miesiącach, polegający na umieszczaniu publicznych źródeł wody pitnej i kurtyn wodnych niekoniecznie tam, gdzie jest najwięcej ludzi, ale w miejscach o najwyższych temperaturach gruntowych. Ateny postanowiły więc chłodzić otoczenie, a nie mieszkańców.

Myrivili przeanalizowała też mapy zalesienia i zadrzewienia miasta, radykalnie zwiększając liczbę drzew tam, gdzie do tej pory dominowały asfalt i beton. Pomogła wprowadzić system Help at Home+, specjalne narzędzie dla osób w podeszłym wieku, które mogą za pomocą aplikacji na smartfonie lub po prostu telefonu poinformować władze miasta o złym stanie (także materialnym, psychicznym) wywołanym upałami. Ktoś, kto potrzebuje zgrzewkę wody mineralnej, nie zadzwoni raczej po karetkę, ale do urzędu dzielnicy już może.

Swoje strategie walki z upałami mają również inne obszary w basenie Morza Śródziemnego. Z pomocą unijnych środków plan klimatycznej odporności rozwinęło tureckie miasto Mersin. Barcelona ma swój plan aż do 2030 r., zgodnie z którym powstanie m.in. kilkanaście zielonych korytarzy w centrum miasta, co może obniżyć odczuwalną temperaturę nawet o kilka stopni. Samorządy na Krecie prowadzą wspólny program wymiany systemów ogrzewania domów na mniej trujące dla środowiska.

Samorządowych projektów klimatycznych w basenie Morza Śródziemnego przybywa – i nie ma się co dziwić. Jak wyliczył think tank Carnegie Endowment for International Peace, region ten notuje wzrost temperatur w tempie dwukrotnie wyższym od średniej planetarnej. W dodatku obszary miejskie odpowiedzialne są za ok. 70 proc. wszystkich globalnych emisji gazów cieplarnianych. Rozpoczęcie tej rewolucji od miast wydaje się więc ruchem jak najbardziej zasadnym.

Ten rozdźwięk pomiędzy sytuacją obywateli, działaniem samorządów i biernością wielkiej polityki jest ciekawy jeszcze z innego powodu. Obrazuje realny stan polityki demokratycznej jako takiej. Rządy narodowe, zwłaszcza w Europie, są coraz częściej albo klimatem niezainteresowane (jak włoski), albo całkowicie sparaliżowane, zżerane od środka przez koalicyjne walki, niezdolne do ambitnych działań (jak hiszpański, portugalski, ale też polski). Jednocześnie świat trawiony jest przez coraz więcej kryzysów, które wzajemnie się napędzają, a zasięg mają globalny, wymykający się jurysdykcjom pojedynczych krajów.

Wyborcy dochodzą więc z różnych przyczyn do tego samego wniosku: ktokolwiek rządzi w odległych stolicach, niewiele może dla nas zrobić, nawet gdyby chciał. Odpowiedzią na ten kryzys może być więc hiperlokalność, aktywność w ramach własnych społeczności. Tam jest bliżej do ośrodka decyzyjnego, łatwiej o sprawczość, szybciej widać owoce własnej pracy. Kryzysów to nie rozwiąże, ale coś trzeba robić.

MATEUSZ MAZZINI

© COSTAS BALTAS/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl ad2f04fa8d

Balkon z widokiem na Argentynę

Była prezydentka Cristina Fernández de Kirchner, choć w domowym więzieniu, pozostaje liderką opozycji. Może wcale nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Trzęsła polityką w Argentynie przez ponad dwie dekady. W sensie ścisłym: najpierw argentyńską polityką potrząsał jej mąż Nestor Kirchner, a gdy skończył, na czoło wysunęła się ona – prezydentka w latach 2007–15 i wiceprezydentka w latach 2019–23. Polityką społecznych transferów zaskarbiła sobie uwielbienie ubogich, a zarazem wrogość uprzywilejowanych. Charyzmatyczna i zaczepna, porywająco artykułowała gniew ekonomicznych rozbitków. W 2022 r. przeżyła zamach na swoje życie – pistolet napastnika w decydującym momencie się zaciął.

Niedawne skazanie Kirchner za korupcję to tylko dalszy ciąg jej burzliwego żywota. Ulicami Buenos Aires maszerują jej obrońcy upatrujący w wyroku na Cristinę – jak ją poufale nazywają – zemstę oligarchów, której egzekutorami byli sędziowie. Pielgrzymują przed kamienicę, w której odsiaduje w warunkach domowych sześcioletni wyrok.

Kirchner to nie tylko była prezydentka, lecz wciąż i nieustająco liderka opozycji wobec rządów Javiera Mileia, „anarchokapitalisty", który państwo jako takie uważa za organizację przestępczą, namawia obywateli, żeby się zbroili, i bezkrytycznie czci Donalda Trumpa.

1 Oskarżenia pod adresem Kirchner pojawiły się już za jej pierwszej kadencji prezydenckiej. Proces wystartował jednak dopiero w 2016 r., gdy rządy sprawował jej prawicowy rywal Mauricio Macri.

W czerwcu br. Sąd Najwyższy potwierdził wyroki sądów niższej instancji i uznał Cristinę winną działań na szkodę państwa. Jej rząd przyznał kilkadziesiąt kontraktów w ramach robót publicznych zaprzyjaźnionemu biznesmenowi Lázaro Báezowi z patagońskiej prowincji Santa Cruz. Zdaniem sądu Báez spłacał „nienależnie uzyskane korzyści" poprzez fałszywe transakcje z „firmami rodzinnymi byłej prezydentki". Wraz z nią skazano ▶

© MATIAS BAGLIETTO/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ osiem innych osób, w tym rzeczonego przedsiębiorcę. Według wyroku Cristina już nigdy nie będzie mogła się ubiegać o stanowiska publiczne.

Obrońcy Kirchner podważają ten wyrok. Sądy kolejnych instancji oparły swoje orzeczenia na „minimalnych poszlakach lub dowodach pośrednich o bardzo niskiej intensywności" – twierdzi jeden z szanowanych w Argentynie prawników konstytucjonalistów. A te jego zdaniem nie wystarczają, by zawiesić domniemanie niewinności.

Padają też pytania: dlaczego nie postawiono zarzutów ministrom odpowiadającym wówczas za roboty publiczne i zarządzanie budżetem? Może nie mamy do czynienia z wymierzeniem sprawiedliwości, a z prowadzeniem politycznej krucjaty przy użyciu wymiaru sprawiedliwości? Innymi słowy: ustrzeleniem liderki opozycji.

Sama Kirchner, komentując wyrok, stwierdziła: „Historia Argentyny dowodzi, że przywódcom politycznym, którzy rządzą dla ludu i prowadzą sprawiedliwszą dystrybucję dochodów, się nie wybacza".

Oligarchowie nie wybaczyli takiej polityki legendarnemu w Argentynie przywódcy Juanowi Perónowi (1946–55) i obalili go w drodze zamachu stanu. Kilka lat temu – w Brazylii – doprowadzili do skazania za rzekomą korupcję popularnego trybuna ludowego Lulę da Silvę, który w ciągu dwóch kadencji swoich rządów (2003–11) wyciągnął z biedy 40 mln ubogich. Po kilkuletniej przerwie w rządzeniu Lula był ponownie faworytem wyścigu prezydenckiego, wówczas jednak stronniczy sąd na podstawie lipnych poszlak, popełniając po drodze wiele nadużyć, skazał go na 12 lat więzienia, z którego Sąd Najwyższy uwolnił go po półtora roku.

Tuż po wyroku na Kirchner Lula – od 2023 r. ponownie prezydent Brazylii – zadzwonił do skazanej sojuszniczki z wyrazami solidarności i zachętą do dalszej walki o sprawiedliwość. Wkrótce potem odwiedził ją osobiście w domowym areszcie/więzieniu.

2 Ludowych liderów wynoszą do władzy zazwyczaj potężne kryzysy. Perona, który zaczynał jako pułkownik armii i członek junt wojskowych, wynieśli nędzarze wkraczający w pierwszej połowie XX w. na scenę dziejów. Jako minister pracy Perón zabiegał o ich prawa i podstawowe dochody, za co zrewanżowali mu się później masowym poparciem w wyborach prezydenckich.

Może Argentynę czeka jeszcze zwrot w sprawie Cristiny, jak ten w Brazylii z Lulą?

Na fot. Buenos Aires, marsz peronistów w obronie byłej prezydentki.

Nestora i Cristinę Kirchnerów ponad pół wieku później wyniósł na szczyty krach neoliberalnego modelu w latach 2001–02, który pozostawił większość obywateli bez oszczędności, a klasę średnią zamienił czasowo w biedaków.

Najpierw Nestor, a po nim Cristina – wcześniej praktycznie nieznani działacze ruchu peronistowskiego z prowincji Santa Cruz – postawili w centrum polityki zredukowanie biedy i społecznych nierówności. Wprowadzili świadczenie pieniężne na każde dziecko, subwencje cen energii i transportu publicznego, stworzyli nowe miejsca pracy. Upaństwowili niegdyś sprzedane przez państwo flagowe przedsiębiorstwa: Aerolineas Argentinas, pocztę, firmy naftowe, a także fundusze emerytalne.

Prowadzili progresywne batalie światopoglądowe, które zamieniali w ustawy. Zalegalizowali małżeństwa między osobami tej samej płci. Wprowadzili ustawę o sztucznym zapłodnieniu – każda para w Argentynie, także homoseksualna, ma do niego prawo. I zabrali się do rozliczeń z przywódcami wojskowej junty i ich wspólnikami: junta z lat 1976–83 zamordowała 30 tys. swoich oponentów. Kirchnerowie unieważnili gwarancje bezkarności, jakimi cieszyli się generałowie, i dali impuls nowym procesom.

Rozczarowanie wśród części zwolenników budziła niechęć Kirchner do liberalizacji ustawy antyaborcyjnej. Ale koniec końców to jej „pomazaniec" Alberto Fernández (u boku którego pełniła funkcję wiceprezydentki) wyszedł naprzeciw postulatom feministycznego ruchu Ni Una Menos (Ani Jednej Mniej) – i od 2020 r. aborcja w Argentynie jest legalna i bezpłatna.

Równocześnie polityka Kirchnerów budziła sprzeciw uprzywilejowanych, a głównymi ośrodkami opozycji były wielkie firmy agrobiznesowe, właściciele

© ROSANA ALVAREZ MULLNER/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

eprasa.pl ad2f04fa8d

sieci handlowych i potężna grupa Clarin, skupiająca m.in. największą gazetę, kilka kanałów telewizyjnych oraz udziały w wielu biznesach (od rolnych po fundusze emerytalne). Nienawiść ludzi zamożnych do Kirchnerów przypominała tę, jaką ich rodzice i dziadkowie darzyli ojca i matkę peronizmu – Juana i Evitę Perónów. Kirchnerowie kreowali się zresztą na nowe wcielenie mitycznej pary sprzed ponad półwiecza.

3 Cristina nie wywodzi się z tak głębokich nizin społecznych, jak niegdyś uwielbiana przez lud Evita, niemniej jej rodzice z trudem wiązali koniec z końcem. Wychowała się w La Placie, położonej godzinę jazdy od stołecznego Buenos Aires i ze względu na liczne zakłady przemysłowe wokół będącej ważnym ośrodkiem ruchu peronistowskiego. Ojciec Cristiny był kierowcą autobusu, matka pracowała w biurze.

Na studiach prawniczych w rodzinnym mieście Cristina poznała Nestora, który do La Platy przyjechał z Patagonii. W czasach dyktatury wojskowej, kiedy „znikali" ich towarzysze i znajomi z młodzieżówki peronistów, młode małżeństwo podjęło decyzję o przeniesieniu się w rodzinne strony Nestora – do miasta Rio Gallegos. Tam powoli budowali swoje kariery prawnicze, a z czasem także polityczne zaplecze.

Od 15 lat Cristina idzie przez życie sama – w 2010 r. Nestor zmarł na atak serca. To był dla niej trudny czas, nie tylko ze względu na śmierć nieodłącznego partnera w życiu i polityce. Kończyła się światowa koniunktura na surowce i produkty rolne, która dała Kirchnerom (podobnie też Luli w Brazylii i innym liderom egalitarnej fali w Ameryce Łacińskiej) instrumenty wyciągania ludzi z biedy.

Jej upodobania i rytuały były ciągłą pożywką dla prasy. Dziennikarze zajmowali się jej makijażem, zabiegami upiększającymi, rajstopami, butami, torebkami, zegarkami; także dietą, joggingiem i jazdą na rolkach. Oczywiście wszystko w aurze szyderstwa i wyrzutu: zobaczcie, niby troszczy się o biednych, a wydaje fortunę na zbytki. Kirchner potrafiła odparować: „Żeby być dobrą polityczką, nie trzeba przebierać się za biedaczkę". Choć czasem rzeczywiście przesadzała, np. potrafiła wyczarterować samolot tylko po to, by spotkać się z lokalnymi dziennikarzami w swojej rezydencji w Patagonii.

„Jej charakter oscyluje między pasją a rozsądkiem" – pisze o niej w książce „Reina Cristina" (Królowa Cristina) Olga Wornat, autoryzowana biografka. „Przychodzi i odchodzi jak letnia burza. Jest cyklotymiczna, gwałtowna, hojna, trudna, arogancka, próżna, pełna fobii, nieprzejednana, współczująca i wierna" (cyt. za „El País").

Spuścizna tej wersji peronizmu, który reprezentują Cristina i jej zmarły mąż Nestor, pozostaje niejednoznaczna – gdyby wszystko było na medal, prezydentem zapewne nie zostałby w 2023 r. Javier Milei. Kirchnerowie przyjęli np. dogmat „żadnych nowych długów", bo długi to przekleństwo Argentyny. Spłacili pożyczki w Międzynarodowym Funduszu Walutowym (MFW). I byliby w stanie spłacić większość pozostałych, gdyby nie opór tzw. sępich funduszy, które nie zgodziły się na rozłożenie spłat ani na wcześniejsze spłacenie innych wierzycieli. Odsetki od długów rosły, a na dodatek prawicowy prezydent Macri (2015–19) zaciągnął nową wielką pożyczkę w MFW na 45 mld dol.

Zadłużenie generujące nadmiarową emisję pieniądza, a w konsekwencji inflację, było źródłem porażki rządu peronistów Alberta Fernándeza (i Cristiny jako wice w latach 2019–23). Gwoździem do trumny stała się pandemia.

4 Rządzący od półtora roku Milei, który przestawił polityczne zwrotnice o 180 stopni, nadal cieszy się poparciem połowy obywateli, co w chwili słabości opozycji peronistów (ich liderka jest skazana) oraz pasywności potencjalnych sojuszników z tradycyjnej prawicy przelicza się na znacznie więcej niż 50 proc. Milei zbił inflację, co cieszy wszystkich, niemniej jego agresywna polityka cięcia wydatków publicznych, zawieszenie inwestycji, zwolnienia dziesiątków tysięcy urzędników przysparza mu coraz większej niechęci.

Właśnie przegrał wielką bitwę o wydatki publiczne w Senacie – m.in. podniesienie emerytur – będącym izbą reprezentującą prowincje. Prasa pisze wręcz o rebelii 24 gubernatorów. Argentyna jest krajem federacyjnym, a regiony mają własne parlamenty, konstytucje i podatki. Część pieniędzy z podatków federalnych rząd przekazuje gubernatorom. Ale Milei za zgodą regionalnych włodarzy tymczasowo zawiesił przekazywanie prowincjom tych środków.

Teraz gubernatorzy się o nie upomnieli – to w końcu pieniądze, z których wypłacają m.in. pensje pracownikom publicznej administracji, finansują szkoły itp. Negocjacje o powrocie do uświęconej od zawsze praktyki Milei zerwał, co doprowadziło do rebelii.

5 Może więc Argentynę czeka jeszcze zwrot w sprawie Cristiny, jak ten w Brazylii z Lulą? Hiszpański „El País" przywołuje książkę argentyńskiej prawniczki Natalii Volosin „La máquina de la corrupción" (Maszyna korupcji). Volosin nie lubi Kirchner i nazywa jej rządy czasami kleptokracji. Niemniej twierdzi, że w sprawie eksprezydentki „istnieje oczywisty problem z bezstronnością sędziów".

Przywołuje prywatne spotkania sędziów z byłym prezydentem Macrim (za którego rządów prokuratura postawiła Kirchner zarzuty), jego współpracownikami i przedsiębiorcami w kurorcie Lago Escondido, wspólne spędzanie czasu na grze w piłkę i ping-ponga. „To bardzo niepokojące z punktu widzenia zarówno ochrony naszych praw jako obywateli, jak i dla legitymacji samego sądu, która jest bardzo krucha. Jeśli takie zdarzenia (jako przykłady) nie wystarczają, co trzeba pokazać, aby uzasadnić obawę przed stronniczością?".

Dziś Kirchner pozostaje już tylko droga szukania sprawiedliwości w Trybunale Praw Człowieka Obu Ameryk. Jak na razie miejscowy sąd został zasypany blisko tysiącem obywatelskich petycji z prośbą o możliwość odwiedzin uwięzionej w domu eksprezydentki. Masowe pielgrzymki pod kamienicę, gdzie Cristina pozdrawiała z balkonu swoich zwolenników, zostały zakazane – zakłócały spokój sąsiadom. Padła nawet groźba, że jeśli skazana nie przestanie wychodzić na balkon, zostanie przeniesiona do zakładu karnego.

Balkon Kirchner stał się tym samym kwestią państwową – tak jak za czasów Juana i Evity Perónów. To z balkonu Casa Rosada (pałacu prezydenckiego) administrowali to gniewem, to entuzjazmem mas. Sam Perón, choć przez 18 lat na wygnaniu, miał przemożny wpływ na krajową politykę. Rządzący znają oczywiście obie te historie i wiedzą, że muszą mieć się na baczności.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

eprasa.pl ad2f04fa8d

Huedin, romskie pałace na przedmieściach

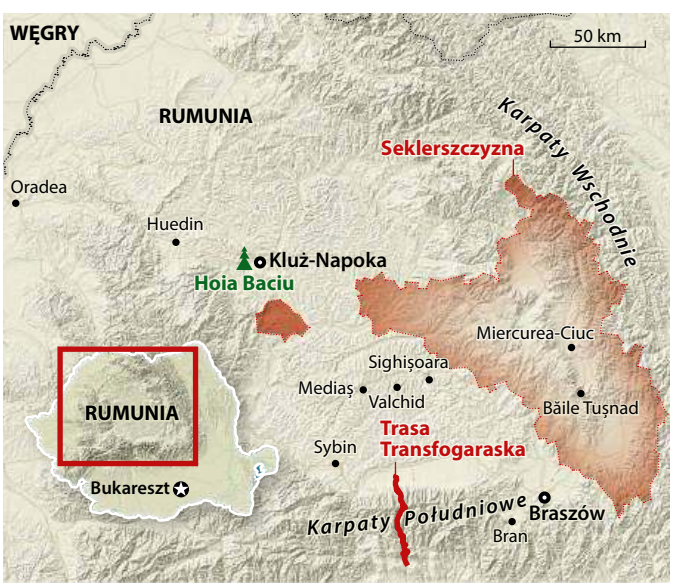

Drakula na lodówkę

ZIEMOWIT SZCZEREK

Transylwania nie wygląda jak w filmach i książkach. Stała się wielką cukierkową pułapką i coraz trudniej tu o miejsca, gdzie spod tynku wystają wszystkie warstwy pokiereszowanej przeszłości.

eprasa.pl ad2f04fa8d

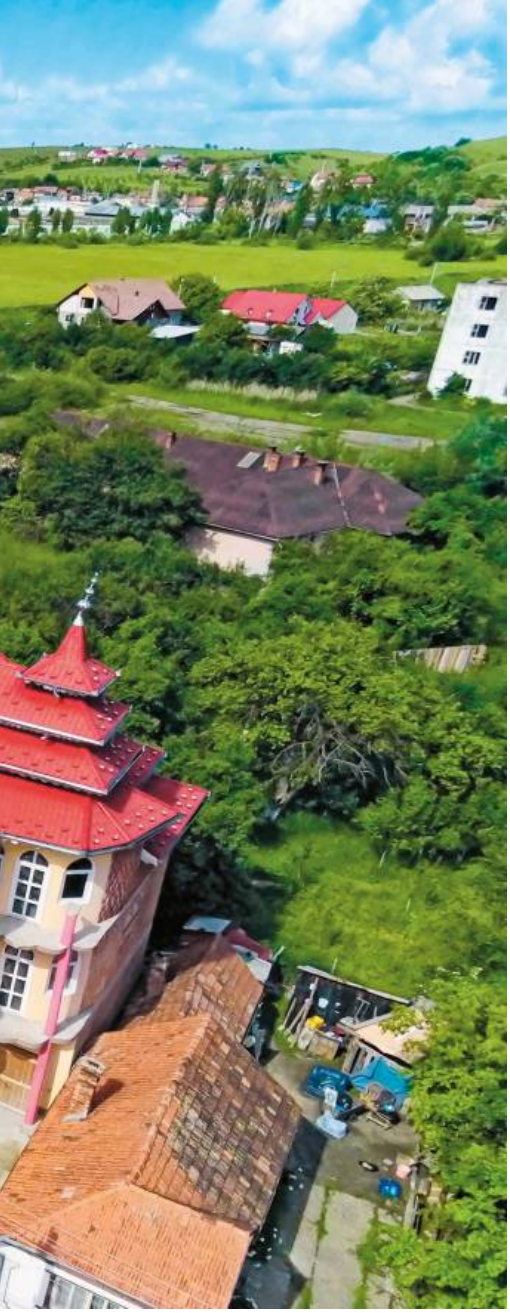

© LECH MAZURCZYK, SHUTTERSTOCK

Jeśli wjechać do Transylwanii od zachodu, od strony Węgier, przekraczając rumuńską granicę pod Oradeą, to czymś w rodzaju bramy do tej krainy jest miasto Huedin. Och, dziwne to miasto, gdzie można zobaczyć gotycki kościół z XIII w., szkołę podstawową w kształcie litery E na cześć małżonki Franciszka Józefa I, cesarzowej Elżbiety zwanej Sisi, oraz starorzymski pomnik grobowy. Ale przewodniki nie wspominają o największej atrakcji – romskich pałacach stojących na przedmieściach, zwanych w mieście „eleganckimi willami".

Widać je już z oddali, rżną po oczach światłem słońca odbitym od blaszanych dachów powyginanych w kształt pagód, czasem z wielkimi gwiazdami Mercedesa na dachach czy płotami z napisem „Versace". Wielospadowe dachy, wieżyczki, dobudówki, cuda na kiju.

Miejscowi Rumuni i Węgrzy zżymają się na te „wieżyce", jak się na nie tu mówi, i wściekają na architektów, którzy je projektują (najbardziej znany jest Nicolae Buşilă z Timişoary, okrzyknięty „architektem Cyganów"). Ale można je uznać za wychylenie wahadła – im bardziej Romowie czuli się upodleni w przeszłości, tym bardziej teraz starają się zaimponować sobie samym i sąsiadom: „I co, patrzcie, ile jesteśmy warci!".

W gruncie rzeczy przypominają te wille to, co próbowała rzucić w oczy sąsiadom Macedonia, kiedy uznała, że nie wystarcza jej słowiańska tożsamość, i przypięła sobie tożsamość Macedonii starożytnej, Aleksandrowej. Zamieniła więc swoją stolicę w kicz mający udawać antyczne miasto i oblepiła titowski brutalizm (często najwyższej próby) białym gipsem imitującym marmur uformowanym w starożytnawe kolumny i kapitele.

Rumunia niemieckawa

No i tak się zaczyna Transylwania. W ogóle nie wygląda tak, jak sobie można wyobrazić na podstawie filmów i książek. Że niby kraina wampirów, że gdzie okiem sięgnąć, tam zadzierzyste sine skały na tle granatowego nieba przecinanego błyskawicami rozświetlającymi stojące na tych skałach stare zamczydła. Skądże znowu. To znaczy – są i takie miejsca. Jednak generalnie Transylwania przypomina – powiedzmy – Świętokrzyskie. Łagodne zielone pagórki. Tu las, tam pola.

Ale to Świętokrzyskie w takiej wersji historii, w jakiej leżałoby nie w porosyjskiej Kongresówce, lecz w Austro-Węgrzech czy Prusach. Bo, ok, to Rumunia, dawne Węgry, ale miasta są niemieckawe. Strzeliste wieżyczki przy kamieniczkach i willach, czerwone dachówki, wąskie ulice i ta mieszczańska germańska zacność, która osiadała tutaj prawie tysiąc lat temu. Przetrwała wszystko: Królestwo Węgierskie, Siedmiogród Batorych, Austro-Węgry, niepodległą Rumunię, przetrwała Ceauşescu, by w końcu, paradoksalnie, zniknąć w czasie, gdy dla tej Rumunii przyszło w końcu wytchnienie dziejowe w postaci członkostwa w Unii Europejskiej i NATO.

Tak, niemieckość. Mieszkali tu Niemcy, mieszkali Węgrzy, ale i oni przejęli ten niemieckawy sposób urządzania przestrzeni, który nadaje rzeczywistości klimat trochę gotyckiego horroru, a trochę snu nieco szalonego cukiernika. I który pielęgnują dzisiaj Rumuni. Bo niemieckość to coś więcej niż narodowość. Właściwie – to rodzaj cywilizacji. I kto wie, czy w ogóle państwo Niemcy powinno się nazywać Niemcami, skoro mniej lub bardziej rozmyta niemieckość rozpościera się od krajów bałtyckich po Alzację i Lotaryngię i od Transylwanii po Szwajcarię. To, co dziś nazywamy Niemcami, to jedynie część tego świata. Niezbyt szczęśliwie roszcząca sobie prawa do całości. Bo równie dobrze można by nazwać Transylwanię najbardziej na wschód wysuniętym niemieckim landem.

Pomylony Drakula

Weźmy Sighişoarę, miasteczko zbudowane przez Niemców z Frankonii (którzy, jak inni Niemcy w Transylwanii, zwani byli Sasami), gdzie, notabene, urodził się Vlad Ţepeş, słynny hospodar Wołoszczyzny, który zwykł był nabijać na pale tureckich najeźdźców. I który dał w Rumunii początek narodowemu mitowi każącemu widzieć w nim bohatera, a samej Transylwanii (z którą, poza miejscem urodzenia, nie miał zbyt wiele wspólnego) – mit wampira Drakuli.

Sighişoara owszem posiadała kiedyś atmosferę starej gotyckiej Europy rzuconej gdzieś głęboko na własne wschodnie peryferia, ale dziś jest raczej cukierkową turystyczną pułapką, choć piękną – i trzeba tam pojechać. Podobnie jak, powiedzmy, Sandomierz, to małe średniowieczne miasteczko położone na wzgórzu i okolone nowszymi dzielnicami, które wygląda jak wyśniona i spełniona baśń o historii Europy. I największą tu perwersją jest to, że przy popiersiu Vlada Palownika, pre-Drakuli, stojącym obok urzędu stanu cywilnego, zdjęcia ślubne robią sobie rumuńscy nowożeńcy.

Dziś jednak Transylwania i jej miasta coraz bardziej przypomina zwykłe miasta Zachodu. To, co kiedyś stanowiło kwintesencję dramatycznego klimatu Rumunii – czyli zapuszczone na śmierć miasta, bezasfaltowe często drogi, zapomniane i zabite dechami miejscowości, ludzie ubrani tak, jakby wyszli prosto z dystopii o ponurej krainie łagrów – właściwie zupełnie zniknęło.

Owszem, w porównaniu z oszczędnie, lecz ze smakiem ogarniętymi Węgrami ▶

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ po wjeździe do Rumunii nadal ma się wrażenie wpadnięcia we wrzącą paprykowaną ciorbę, ale to już nie to co kiedyś. Drogi zbudowane w znacznej części przy wsparciu UE są dziś porządne, a bałkańska efekciarska maniera jazdy zdaje się trochę jednak okiełznana. Kamienice w centrach miast są wylizane i wymalowane, kostka świeża i czysta.

Kręcąc się po centrum takiego Sybina, skąd pochodzi były prezydent Rumunii, transylwański Niemiec Klaus Iohannis, czy stolicy regionu – Klużu, z groźnym pomnikiem węgierskiego króla Macieja Korwina (wyglądającego, jakby miał zaraz rzucić się na miasto), człowiek przestaje wierzyć, że wszystkie negatywne stereotypy opisujące Rumunię późnego Ceaușescu jako upadły kraj błota, biedy i pokruszonego betonu mogły kiedykolwiek istnieć.

Właściwie chodzenie po tych miastach – architektonicznie i urbanistycznie, owszem, pięknych pięknem niemieckawej Europy – zaczyna przypominać nieco nudnawe przejadanie się ciastkami z kremem. A poza standardowym zestawem „muzeum, galeria, zwiedzanie miejsc z przewodnika" można tam po prostu siedzieć i uprawiać kawiarniany *people watching*, jak wszędzie na nudnym, przewidywalnym Zachodzie.

Od lewej: **rynek w Sighișoarze przypomina Sandomierz, a cała Transylwania może się kojarzyć z naszym**

Wschodni szarm

Dlatego warto wyjechać z miast, pojeździć po okolicach Sighișoary niedaleko najbardziej na wschód wysuniętego łuku Karpat, który – jak mur – oddzielał tu łaciński Zachód od Wschodu reprezentowanego lokalnie przez prawosławne Mołdawię i Wołoszczyznę. Poczciwe wioski o połączonych murami gospodarstwach tworzących coś w rodzaju kompleksów obronnych. Warowne kościoły, do których chroniła się ludność, gdy mur Karpat okazywał się za słaby. Albo gdy napadali na nią sąsiedzi z innych wsi z warownymi kościołami, bo i tak się zdarzało. I znów Romowie – w takim Valchid niedaleko Sighișoary, dawnym saskim Waldhutten, widać ich niewielkie murowane domy o architekturze silącej się na naśladowanie lokalności – często niezbyt udatnie, ale konsekwentnie. I kto tu się nie integruje?

Tak, tam jest cudownie. Na przykład niepozorne i omijane generalnie przez turystów Medias odległe od Sighișoary ledwie o kilkadziesiąt kilometrów. Małe miasteczko, gdzie socjalistyczna architektura, brutalna i betonowa, choć niepozbawiona wdzięku, sąsiaduje z nie do końca wyremontowaną częścią zbudowaną przed pierwszą wojną światową.

To takie miejsca, gdzie historia nie została przykryta świeżym tynkiem i pomalowana (choć nie ma w tym nic złego, a narzekać mogą tylko poszukujący „wschodniego hardkoru" tacy patosnuje jak ja) i w których odbite i wyraźne są wszystkie warstwy rzeczywistości – od niemieckiej historii tych ziem, poprzez ich stopniową romanizację, próbę skontrowania socjalistycznym brutalizmem, aż po porzucenie wielkich projektów ludowych i powrót do starego miasta z torbą pełną zakupów z Castoramy.

Dobrze jest pojeździć po tych okolicach na rowerze albo powędrować z namiotem. Zapalić ognisko wieczorem i popijać lokalną cujkę pędzoną domowym sposobem. Gorzej z takimi aktywnościami byłoby trochę bardziej na południe, na Trasie Transfogarskiej z Transylwanii na Wołoszczyznę przez grzbiet Karpat, bo przy niej tłumnie przesiadują niedźwiedzie, zachęcone dokarmiającymi je i zachwycającymi się nimi turystami.

Ceaușescu na lodówkę

Tak bywa w Braszowie, jednym z najefektowniejszych poniemieckich miast Transylwanii leżącym już w cieniu wysokich, skalistych Karpat o zalesionych zboczach, z których niedźwiedzie złażą wyjadać resztki wyrzucone do śmietników przez braszowskich mieszczan. Miasto to po niemiecku nazywa się Kronstadt, „Miasto Koronne", i ta nazwa pasuje do jego średniowieczno-findesiècle'owego charakteru: historycznego ośrodka na granicy Transylwanii, na szlaku z Bałkanów na północ i zachód, nieformalnej stolicy transylwańskich Niemców. Nie pasowała natomiast nazwa Miasto Stalina, którą Braszów nosił od drugiej wojny światowej jeszcze długo po potępiającym stalinowski kult jednostki referacie Nikity Chruszczowa, bo aż do 1961 r.

Nie ma tu jednak wiele z socjalistycznego ducha. Unosi się raczej widmo dawnej upadłej burżuazji i nowego zrywnego kapitalizmu, który gdzie się da – w starych kamienicach i piwnicach – umieszcza usługi dla tłumnie odwiedzających miasto turystów, zamieniając je w rodzaj wykwintnych architektonicznie i urbanistycznie, jednak Krupówek.

© SORIN COLAC/ALAMY STOCK PHOTO, NATALI STRELNIK/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ad2f04fa8d

Świętokrzyskiem. Zamek Bran z opowieści o Drakuli. Prawdziwy Vlad Palownik nie miał z nim nic wspólnego.

Podobnie jest zresztą w nieodległym zamku Bran, który z racji chyba wyłącznie wyglądu – groźnego, górskiego zamczyska na przełęczy – służy za domniemaną siedzibę Drakuli, czyli Vlada Ţepeşa. Oczywista bzdura, hospodar nie miał z nim nic wspólnego, ale dla turystów to bez żadnego znaczenia – walą do zamku tłumnie. A pod nim można kupować na tony turystyczny kicz.

Poza wampirami w każdej możliwej formie (figurki, kubki, koszulki, miniaturowe czarne peleryny podbite czerwienią, które nakłada się na butelki z winem, żeby było bardziej wampirycznie itd.) można tam też kupić strachy innego rodzaju – magnesy na lodówkę z Nicolae Ceauşescu, rozstrzelanym komunistycznym rumuńskim dyktatorem i napisem „I'll be back". Albo figurki Rzymian uznawanych za jednych z przodków współczesnych Rumunów, ale – z jakiegoś powodu – w hełmach greckich hoplitów.

Nie z tej ziemi

Na północ od Braszowa leży jeden z najciekawszych regionów Transylwanii, Seklerszczyzna. Zamieszkana jest głównie przez Węgrów. Co prawda niektórzy uważają Seklerów za osobny od Węgrów, choć węgierskojęzyczny lud, ale sami Seklerzy obecnie mają się po prostu za członków narodu węgierskiego. Gdyby nie zawieszane tu i ówdzie przez władze rumuńskie flagi, można by odnieść wrażenie, że jest się w innym państwie.

Wszystko jest tu specyficzne. Choćby architektura: dużo pięknej, węgierskiej secesji, zdarza się historyzujący styl, który – jak to często na Węgrzech – nawiązywać ma do wyobrażonego stepowo-azjatyckiego pochodzenia Węgrów, czyli dachy w kształcie jurtowych więźb lub ozdoby dachów nawiązujące do byczych rogów. Inne są również język, poglądy polityczne, stopień zaangażowania w państwowe sprawy. Szczególnie od czasu, gdy węgierskie paszporty rozdaje tu rząd Viktora Orbána.

Sam Orbán dość często tu przyjeżdża, a co roku w jednym z lokalnych górskich miasteczek, Băile Tuşnad (węg. Tusnádfürdő), niedaleko miasta Miercurea-Ciuc (węg. Csíkszereda), mocno wyluzowany snuje geopolityczne gawędy, opowiada o przeszłej i przyszłej wielkości Węgier. I pozuje na zjednoczyciela narodu węgierskiego – choć ponad potrianońskimi granicami, to jednak zjednoczonego, choćby dlatego, że tu, na Seklerszczyźnie, organizuje się węgierskie wybory parlamentarne: rozdanie paszportów było krokiem pierwszym, przywiezienie urn do głosowania – drugim.

A słynne transylwańskie duchy i wampiry? Cóż. Można pod zamkiem Bran udać się do „domu strachów" i dać się zaskoczyć wyskakującemu z trumny Drakuli czy kościanej ręce kładącej się na ramieniu. Albo pójść do słynnego ze „zjawisk nie z tej ziemi" lasu Hoia Baciu pod Klużem, by na własne oczy się przekonać, czy występuje tam zjawisko „bycia obserwowanym" albo czy pojawiają się „tajemnicze światła".

A cała reszta? Cała reszta jest w książce Brama Stokera i milionie innych snutych na Zachodzie opowieści o transylwańskich wampirach i wilkołakach. Które, jak wiemy, kryją się w mroku. A mrok zawsze kryje się na obrzeżach znanego nam świata. Na peryferiach Zachodu. Jednak ta wymyślona przez Zachód Transylwania niewiele ma, szczerze mówiąc, wspólnego z tą – wartą obejrzenia – rzeczywistą.

ZIEMOWIT SZCZEREK

eprasa.pl ad2f04fa8d

Rak młodnieje

Nowotwory coraz częściej diagnozuje się nie u osób starszych, lecz u tych w trzeciej czy czwartej dekadzie życia. Dlaczego?

MARTA ALICJA TRZECIAK

Styczeń 2022 r.: unijne Wspólne Centrum Badawcze wydaje raport, z którego wynika, że 1 na 300 dzieci urodzonych w Europie po 2020 r. prawdopodobnie zachoruje na raka przed ukończeniem 19. roku życia. Październik 2023 r.: European Cancer Information System upublicznia statystyki wskazujące, że 31 proc. mężczyzn i 25 proc. kobiet żyjących obecnie w Unii Europejskiej będzie miało nowotwór jeszcze przed siódmą dekadą życia. Marzec 2024 r.: w „Nature" ukazuje się analiza ostrzegająca, że choroby onkologiczne, które wcześniej były stwierdzane głównie u osób starszych, coraz częściej diagnozowane są u trzydziesto- i czterdziestolatków, a liczba nowotworów u nich wzrośnie o 30 proc. do 2030 r. I wreszcie czerwiec 2025 r.: Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego podaje w najnowszym raporcie, że Polacy w wieku 20–44 lat chorują na raka częściej niż kiedykolwiek wcześniej. U młodych mężczyzn choroba obejmuje przede wszystkim jądra (24 proc. przypadków), u młodych kobiet – piersi (28 proc.). Najgorzej w polskich statystykach wypadają właśnie przedstawicielki płci żeńskiej: od początku XXI w. współczynnik zachorowalności na złośliwe nowotwory wzrósł u nich aż o 63 proc. I nie zapowiada się, żeby zaczął spadać.

Lepsza diagnostyka i nadrozpoznawalność

Z czego wynikają te niepokojące wzrosty zachorowalności? Częściowo na pewno z lepszych narzędzi do wykrywania chorób. Lekarze dysponują diagnostyką obrazową, np. rezonansem magnetycznym (MRI) i tomografią komputerową (CT). Nowotwory, które dwie dekady temu byłyby niewykrywalne, dziś są łatwe do wychwycenia. Urządzeń jest też więcej, dlatego pacjenci częściej są kierowani na badania. To z kolei zwiększa odsetek tzw. wykryć przypadkowych. W 2022 r. przeprowadzono metaanalizę uwzględniającą 148 tys. przyjęć na szpitalny oddział ratunkowy – połowa wynikała z przebytego urazu. Dane

© ELIF BAYRAKTAR/ALAMY STOCK PHOT/BE&W

eprasa.pl ad2f04fa8d

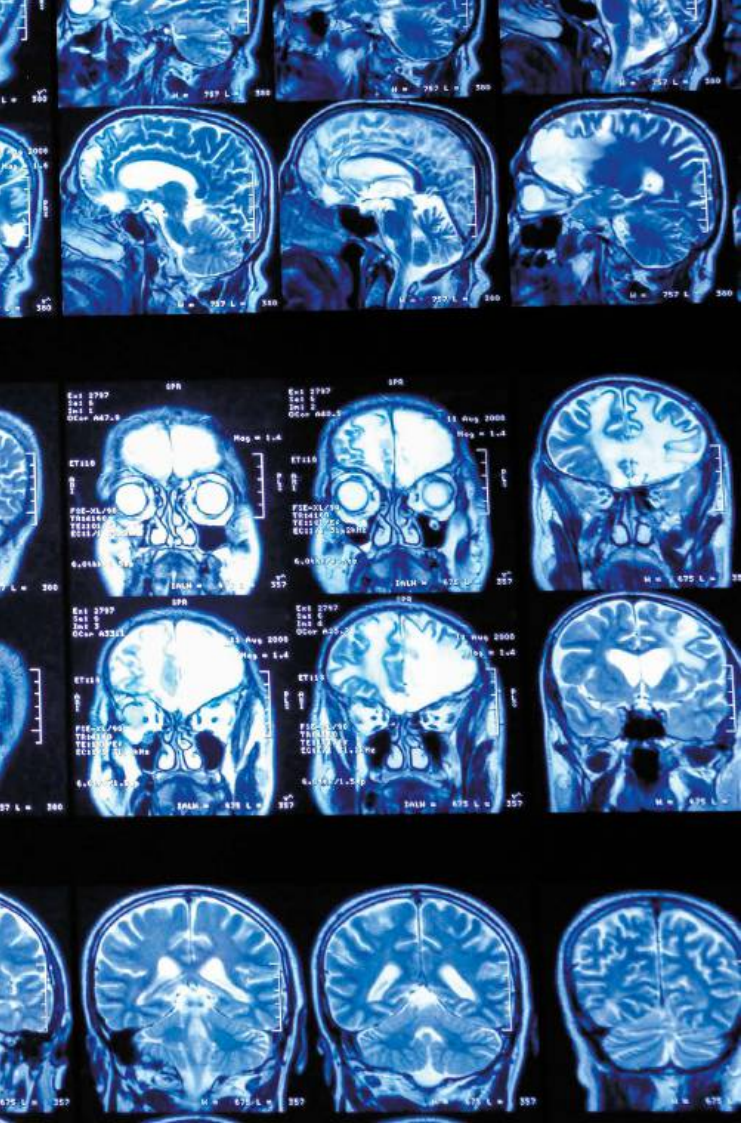

pochodziły od pacjentów z 16 krajów. U wszystkich wykonano CT. Okazało się, że u 31 proc. wykrywano jakieś nieprawidłowości lub odstępstwa od normy. Nie zawsze miały charakter groźnej patologii – zmiany złośliwe dotyczyły kilku procent.

Z przeglądu parasolowego opublikowanego w 2018 r. na łamach „BMJ" wynika, że tylko 5 proc. przypadkowo znalezionych zmian w mózgu daje złe rokowania. Odsetek ten jest jednak znacznie większy, gdy tego typu diagnoza dotyczy okrężnicy czy prostaty. Guzy wykryte w tych narządach przy okazji badania celowanego na coś innego są aż w 10–20 proc. przypadków złośliwe. Jeszcze gorzej statystyki wyglądają w odniesieniu do nieprawidłowości ujawnionych w tkance piersi – ok. 42 proc. ma taki charakter.

Ta wysoka czułość nowoczesnych metod diagnostycznych prowadzi czasem do tzw. nadrozpoznawalności (*overdiagnosis*). Termin ten odnosi się do coraz częstszego wykrywania zmian, które nie rokują źle, ale w statystykach przypina się do nich etykietę „rak". „Niektóre nowotwory są przerzutowe już w momencie wykrycia, ale inne są bezobjawowe, rosną niezwykle wolno, a nawet się w rozwoju patologicznym cofają" – wyjaśniają badacze. Oba rodzaje raka wyglądają na wykresach czy w tabelach z danymi tak samo, mimo że kliniczne różnice między nimi są ogromne: jedne trzeba natychmiast leczyć, inne lepiej poddać tzw. czujnej obserwacji.

Rosnącej w statystykach zapadalności na nowotwory towarzyszy stabilna śmiertelność, co świadczy o tym, że część diagnozowanych nowotworów nie ma tak dużego znaczenia klinicznego, jak można by się spodziewać. Mniejsza umieralność może jednak wynikać z coraz lepszej terapii – podają badacze w przeglądzie opublikowanym w 2020 r. w „European Journal of Cancer Prevention". Co więcej, skuteczność leczenia wzrasta właśnie dlatego, że wiele nowotworów jest wykrywanych na wczesnym etapie.

Większa świadomość i szybsza diagnoza

Zwiększona liczba rozpoznań u ludzi młodych może również wynikać z obniżania wieku badań przesiewowych. Do niedawna zalecano, by profilaktyczną kolonoskopię wykonywać od 50. r.ż. Obecnie w niektórych krajach (Stany Zjednoczone, Austria, Luksemburg) obniżono ten wiek do 45 lat. W Polsce rozważa się podobną zmianę, ale dziś refundowaną profilaktyką objęte są jedynie te młode osoby (40–49 lat), które znajdują się w grupie ryzyka, np. mają bliskiego krewnego z rakiem okrężnicy.

Kolejna przyczyna zwiększonej zachorowalności widocznej na papierze może leżeć we wzroście świadomości samych pacjentów. Eksperci od lat zwracają uwagę, że niektóre statystyki odzwierciedlają „zaległe", a nie aktualne zachorowania. Zjawisko to łatwo zaobserwować np. po uruchomieniu kampanii społecznych i nowych programów diagnostycznych – dochodzi wtedy do charakterystycznego piku diagnoz. W rzeczywistości te rozpoznania nie są jednak „nowe" i nie pokazują wzrostu zachorowań w czasie rzeczywistym – podkreślają naukowcy z University of California w pracy opublikowanej w 2024 r. w „Journal of Breast Imaging".

Jak bardzo świadomość i działania samych pacjentów przekładają się na liczbę diagnoz, łatwo się przekonać, analizując dane epidemiologiczne z poszczególnych państw. Z wydanego w 2024 r. przez Komisję Europejską raportu „Uncovering Inequalities" wynika np., że śmiertelność z powodu raka okrężnicy jest bardzo podobna w Norwegii i w Polsce, o ile analizuje się dane pacjentek. W jednym i drugim kraju choroba ta doprowadza do śmierci ok. 30 proc. zdiagnozowanych kobiet. Inaczej jest z mężczyznami – tu umieralność wynosi odpowiednio nieco ponad 30 i ponad 60 proc. To oznacza, że Norwegowie umierają na raka jelita grubego „tylko" 1,3 razy częściej niż Norweżki, a Polacy – 2,1 razy częściej.

Dlaczego? Przede wszystkim ze względu na zbyt późną diagnozę. Mężczyźni w naszym kraju często nie badają się profilaktycznie i wstydzą się iść do lekarza przy pierwszych objawach. Decydują się na to, gdy często jest już za późno.

Efekt zwiększonej świadomości i aktywności pacjenta widać też w innych miejscach. Z danych opublikowanych w 2024 r. w „British Journal of Dermatology" wynika, że w krajach europejskich obserwuje się ostatnio kilkudziesięcioprocentowy wzrost rozpoznawalności czerniaka, przy czym skok zachorowań następuje zwykle wkrótce po uruchomieniu kampanii społecznych zachęcających do badania swojej skóry. Podobne wnioski zawarto też m.in. w pracy z lutego br. zamieszczonej w „Skin Health and Disease".

Co ważne, powyższe przykłady nie rozstrzygają, czy to dobrze, czy źle, że w ramach programów przesiewowych wykrywa się więcej nowotworów. Eksperci zgadzają się oczywiście, że złośliwe progresywne raki trzeba jak najszybciej leczyć. Nie są jednak w pełni zgodni, czy należy wykrywać wszystkie zmiany nowotworowe w ramach ogólnopopulacyjnych, zakrojonych ▶

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ na szeroką skalę kampanii, czy raczej skupić się na grupach ryzyka. Te kwestie opisywaliśmy szerzej w POLITYCE 42/23.

Paradoksalnie wzrost zapadalności na nowotwory wynika również ze skuteczniejszej opieki medycznej, wyższego standardu życia i lepszego stanu sanitarnego ludzkich siedlisk. Ogólna śmiertelność całej populacji zawsze wynosiła i nadal wynosi 100 proc. Na tę wartość składają się jednak różne zmienne, które przesuwają się na osi czasu jak suwaki na konsolecie. Nie zachoruje na raka ktoś, kto wcześniej umarł na chorobę zakaźną, doznał śmiertelnego urazu lub doświadczył tragicznych w skutkach niedoborów czy głodu. A przez setki, tysiące lat to właśnie te czynniki odpowiadały za większość zgonów. Obecnie ich udział zmalał, dlatego zrobiło się miejsce na inne.

Tryb życia i środowisko

Podobne różnice można też zauważyć współcześnie, jeśli porówna się kraje o diametralnie innym poziomie i stylu życia mieszkańców. Cancer Atlas podaje, że główną przyczyną śmierci w Japonii są nowotwory złośliwe (44,6 proc. zgonów). W Republice Południowej Afryki ludzie umierają przede wszystkim na choroby pasożytnicze i infekcje (44,7 proc.). Z analizy Global Burden of Disease Study 2021 oraz z raportu Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) z 2023 r. wynika, że obecnie dzięki wielu programom profilaktycznym i terapeutycznym globalna liczba zgonów spowodowanych malarią i gruźlicą stopniowo spada. W wielu miejscach towarzyszy temu równoległy wzrost zachorowań na nowotwory. Gdzieniegdzie dochodzi natomiast do „zmiany niszy" – jedne nowotwory są zastępowane innymi.

Cancer Atlas dzieli kraje na te, które mają niski, średni, wysoki lub bardzo wysoki wskaźnik rozwoju społecznego (WRS). Składają się na niego m.in. dochód narodowy *per capita*, średnia liczba lat edukacji obywateli i oczekiwana długość ich życia. W państwach o niskim WRS dominują nowotwory związane z infekcjami, np. rak szyjki macicy spowodowany wirusem HPV. W regionach o bardzo wysokim WRS przeważają zaś choroby nowotworowe związane z trybem życia, takie jak rak okrężnicy czy płuca. W najgorszej sytuacji są te kraje, które właśnie zaczynają swoją wspinaczkę w rankingu i zostają obciążone zarówno starymi, jak i nowymi schorzeniami, bo proces „wymiany" jest dopiero w toku.

Czy przedstawione powody w wyczerpujący sposób tłumaczą obserwowane w ostatnich latach wzrosty zapadalności na nowotwory wśród ludzi młodych? Z wielu badań wynika, że nie. W USA w ostatnich dwóch dekadach ogólny wskaźnik zachorowania na raka utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie, a mimo to obserwuje się wzrost liczby diagnoz u ludzi poniżej 50. roku życia. Świadczy to o tym, że piku nie można wytłumaczyć samym „efektem lupy", bo powinien on działać w podobny sposób na wszystkie grupy wiekowe.

Sytuacja jest tym bardziej problematyczna – zwracają uwagę autorzy pracy opublikowanej w maju na łamach „BMC Gastroenterology" – że młodzi pacjenci często otrzymują zbyt późne rozpoznanie mimo wcześnie występujących objawów. Kiedy 30-latek przychodzi do lekarza, uskarżając się np. na symptomy ze strony przewodu pokarmowego, to ani jemu, ani medykowi nie przychodzi do głowy, że przyczyną może być rak. I tak młodym pacjentom zgłaszającym np. obecność krwi w kale przepisywano leki na hemoroidy, bo takie rozpoznanie najbardziej pasuje do tej grupy wiekowej.

W publikacji z „Nature" zwrócono uwagę, że przyczyny wzrostu zachorowalności wśród młodych ludzi są zapewne złożone. W przeciwnym razie rozstrzygający dowód zostałby już znaleziony przez któryś zespół naukowy. W „JAMA" wymieniono kilku potencjalnych winowajców, którzy mogą działać razem albo nawet wzmacniać nawzajem swój szkodliwy wpływ. Pierwszy to siedzący tryb życia i otyłość, a także towarzyszące im zaburzenia metaboliczne, zwłaszcza te związane z gospodarką insulinową.

Nadmierna masa ciała prowadzi do przewlekłego stanu zapalnego i na tej drodze może prowokować nowotworzenie. Często towarzyszy jej również hiperinsulinemia, czyli stan chronicznego wzrostu insuliny we krwi, wynikający m.in. ze zbyt wysokocukrowej, ubogiej w błonnik diety, a także z niskiego poziomu aktywności fizycznej. Insulina to hormon, który w pewnych warunkach i stężeniach może pobudzać wzrost guzów.

Tę samą przyczynę wskazali autorzy pracy z „The Lancet Public Health". Podkreślili, że najczęściej diagnozowane u młodych ludzi nowotwory od dawna są na celowniku diabetologów i endokrynologów. Wielokrotnie wykazywano ich korelację z nadmierną masą ciała i z zaburzeniami metabolicznymi. Naukowcy zwrócili również uwagę, że statystyki zachorowań na raka rosną tak samo jak krzywe otyłości. To właśnie u młodych ludzi obserwuje się teraz największy skok liczby obu tych przypadłości.

Eksperci nie wykluczają również, że duże znaczenie mają zmiany w mikrobiomie. Częstsze niż kiedyś stosowanie antybiotyków, dieta o wysokiej kaloryczności, ultraprzetworzona żywność – te oraz inne czynniki sprawiają, że zmienia się skład zasiedlających jelita drobnoustrojów, które od pokoleń utrzymują z nami symbiotyczną relację. Nie ma jeszcze rozstrzygających danych, które wyjaśniłyby, dlaczego współczesny mikrobiom miałby sprzyjać nowotworom. Możliwe są tu co najmniej dwa scenariusze. Pierwszy: zubożona flora jelitowa mniej skutecznie broni organizm przed szkodliwymi mikrobami, które z kolei wydzielają toksyny i substancje sprzyjające wzrostowi guzów. Drugi: niedobór dobroczynnych bakterii sprawia, że nie ma komu wydzielać substancji łagodzących stan zapalny. Przez to dochodzi do zaostrzenia tzw. stresu oksydacyjnego i lokalnego promowania genetycznych mutacji odpowiedzialnych za nowotworzenie.

Alkohol i mikroplastik

Eksperci zauważają, że na zachorowalność może też wpływać zwiększona konsumpcja alkoholu (odnotowywana w ostatnich dekadach wśród kobiet, a to u nich obserwuje się największy skok zapadalności), a także ekspozycja na czynniki środowiskowe, zwłaszcza na zanieczyszczenia i mikroplastik. Aby ustalić, jak te zmienne wpływają na nowotwory u młodych ludzi, konieczne są dalsze badania. Nie trzeba jednak czekać na ich wyniki, by zacząć działać na rzecz swojego zdrowia.

WHO podkreśla, że nawet połowie wszystkich nowotworów da się zapobiec poprzez proste, ale regularne działania, przede wszystkim te związane ze zdrowym trybem życia i z profilaktyką. Trzeba też pamiętać, że rośnie nie tylko zachorowalność, ale też liczba możliwości terapeutycznych. Postępy onkologii klinicznej jeszcze nigdy nie były tak dynamiczne jak obecnie. Dla wielu młodych pacjentów rak przestaje być wyrokiem, a staje się chorobą przewlekłą, którą często można albo doprowadzić do remisji, albo przez wiele lat trzymać w szachu.

MARTA ALICJA TRZECIAK

eprasa.pl ad2f04fa8d

Swing Riots, zamieszki w hrabstwie Kent w 1830 r. Robotnicy rolni niszczyli maszyny i podpalali stogi siana.

© WORLD HISTORY ARCHIVE/EAST NEWS

Patent na bunt

Czego w dobie big techów i AI możemy się nauczyć od XIX-wiecznych luddystów? Odpowiada Brian Merchant, autor wydanej właśnie po polsku książki „Krew w maszynie".

KASPER KALINOWSKI: **– Na początku swojej książki pisze pan, że ta historia mogłaby się wydarzyć dziś. Po 200 latach jest aktualna?**

BRIAN MERCHANT: – Jak najbardziej. Ujmijmy to następująco: luddyści walczyli o większą inkluzywność w procesie rozwoju technologicznego – o sposób życia, który znali od pokoleń, o ochronę swoich praw, godność i wpływ na własne losy. Na głębszym poziomie działali więc na rzecz demokracji. Występowali nie przeciw nowym technologiom, lecz przeciw temu, jak pracę wokół nich organizowali fabrykanci i przemysłowcy. W wielu miejscach warunki stały się niewyobrażalne. Nadzorcy stosowali kary cielesne. Mnożyły się wypadki. Wskaźnik śmiertelności był wysoki. Dziś szefowie big techów używają wielu argumentów z okresu rewolucji przemysłowej, by maksymalizować zyski kosztem pracowników.

Kiedyś ofiarami technologii padli rzemieślnicy czy tkacze, których w Wielkiej Brytanii były setki tysięcy. Kiedy pisałem książkę, dominującym zagrożeniem był wzrost liczby opartych na algorytmach aplikacji do pracy dorywczej oraz sposób organizacji pracy w fabrykach Amazona i podobnych miejscach. Dziś najbardziej palącym problemem stała się sztuczna inteligencja. Może być zagrożeniem dla pisarzy, artystów, grafików, ilustratorów, dziennikarzy czy programistów. Lista jest bardzo długa.

Skąd wzięła się czarna legenda luddystów i dlaczego wciąż ją powtarzamy?

Pracując nad książką, natknąłem się na cytat z lat 90. XX w. autorstwa Theodore'a Roszaka (1933–2011, amerykański historyk i publicysta, twórca pojęcia „kontrkultura" – przyp. red.): „Gdyby luddyści nie istnieli, ich krytycy musieliby luddystów wymyślić".

Ich współczesny krzywdzący wizerunek jest bardzo użyteczny dla osób, które czerpią wielkie zyski z technologii. ▶

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ Luddysta – oto wygodny epitet wobec każdego, kto ośmieli się dyskutować o kosztach wprowadzania nowych narzędzi. Widać to było już w XVIII w. w przemowach parlamentarzystów czy wystąpieniach króla. Doskonale zorganizowany ruch przedstawiano jako grupę ludzi prymitywnych, szkodzących samym sobie. Ta propaganda pomijała ich wielką ówczesną popularność. Często się zastanawiałem, dlaczego wciąż romantyzujemy postać Robina Hooda, który zresztą luddystów inspirował. Wyjaśnieniem może być to, że dla władz to mit o wiele mniej niebezpieczny niż prawdziwy obraz XIX-wiecznych buntowników. Ich przedsięwzięcie mogło bowiem uderzyć w samo serce interesów elit. Pierwszy raz w dziejach mogliśmy więc dostrzec coś, co miało stać się częścią całej historii cywilizacji przemysłowej – krytyków technologii przedstawiano jako zacofańców.

Z podobną narracją mieliśmy do czynienia podczas antymonopolowych procesów Microsoftu w latach 90. XX w. Później w przypadku krytyków Ubera, których również nazywano luddystami. A obecnie – przy okazji dyskusji o AI.

Wydaje się, że takich mitów jest więcej. Budują je choćby liderzy z Doliny Krzemowej.

Rzeczywiście, zarówno w przypadku właścicieli pierwszych fabryk, jak i współczesnych wizjonerów mamy do czynienia z tymi samymi mechanizmami. Z przypisywaniem sobie zasług za wynalazki innych, a następnie monopolizowaniem rynku.

Tak działał np. główny wróg luddystów Richard Arkwright. To on opatentował krosno tkackie napędzane kołem wodnym i zbudował pierwsze zakłady przemysłowe w środkowej Anglii. Myślę, że kluczem do jego sukcesu nie była niezwykła inteligencja ani smykałka do biznesu, ale chęć zrobienia czegoś, czego inni się wystrzegali. Otóż na niespotykaną wcześniej skalę naginał pracowników do własnej woli, zmuszał ich do pracy – także dzieci – w fabrykach działających całą dobę. Wprowadził reżim pracy pod dyktando maszyn.

Jak wówczas wyglądały warunki życia w Anglii?

Były wręcz idealne do buntu. Ludzie cierpieli z wielu powodów. Pierwszą przyczyną była katastrofalna polityka handlowa. Cła i sankcje nałożono na każdego, kto prowadził interesy z napoleońską Francją, z którą Wielka Brytania toczyła wówczas wojnę. Nie można było również eksportować towarów do Stanów Zjednoczonych. Dodajmy niskie plony i wzrost cen żywności oraz postawę rządzących, którzy zakazali robotnikom zrzeszania się i tworzenia związków zawodowych oraz walki o swoje prawa. Nie było mowy o żadnej demokracji. Luddyści przyłożyli iskrę do beczki prochu, która wypełniała się bardzo długo.

Po 200 latach mamy do czynienia z jeszcze większymi nierównościami.

Może w Europie nie jest tak bardzo źle, ale w USA różnice dochodów są uderzające. A wiele firm technologicznych promujących AI jest sprzymierzonych z administracją Donalda Trumpa, którego autorytarne tendencje stają się coraz bardziej wyraźne. Wspólnie dążą do stworzenia prawa służącego ich interesom. Znowu odbierane są nam narzędzia demokracji, dzięki którym mogliśmy wyrazić niezadowolenie i wpływać na to, jak wprowadzana jest nowa technologia. W USA kapitał jest niezwykle skoncentrowany wokół grupy ludzi, którzy będą o tym decydować za nas. Buntownicy sprzed lat pojawili się w zaskakująco podobnej sytuacji.

Niszczenie maszyn często karano śmiercią. Zarządzono największą okupację wojskową ziem brytyjskich – mniej żołnierzy walczyło z Napoleonem w Hiszpanii. Było blisko powtórki z rewolucji francuskiej?

Wielu historyków twierdzi, że gdyby w Anglii miało nastąpić podobne przesilenie, to właśnie wtedy. A ówczesne elity były o tym przekonane, i to wręcz obsesyjnie. Widać to w dużej mierze w języku, jakim w raportach posługiwali się rządowi szpiedzy. Zapanował powszechny strach przed wielotysięcznym powstaniem ludu.

Maszyny zwyciężyły, a luddyści ponieśli porażkę. Zawodów, które wykonywali, już nie ma.

Praca przy taśmie produkcyjnej w zakładach Forda w Detroit, początek XX w.

Moim zdaniem luddyści przegrali bitwę, ale nie wojnę. Co prawda wielu zostało powieszonych lub zabitych na ulicach. Udało im się jednak pierwszy raz doprowadzić do solidarności klasy robotniczej. Zasiali nasiona czegoś, co dziś nazywamy technokrytycyzmem.

Dobrze oddaje to wymyślona w tym okresie przez Mary Shelley postać Frankensteina, symbolizująca przekonanie, że niekontrolowana technologia może

eprasa.pl ad2f04fa8d

być niebezpieczna, jeśli jest wdrażana lekkomyślnie. Może zaszkodzić ludziom, jeśli używa się jej tylko dla powiększenia własnej władzy. Po powstaniu niektórzy luddyści stali się reformatorami. Wielu ustaw by nie było, gdyby nie oni. Myślę, że ich dziedzictwo jest złożone.

Na przykład ręczne tkactwo na krosnach nie zniknęło – ta praca wciąż jest wykonywana przez miliony ludzi. Tyle że już nie na angielskiej wsi, tylko w Bangladeszu, Kambodży, Wietnamie czy w Indiach. Czasami w gorszych warunkach niż w przypadku pierwszych luddystów, a już na pewno rzemieślników, którzy mieli własny dom z warsztatem. Tak pewnie powstała koszula, którą mam na sobie. Luddyści przegrali, więc korporacje dyktują, jak ma być produkowana. Wciąż korzystniej jest zapłacić komuś grosze za tkanie na krosnach.

Wspomniał pan, że na głoszone przez właścicieli pierwszych fabryk wizje postępu powołują się elity Doliny Krzemowej. W jaki sposób?

Zanim tkacze się zbuntowali, wielokrotnie występowali w parlamencie, mówiąc: „Słuchajcie, te nowe fabryki obniżają nasze płace, produkują towary o niskiej jakości, łamią ustawy, które regulują takie sprawy, jak liczbę nici w produktach lub jak długo ktoś musi być uczniem, zanim będzie mógł obsługiwać maszynę". Właściciele maszyn argumentowali, że ich to nie dotyczy – technologia jest nowa, więc stare prawo nie ma do niej zastosowania.

Współcześnie obserwujemy to samo. Sam Altman, szef OpenAI, mówi: „Będziemy musieli zerwać umowę społeczną, ponieważ AI wszystko odmieni". A jeszcze udajemy, że nie potrzebujemy już pracowników, choć wszyscy wiedzą, że ktoś musi nadzorować wytwory AI, żeby nie wyszły poza określone ramy. Pracownicy otrzymują marne grosze za sortowanie niekończących się danych, nieobrobionego materiału dla komputerowych systemów rozpoznawania obrazu czy pojazdów autonomicznych. Badacze Mary L. Gray i Siddharth Suri określili to mianem ghost work (pracy duchów). A para się nią coraz więcej osób.

A może po prostu boimy się każdej nowinki technologicznej? Podobnie było z automatyzacją w fabrykach Forda.

Często słyszę ten argument. Podobnie jak ten, że samochody musiały zastąpić powozy konne. Wszystko to jednak nie zostało wprowadzone w przemyślany sposób. Linie Forda służyły tym, którzy produkowali samochody. Nikt nie myślał o zanieczyszczeniu środowiska ani o przemocy, a przecież osoby zatrudniane przez Forda biły, zastraszały i szpiegowały działaczy związkowych.

Brian Merchant – amerykański publicysta. Porusza problematykę pracy, automatyzacji, wpływu technologii na środowisko, a także kryzysu klimatycznego i bioróżnorodności. Autor bestsellerowej książki „The One Device: The Secret History of the iPhone". Po polsku ukazała się niedawno „Krew w maszynie. Luddyści i pierwszy bunt przeciwko technologicznym gigantom".

Czy chcemy pozwolić Altmanowi decydować o kształcie społeczeństwa? Na razie dajemy całą władzę Elonowi Muskowi, Google i garstce firm technologicznych, które dyktują warunki. Miliony pracowników, których miejsca pracy są zagrożone przez AI, nie ma nic do powiedzenia. Przypomnijmy, że luddyści nie protestowali przeciwko technologii, lecz przeciwko sposobowi, w jaki była narzucana całemu społeczeństwu, które uległo przez nią rozpadowi.

Jak odpowiada pan krytykom, którzy mówią, że to lewicowy punkt widzenia na ekonomię?

Nie chodzi o powrót do komunizmu, a ten argument pojawia się równie często. Fakt, że firmy z Doliny Krzemowej mają zbyt wiele władzy, niepokoi również wielu konserwatystów. Obawiają się, że człowiek staje się czymś przestarzałym i zbytecznym. Widzą zagrożenia związane z AI i obawiają się ich moralnych implikacji. Spotkałem bardzo niewielu ludzi skłonnych posunąć się do stwierdzenia, że skargi luddystów były nieuzasadnione. Wystarczy spojrzeć na ich marną sytuację i ubogie środki, jakimi dysponowali. Jak pisał Frank Peel, jeden z pierwszych historyków ruchu luddystów, „ich powinnością było zwinąć się w kłębek w pobliskim rowie i wyzionąć ducha". Musimy znaleźć mechanizmy, które dadzą zwykłym ludziom wpływ na decyzje dotyczące tego, jak rozwijana i używana w ich miejscach pracy jest technologia.

Nie wydaje się, by społeczeństwo ogarnął tak wielki gniew, że zaczną płonąć serwerownie. Jak więc wprowadzić zmiany?

Myślę, że jedyna szansa to większa solidarność i samoorganizacja. Musimy się po prostu spotykać. Istnieje tyle platform zrzeszających pracowników – w Stanach Zjednoczonych to np. Substack, z którego sam korzystam. Mamy kanały na YouTube, ale to wciąż rozproszona i izolowana aktywność. Nadzieją są nowe projekty i narzędzia jak Mastodon czy – do pewnego stopnia – BlueSky, gdzie można budować sieci społeczne. Technologia może być w pewnym stopniu użyteczna w walce przeciwko własnym panom.

To społeczeństwo będzie toczyć tę bitwę i to od niego zależy, czy zakończy się ona sukcesem, czy porażką. Wiele możemy się nauczyć od luddystów. Wszyscy oni się znali, byli wspólnotą i mieli świadomość, co zostanie utracone, jeśli technologia będzie ważniejsza od człowieka.

Od premiery pana książki na rynku anglosaskim w 2023 r. wiele się zmieniło. Co uznałby pan za najważniejsze?

Wszystkie moje obawy i podejrzenia związane z Doliną Krzemową się potwierdziły. Przedstawiciele big techów mówią o tym, jak ich produkty coś zdemokratyzują, a jednocześnie lobbują w Waszyngtonie, aby zakazać stanom uchwalania praw, które je regulują. Gromadzą coraz więcej kapitału i stają się coraz bardziej antydemokratyczne. Nic dziwnego. Ich imperatywem jest pomnażanie zysków.

Niebo robi się coraz bardziej pochmurne. Nie dlatego, że nowe technologie zmienią się w Terminatorów, lecz dlatego, że widzieliśmy już, co się stało z mediami społecznościowymi. Rozwiązania kojarzone z AI mogą być jeszcze bardziej antyspołeczne i niebezpieczne, bo po co ludzie mają się uczyć czegoś nowego, skoro wszystko się automatyzuje?

Myślę, że największą zmianą w czasie ostatnich dwóch lat jest to, że firmy postawiły wszystko na rozwój AI. Nie ma żadnych oznak, żeby cokolwiek mogło się zmienić w najbliższym czasie. Big techy to niesamowicie dobrze zabezpieczone finansowo monopole, które nie odpowiadają przed nikim poza swoimi akcjonariuszami i dyrektorami.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

© AKG/FORUM, MP

eprasa.pl ad2f04fa8d

Krajobrazy zniewolenia

Choć rozsiane po Dolnym Śląsku podobozy Gross-Rosen były miejscem cierpienia tysięcy więźniów z całej Europy, większość nie doczekała się ani badań, ani upamiętnień.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Złoty pociąg, symbol ukrytych skarbów III Rzeszy, powraca. Znów zrobiło się o nim głośno za sprawą grupy eksploratorów z Dolnego Śląska. Ogłosili, że znają dokładną lokalizację tunelu, w którym może spoczywać słynny pancerny skład pełen złota, dzieł sztuki i tajemnic. I znów wszyscy patrzą w stronę Wałbrzycha. Paradoksalnie o wiele mniej emocji budzą prawdziwe „skarby" ukryte w okolicznych lasach – zarośnięte, zatarte przez czas i zapomnienie filie obozu KL (Konzentrationslager) Gross-Rosen. Miejsca, gdzie ludzie próbowali przeżyć kolejny dzień. Albo choćby godnie umrzeć.

Pasjonaci drugiej wojny światowej masowo jeżdżą w Góry Sowie, by zwiedzać wydrążone w ramach projektu „Riese" sztolnie. Są dobrze przebadane, zadbane i udostępniane turystom, a tymczasem rozsiane po okolicy podobozy, w których mieszkali budujący je więźniowie, znikły z pamięci. Ich ukryte w lasach relikty znane są nielicznym. Tylko poszukiwacze drugowojennych fantów chodzą po nich z wykrywaczami metali.

Wiele jest też i takich obozów, o których słuch całkiem zaginął. Co prawda cierpienie więźniów, głównie Żydów z Węgier, Grecji i Włoch, ale też Polaków i Rosjan, zmuszanych do katorżniczej pracy, jest zapisane w archiwach i relacjach świadków, ale miejsca, gdzie żyli lub gdzie znajdują się ich ciała, nie są objęte ochroną konserwatorską. W Górach Sowich dopiero niedawno zlokalizowano 32 podobozy, a w Sierpnicy przeprowadzono pierwsze wykopaliska sondażowe. To jednak zaledwie część z ok. 100 podobozów KL Gross-Rosen. Tylko niektóre doczekały się solidnych badań naukowych.

Sztolnie w Górach Sowich udostępniono turystom. Jednak przy wielu byłych filiach Gross Rosen, jak AL Kittlitztreben w Karczmarce (u góry), **nie ma ogrodzenia ani tablic informacyjnych.**

Niemal zupełnie zapomniane AL (Aussenlager) Halbau w Czyżówku i AL Kittlitztreben w Karczmarce w pobliżu Żagania są porośnięte lasem, pozbawione tablic i atrybutów upamiętnień. Dopiero interdyscyplinarny zespół naukowców z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu i Uniwersytetu Zachodnich Czech w Pilźnie prowadziły w ostatnich kilku latach nowoczesne badania. Ich wyniki ukazały się właśnie w czasopiśmie „Antiquity" jako studium przypadku tzw. krajobrazu zniewolenia (*landscape of enslavement*). – *Ponieważ przez dziesięciolecia wiele z podobozów znikło z otoczenia, jeszcze niedawno funkcjonowały w pamięci mieszkańców jedynie jako luźne wspomnienia i legendy* – mówi prof. Paweł Konczewski, archeolog z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. – *Nasze badania pozwoliły precyzyjnie wskazać ich lokalizację, a tym samym osadzić je w rzeczywistości.*

W Halbau przetrzymywano co najmniej tysiąc osób – głównie Polaków, Rosjan, ale też Żydów z Francji i Belgii – którzy pracowali w zakładach Pressmetall produkujących części do samolotów. Obóz miał kształt trójkąta, z wieżami wartowniczymi w narożnikach, ogrodzeniem pod napięciem i wyżej położoną wydzieloną częścią, być może służącą do apeli lub kontroli. Dzięki analizie zdjęć lotniczych z 1948 r., pomiarom lidarowym i sondażom udało się odtworzyć układ baraków, sanitariatów, a nawet odkryć ceramiczne izolatory i relikty wkopanego w ziemię podwójnego ogrodzenia z drutu kolczastego. Nie ma pełnych źródeł archiwalnych, więc archeolodzy sięgnęli po metody nieinwazyjne, a dopiero później, punktowo, wykonali wykopy sondażowe, by potwierdzić swoje hipotezy.

Karczmarka była częścią kompleksu Luftwaffe związanego z produkcją i magazynowaniem amunicji, m.in. bomb V-1 i Fritz X. Przez obóz przeszło od 1,7 tys.

© ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, KULTURAWLESIE.PL_2020ROK, PAWEŁ KONCZEWSKI

eprasa.pl ad2f04fa8d

do nawet 2,5 tys. więźniów, głównie Żydów z Węgier, Polski, Niemiec, Austrii i Belgii. Tam zachował się układ fundamentów równoległych baraków mieszkalnych, pozostałości łaźni z betonowymi korytami, kanały ściekowe, elementy ogrodzeń i zabudowy administracyjnej. Wciąż rosną tu dęby czerwone – świadkowie czasu – posadzone jeszcze w okresie Trzeciej Rzeszy, gdy obozem zarządzało SS.

Obie lokalizacje badano za pomocą radaru GPR, tomografii elektrooporowej i magnetometrii, także w poszukiwaniu grobów więźniów. Szczególną uwagę poświęcono tzw. bratniej mogile w Karczmarce i zapadliskom widocznym na zdjęciach lotniczych. Niestety nie udało się potwierdzić obecności ludzkich szczątków. Możliwe, że ciała zostały przeniesione, spalone, zakopane w miejscach niemożliwych do identyfikacji. A może po prostu swoje zrobiły czas i roślinność.

Ekipa prof. Konczewskiego prowadziła też badania w dwóch innych podobozach przeznaczonych dla kobiet, bo i one trafiały do filii Gross-Rosen. Latem 1944 r. w północnej części Dolnego Śląska i na pograniczu z Wielkopolską, w okolicach Sławy i Milicza, powstało wiele kobiecych obozów pracy, w których znalazło się 5 tys. Żydówek przetransportowanych z KL Auschwitz-Birkenau. Nie pracowały w tkalniach, szwalniach i przędzalniach, jak więźniarki z Zielonej Góry czy Nowej Soli, lecz kopały rowy przeciwczołgowe i umocnienia tzw. linii Bartolda.

– *Dwa badane przez nas podobozy na terenie wsi Przybyszów funkcjonowały zaledwie kilka miesięcy i miały charakter prowizoryczny* – opowiada badacz. – *Kobiety zakwaterowano w zaadaptowanych na potrzeby obozowe folwarkach, gdzie wcześniej trzymano zwierzęta. Na jedną toaletę przypadało nawet tysiąc więźniarek. Ze wspomnień wiemy, że musiały sobie same wykopać latryny, a potem przetrwać w nieludzkich warunkach.* Niedożywione i źle ubrane zmuszone były do pracy na mrozie, co – jak wyliczyła niemiecka badaczka Andrea Rudorff – sprawiło, że śmiertelność w tych obozach należała do najwyższych wśród więźniarek deportowanych z Oświęcimia. Również dlatego większość z nich zmarła w trakcie „marszu śmierci" zimą 1945 r., gdy uciekający przed Armią Czerwoną Niemcy ewakuowali więźniów z Auschwitz, Stutthofu, Gross-Rosen i Majdanka do Mauthausen, Dachau, Bergen-Belsen i Buchenwaldu.

Choć miejsca pochówku nie zostały dotąd odnalezione, archeolodzy mają przypuszczenia, gdzie mogą być, ale nie podejmują dalszych działań. – *Z szacunku do zmarłych i w zgodzie z tradycją żydowską nie podejmujemy prób ekshumacji. To zresztą nie jest naszym zadaniem. Wierzymy, że już sama lokalizacja, dokumentacja i upamiętnienie są ważnym krokiem. Nie chodzi o zaspokajanie ciekawości, ale o etykę badacza. Jeśli jednak kiedyś ktoś trafi na kości, nie będą to anonimowe resztki, lecz fragment większej, nazwanej historii. Zadaniem archeologii totalitaryzmów XX w. jest oddawanie głosu zapomnianym miejscom i ludziom, którzy w nich cierpieli i umierali* – tłumaczy profesor. Badania zespołu są na ukończeniu, a ich publikacja na pewno będzie ważnym głosem w odkrywaniu kobiecego wymiaru Zagłady i pracy przymusowej.

W badaniach filii Gross-Rosen pomaga Polakom kierowany przez prof. Pavla Vařekę zespół z uniwersytetu w Pilźnie, który ma duże doświadczenie w dokumentowaniu filii KL Flossenburg (Bawaria), np. obozu cygańskiego w Letach koło Pisku (zachodnie Czechy). Nie tylko przebadano jego teren, gdzie po wojnie wzniesiono chlewnię, ale też doprowadzono do stworzenia miejsca pamięci.

W rozpoznaniu grobów ofiar tego obozu uczestniczył zespół polskich antropologów kierowany przez prof. Barbarę Kwiatkowską z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Udało się nie tylko zlokalizować groby i określić dane biologiczne osób w nich pochowanych (np. wiek w chwili śmierci i płeć), ale też pobrać próbki do badań genetycznych. Daje to nadzieję na imienną identyfikację ofiar obozu w Letach, bo społeczność czeskich Romów, których więziono w tym obozie, jest w kontakcie z badaczami, a krewni ofiar przekazali próbki genomu niezbędne do analiz.

Prof. Konczewski jest też zadowolony ze współpracy z miłośnikami historii posługującymi się wykrywaczami metalu. – *Nie demonizowałbym tej grupy, bo nie jest jednorodna. W badaniach kobiecych podobozów koło Sławy ogromnie pomogli nam członkowie Sławskiego Stowarzyszenia Historyczno-Eksploracyjnego. Od lat pracują pod opieką archeologa, więc robią to z poszanowaniem wszelkich reguł.*

Szkoda, że podobnie kompleksowych badań jak w Czyżówku czy Karczmarce nie doczekały się filie Gross-Rosen w Górach Sowich. Poniemieckie budynki nie są objęte ochroną konserwatorską, więc bez badań archeologicznych bywają rozbierane pod nowe inwestycje, jak było w przypadku fabryki Nortech w Głuszycy, w której znajdowała się niegdyś administracyjna centrala zarządu obozów projektu „Riese". – *Formalnie prawo mówi, że miejsca pamięci powinny być chronione, nawet jeśli nie są wpisane do rejestru zabytków, ale urzędnik musi wiedzieć, co ma chronić. A jak nie zna lokalizacji, nie zna historii, to nie ma podstawy do decyzji* – zauważa archeolog.

Polskie władze troszczą się raczej o miejsca, w których cierpieli i umierali Polacy. Tymczasem godne potraktowanie pozostałych, związanych z innymi nacjami – chociażby przez inwentaryzację i przebadanie metodami nieinwazyjnymi – to nie tylko kwestia etyki historycznej, lecz także prestiżu naszego kraju. A mamy potencjał, by zostać liderem archeologii totalitaryzmów XX w. ze względu na liczbę stanowisk martyrologicznych. Poza tym i my dysponujemy narzędziami, które pozwalają je znaleźć i zadokumentować. – *Niektóre miejsca koncentrują naszą pamięć o tragicznej przeszłości danego regionu. Inne, ponieważ już się „zarcheologizowały", odkrywamy powtórnie, dla siebie, dla lokalnych społeczności, dla ogółu* – mówi prof. Konczewski

Podczas gdy wszyscy szukają ukrytych składów ze skrzyniami z Bursztynową Komnatą, pozostałościami wojny dokumentującymi cierpienie, niewolniczą pracę i bezimienną śmierć interesują się nieliczni. Dobrze by jednak było, żeby krajobrazy zniewolenia stały się krajobrazami pamięci. ■

Zainteresowanym dziejami II wojny światowej polecamy pakiet 6 Pomocników Historycznych POLITYKI. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl ad2f04fa8d

Amerykańskie ataki jądrowe na Hiroszimę i Nagasaki (6 i 9 sierpnia 1945 r.) zapoczątkowały nową, paradoksalnie bezpieczną erę w historii ludzkości. Czy ta epoka właśnie się kończy?

ADAM KRZEMIŃSKI

Parasol przed huraganem

Tamta bomba powstała z obawy, by wcześniej nie zbudowali jej Niemcy. A użyta została przeciw japońskim miastom, by szybko zakończyć wojnę na Pacyfiku i oszczędzić życie setek tysięcy amerykańskich żołnierzy. W ciągu rozpoczętej wówczas „ery atomowej" świat bywał na krawędzi katastrofy, jak w 1962 r. w czasie kryzysu kubańskiego. Ale też – są takie głosy – dzięki „równowadze strachu" między dwoma supermocarstwami zimna wojna nie przerodziła się w trzecią światową. Po czym świat odetchnął. W 1987 r. obie potęgi się opamiętały, redukując swoje arsenały atomowe. I jeszcze na początku prezydentury Baracka Obamy mogło się zdawać, że broń jądrowa traci na znaczeniu. Wiele jest jednak zwiastunów nowej burzy.

To nie tylko amerykańskie superbomby albo rosyjskie czy północnokoreańskie rakiety zdolne przenosić ładunki nuklearne. To także ciągle utarczki wyposażonych w broń atomową Indii i Pakistanu oraz rozrost chińskiego potencjału jądrowego, który w 2035 r. ma się zrównać z amerykańskim i rosyjskim. To w końcu, a może przede wszystkim, jawny atomowy szantaż Rosji wobec Ukrainy.

Nigdy wcześniej Stany Zjednoczone nie musiały jednocześnie chronić swoich sojuszników przed kilkoma atomowymi rywalami naraz. A Rosja, Chiny i Korea Północna mogą już teraz zsynchronizować konwencjonalne ofensywy przeciw państwom bezatomowym, osłaniając je tarczami atomowymi, co rozciągnęłoby amerykański potencjał odstraszania nuklearnego ponad jego możliwości. A jednoczesne słabnięcie parasola Ameryki sprawia,

eprasa.pl ad2f04fa8d

że jej azjatyccy i europejscy sojusznicy zaczynają rozważać budowę własnej broni jądrowej.

Koniec START-u

Strategicznym przeciwnikiem atomowym USA stają się Chiny, choć bombę zbudowały dopiero w 1964 r. i z 300 głowicami w 2013 r. były jeszcze daleko za amerykańsko-rosyjskim parytetem 1550 głowic. Tylko w ciągu ostatniej dekady Chiny podwoiły jednak swój potencjał. Chińska armia otrzymuje m.in. ponaddźwiękowe orbitalne systemy pozwalające ominąć amerykańską tarczę przeciwrakietową, coraz więcej systemów umieszcza się też na okrętach podwodnych. Toteż Ameryka potrzebuje licznych nowych i inaczej niż dotychczas rozlokowanych precyzyjnych sił nuklearnych, by móc odstraszać zarówno Rosję, jak i Chiny.

się też Iran, przyspieszając ostatnio swój program nuklearny. Amerykańskie superbomby miały go pogrzebać, ale nie jest wcale pewne, że to się udało. Zagrożeniem dla USA może być nawet Pakistan, zdaniem amerykańskiego wywiadu pracujący nad rakietą międzykontynentalną. W przypadku kolejnej jego wojny z Indiami Waszyngton może zostać zmuszony uznać Pakistan za zagrożenie także dla siebie.

Amerykańskich strategów niepokoi nie tyle każde z tych zagrożeń, ile ich suma – skoordynowane działania, czego zapowiedzią jest wsparcie rosyjskiej wojny z Ukrainą przez Iran i Koreę Północną, chińska pomoc przy obchodzeniu przez Rosję zachodnich sankcji, a rosyjska przy budowie chińskich systemów wczesnego ostrzegania. Stąd wniosek, że rosyjska wojna w Europie leży w interesie Pekinu, bo rozciąga siły amerykańskie. I gdyby jednak doszło do użycia broni jądrowej, to Chiny mogłyby

1

2

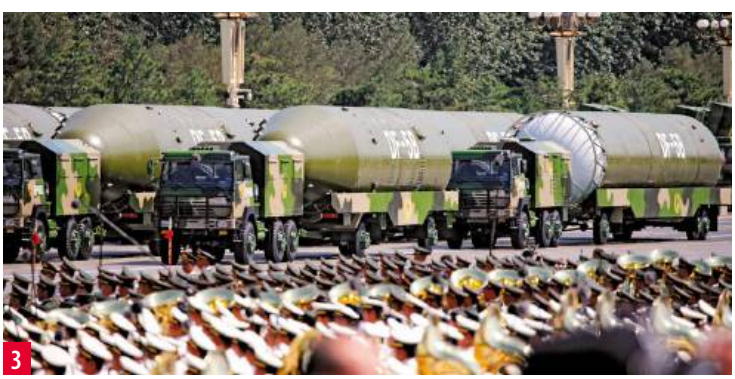

3

Rosyjskie pociski balistyczne RS-24 (1) mogą przenosić głowice nuklearne na 11 tys. km. Północnokoreańskie rakiety Hwasong-15 (2) doleciałyby z Azji do USA. Podobnie jak chińskie DF-5B (3). Nigdy wcześniej Waszyngton nie musiał jednocześnie chronić siebie i swoich sojuszników przed kilkoma atomowymi rywalami naraz.

© UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES, SEFA KARACAN/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES, KYODO NEWS STILLS/GETTY IMAGES, ASAHI SHIMBUN VIA GETTY IMAGES

Światowa konstelacja nuklearna wymyka się więc spod kontroli. Moskwa zawiesiła nowe porozumienie START z 2010 r., a jesienią 2022, gdy chwiały się jej pozycje na południu Ukrainy, rozważała użycie tam głowic atomowych. Według amerykańskiego wywiadu zagrożenie było większe niż w 1962 r. Po wyraźnym ostrzeżeniu z Waszyngtonu Władimir Putin się cofnął. Jednak dziś już Rosja straszy, że może zaatakować Francję, Wielką Brytanię czy USA, jeśli będą pomagać nienuklearnemu państwu będącemu z nią w stanie wojny.

Rodzi się obawa, że nowa rosyjska doktryna szantażu taktyczną bronią atomową – jako osłony wojny regionalnej – jest podręcznikowym przykładem dla Chin i Korei Północnej, jak użyć jej w Azji. Pjongjang, rozbudowując swój potencjał nuklearny, sugeruje Waszyngtonowi, że nie powinien ryzykować utraty San Francisco, aby chronić Seul. Do tej atomowej gry włączył

ruszyć z konwencjonalnym atakiem w Azji, co prawdopodobnie zmusiłoby Amerykanów do wycofania się z jednego lub obu tych teatrów wojennych.

Dotychczas USA rozciągały parasol atomowy nad 34 sojusznikami za dwoma oceanami. Nie z altruizmu, lecz dla własnego interesu, bo im mniej państw ma głowice, tym mniejsze zagrożenie. To dlatego Zachód po rozpadzie ZSRR nalegał, by radzieckie głowice atomowe znalazły się w jednych – rosyjskich – rękach.

Obecna polityka „America first" sprawia jednak, że sojusznicy zaczęli wątpić w wiarygodność i skuteczność amerykańskiego odstraszania. W Europie co prawda Wielka Brytania i Francja mogłyby jakoś rekompensować zmniejszone zaangażowanie USA, nie zastąpiłyby jednak amerykańskiego parasola atomowego. W rezultacie, jak odnotowują w magazynie „Foreign Affairs" dwaj byli eksperci rządu USA Vipin Narang ▶

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ i Pranay Vaddi, „Polska, a nawet Niemcy, mogą zdecydować się na poszukiwanie własnej broni jądrowej". To jednak rodzi inne wielkie niebezpieczeństwo – zachęca odstraszane państwa do uderzeń prewencyjnych.

Trzecia wojna

„Era atomowa" miała kiedyś swoje reguły. Kolejnym głowicom atomowym towarzyszyły zmasowane protesty. I nawet w szczytowej fazie zimnej wojny oba supermocarstwa widziały wzajemne korzyści w kontroli zbrojeń strategicznych. W 1987 r. Ronald Reagan i Michaił Gorbaczow uzgodnili likwidację pocisków rakietowych średniego i krótkiego zasięgu, ostatni krok w tej serii podjęto w 2010 r. Potem jednak Moskwa wycofała się z porozumień, a Pekin odmawia wszelkiej dyskusji o ograniczeniu zbrojeń. Atmosfera więc zgęstniała. Amerykanie mogą być zmuszeni stawić czoło dwóm nuklearnym mocarstwom, których potencjały rosną. Jednocześnie presję wywierają na nich podenerwowani sojusznicy.

Przez ostatnie dekady Ameryka zakładała, że globalne zapasy broni jądrowej będą się kurczyć i dlatego niemrawo modernizowała własne zasoby. Zatem 14 obecnych okrętów podwodnych klasy Ohio z 336 rakietami Trident ma zastąpić 12 okrętów klasy Columbia z tylko 192 rakietami. I to w momencie budowy w Chinach setek nowych silosów dla rakiet międzykontynentalnych. Nawet jeśli USA ukończą modernizację zgodnie z planem, ich arsenał nadal będzie niewystarczający do blokowania chińskich rakiet międzykontynentalnych, jeśli celem miałoby być zarazem odstraszanie Rosji.

Aby uniknąć rozmieszczania dodatkowych głowic w odpowiedzi na chińską ekspansję nuklearną, niektórzy stratedzy amerykańscy rozważają zmianę dotychczasowej strategii nastawionej na oszczędzanie ludności i atakowanie potencjału nuklearnego wroga, a nie ośrodków miejskich. Proponują podejście „sprzeczne z wartościami" (*countervalue approach*). Chodzi tu o działania nie tylko niezgodne z prawem i niemoralne, lecz i wątpliwe ze strategicznego punktu. Odejście od zasady ograniczania strat ludności cywilnej naraziłoby także amerykańskie miasta na zmasowany odwet, czego każdy prezydent USA będzie chciał uniknąć. W rezultacie sojusznicy jeszcze bardziej zwątpią w to, czy Ameryka będzie gotowa narazić swoje miasto dla obrony którejś z europejskich stolic. Tym bardziej więc próbowaliby zbudować własną bombę.

Amerykanie wracają więc do debat, które wybuchły po Hiroszimie – czy w sierpniu 1945 r. nie należało zademonstrować siły nowej bomby nad Zatoką Tokijską, a nie nad miastami. Wówczas odpowiadano, że skoro dywanowe bombardowania nie łamały japońskiego oporu, to trzeba było jednoznacznego wstrząsu Hiroszimy i Nagasaki.

W konsekwencji groza atomowej zagłady utrzymywała się przez następne dziesięciolecia zimnej wojny. Na Zachodzie budowano prywatne schrony. W czasach stalinowskich w szkołach uczono, że w razie czego trzeba się schować pod ławką. Na całym świecie bomba była szokiem kulturowym. Media szczegółowo opisywały moralny wstrząs Paula Tibbetsa, pilota samolotu Enola Gay, pisarze roztrząsali racje fizyków budujących bombę. W 1956 r. Günther Anders, pierwszy mąż Hannah Arendt, filozofował o „przedawnieniu ludzkości" i perspektywie zniszczenia przez człowieka życia na Ziemi. W latach 60. Hiroszimę jednym tchem zestawiano z Oświęcimiem jako przestrogę dla świata.

Zarazem w USA pod wpływem kryzysu kubańskiego zmieniono doktrynę atomową. Najważniejsze jest nierozprzestrzenianie ludobójczej broni oraz przesunięcie celów ze skupisk miejskich na wyrzutnie rakiet międzykontynentalnych. To była podstawa polityki odprężenia między mocarstwami. Złamała ją Moskwa pod koniec lat 70., instalując rakiety średniego zasięgu w NRD i Czechosłowacji i najeżdżając Afganistan. NATO odpowiedziało, ustawiając w RFN Pershingi i Tomahawki.

W 1982 r. emerytowany generał brytyjski John Hackett opublikował „Nieopowiedzianą historię trzeciej wojny światowej", w której to Układ Warszawski zaatakował Zachód, nie docierając jednak nad kanał La Manche (Polacy mieli przez Lubekę zajmować Danię). Zatrzymana siłami konwencjonalnymi Moskwa zrzuciła bombę jądrową na Birmingham, na co Amerykanie zbombardowali Mińsk. Był to podwójny sygnał, że obie strony walczą jedynie na swoim przedpolu, nie atakując Waszyngtonu ani Moskwy.

Ta fantastyka polityczna kończyła się jednak, m.in. dzięki Solidarności, rozpadem ZSRR, czyli tym, co bez wojny nastąpiło w 1989 r. Przedtem jednak świat znów otarł się o wojnę atomową. We wrześniu 1983 r. radziecki satelita zasygnalizował odpalenie w USA kilku rakiet międzykontynentalnych. Na szczęście Stanisław Pietrow, oficer nadzorujący system kontroli, uznał to za błąd techniczny i nie zameldował o ataku. Miał rację, ale został odsunięty od służby.

Te ciągłe napięcia – plus katastrofa w Czarnobylu w kwietniu 1986 r. – skłoniły Kreml już w czasach Gorbaczowa do spotkania z Reaganem w Rejkiawiku, a następnie do radykalnego ograniczenia potencjału atomowego. Dziś, mimo nowego wyścigu zbrojeń w nowej konstelacji geopolitycznej, nie ma śladu ówczesnego opamiętania przywódców supermocarstw. Nie ma też publicznej reakcji na realne zagrożenie nuklearnym armagedonem.

Stąd wniosek Naranga i Vaddiego – strategia nuklearna nie może pozostawać w rękach grupki ekspertów. Wymaga takiego zaangażowania przywódców, jak w czasie zimnej wojny. I wiarygodnego zapewnienia sojuszników w NATO, że nadal mogą polegać na amerykańskim parasolu, powinni jednak bardziej przykładać się do niejądrowego odstraszania. Podobnie powinno się działać w regionie Indo-Pacyfiku w stosunkach z Australią, Japonią i Koreą Południową. A Chiny i Rosję należałoby skłonić do „skomplikowanych, nowatorskich i elastycznych" rozmów na wzór waszyngtońskiego porozumienia z 1922 r. ograniczającego tonaż flot marynarek wojennych głównych mocarstw.

Nadchodząca burza

Złudzeniem była nadzieja na wyłączenie broni atomowej z polityki światowej. Jest, jak jest, i Ameryka niezależnie od kosztów musi potwierdzić sojusznikom swoje przywództwo, bo bez niej nie będą bezpieczniejsi. USA muszą też dostosować swój arsenał do obecnych i przyszłych zagrożeń, nie licząc na to, że Chiny powstrzymają swoją nuklearną ekspansję. Jeśli Waszyngton nie przygotuje się na nadciągający huragan, to Chiny, Korea Północna lub Rosja, działając osobno lub wspólnie, użyją broni jądrowej przeciw sojusznikowi USA, a nawet przeciw terytorium USA, ponieważ – jak sądzą autorzy tekstu w „Foreign Affairs" – Waszyngton wydaje się nie chcieć lub nie być w stanie zapobiec podobnemu atakowi.

Świat jeszcze nie doświadczył takiej burzy. Przez ostatnie 80 lat amerykańscy stratedzy skutecznie jej zapobiegali. Teraz jednak nadciąga szybciej, niż ktokolwiek przewidywał, a w takiej sytuacji samozadowolenie może się okazać zabójcze.

ADAM KRZEMIŃSKI

eprasa.pl ad2f04fa8d

Sicz Zaporoska na obrazie Daniły Narbuta z 1988 r.

Koniec świata piratów stepowych

250 lat temu caryca Katarzyna II zlikwidowała Sicz Zaporoską, mit założycielski Ukrainy i jedyny w swoim rodzaju zalążek „państwa w podróży".

TOMASZ TARGAŃSKI

„Chcemy niniejszym powiadomić wiernych poddanych naszego imperium, że Sicz Zaporoska została ostatecznie unicestwiona, a na przyszłość zabrania się przywoływać nazwę Kozacy Zaporoscy, albowiem ich harde postępowanie stanowiło obrazę Naszej Cesarskiej Wysokości" – ogłoszony przez carycę Katarzynę II 3 sierpnia 1775 r. manifest położył kres istnieniu Siczy Zaporoskiej. Jednocześnie stanowił bezprecedensowy pokaz demagogii, którego nie powstydziliby się współcześni kremlowscy propagandziści.

Katarzyna przeciwstawiła w nim chcących żyć w pokoju „małorosyjskich" chłopów zamieszkującym Sicz Kozakom, opisanym jako ludzie „niewiadomego pochodzenia, języka i wiary". Ci Kozacy – wedle carycy – żyli z rabunków „w całkowitym próżniactwie, pijaństwie i godnej pogardy ciemnocie". Aby zatem przywrócić ziemie zaporoskie „użytecznym Ojczyźnie mieszkańcom", imperatorowa rozkazała swojej armii przeprowadzić – mówiąc językiem XXI w. – „dekozakizację" Ukrainy, czyli wyzwolić Kozaków od nich samych.

Ojciec Dniepr

Nie ma historii Siczy, a co za tym idzie historii Ukrainy, bez Dniepru. Nazwany przez Ukraińców „ojcem Dnieprem" był częścią wielkiego szlaku handlowego od Waregów do Greków, łączącego Skandynawię z Bizancjum. To wzdłuż niego rozwinęła się państwowość Rusi. O tym, że Sicz była w nowożytnej Europie politycznym fenomenem, powiedziano już wiele. Jednak dużo mniej się wspomina, że stanowiła fenomen, który mógł się ▶

© EAST NEWS

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ rozwinąć tylko w określonych warunkach geograficznych i w bardzo konkretnej przestrzeni.

Państwa – szczególnie zaś imperia – aby zaistnieć, potrzebują bowiem określonego „habitatu". Ich domeną są równiny, najlepiej w pobliżu wielkich rzek. Z kolei ludzie, którzy chcieli uciec od państwa, nie płacić podatków i nie ginąć na wojnach nieznanych sobie monarchów, od zawsze szukali schronienia w górach, na bagnach, w zakolach rzek lub ich deltach. Dlatego do powstania Siczy trzeba było Dniepru. Dniepru, który – jak pisał Władysław Serczyk – „Płynął wartko, czasem rozgałęział się, obejmując swymi ramionami wyrastające w jego nurcie wyspy i wysepki. W dolnym biegu przyspieszał nerwowo, obijał się o podwodne skały, przemykał między kamiennymi mieliznami po to, by zmęczony i poraniony rozpleść się znów na spokojne wody limanu nad Morzem Czarnym, w którym znajdował swe ujście".

Nie byłoby też Siczy, gdyby nie porohy. Liczne progi skalne, rozpoczynające się na wysokości dzisiejszego miasta Dnipro i rozsiane na odcinku ponad 60 km, tworzyły niebezpieczne dla żeglugi bystrza. W takich miejscach Dniepr stawał się rwącą rzeką, wciśniętą między strome granitowe brzegi, usianą wystającymi z wody skalistymi łbami. Wilhelm Beauplan, francuski inżynier w służbie króla Władysława IV, który pod koniec lat 30. XVII w. podróżował w dół Dniepru, tak opisywał te potężne przeszkody: „Niektóre z nich wystają nad powierzchnię od 8 do 10 stóp, a wszystkie są wielkie jako domostwa i stoją tak blisko siebie, że zdają się być groblą lub drogą zatrzymującą bieg rzeki". Nieco dalej zanotował: „Wśród Kozaków nikt nie może być uznany za prawdziwego Kozaka, kto nie przebędzie wszystkich porohów".

Nowe życie na ziemi niczyjej

Porohy czyniły Dniepr nieżeglownym, znacznie utrudniając handel. Zamiast scalać Ukrainę w jedno, potężny Dniepr dzielił ją na dwie strefy – do porohów i za porohami (stąd Zaporoże i Kozacy zaporoscy). Kupcy nie mogli spławiać do Morza Czarnego cennych towarów, trudno też było transportować wojsko. Porohy – na równi z zagrożeniem tatarskim – skutecznie utrudniły instytucjom państwowym rozciągnięcie swoich wpływów na tereny nadczarnomorskiego stepu. Z tego samego powodu wszelkiej maści „ludzie luźni" – awanturnicy, ale przede wszystkim zbiegli chłopi – osiedlali się właśnie za nimi.

Zaporoże było ziemią niczyją, gdzie każdy mógł rozpocząć nowe życie. Aby bronić się przed tatarskimi łowcami niewolników, zbiegowie tworzyli zbrojne społeczności. Nazywano ich Kozakami. Ci stepowi piraci żyli na lądzie, ale zarabiali na pirackich rajdach na porty Morza Czarnego. Ukraińscy historycy uważają, że Sicz, ich pierwszy obóz warowny, powstała w latach 50. XVI w. na dnieprzańskiej Chortycy. Mierząca 12 km długości i 2,5 km szerokości wyspa była naturalną fortecą otoczoną wysokimi brzegami sięgającymi nawet siedmiu metrów.

Sicz była jednak czymś więcej niż warownym obozem. Były tu pomieszczenia mieszkalne, kancelaria wojskowa, szkoła, cerkiew, rusznikarnia... Poza wałami rozciągało się targowo-rzemieślnicze przedmieście z jatkami, szynkami, warsztatami itd. W centrum wewnętrznej części fortecy znajdował się plac, wokół którego stały kryte trzciną długie budynki, *kurenie*, które tworzyły „kosz". Zaporożcy sami wybierali przywódców (atamanów), lecz nie była to demokracja. Kozacka elita, czyli starszyzna, miała decydujący głos, cała reszta (tzw. czerń) wyrażała zgodę na jej postanowienia przez aklamację i tylko w wyjątkowych przypadkach brała sprawy w swoje ręce.

W sumie Kozacy zbudowali i zorganizowali osiem siczy: chortycką, bazawłucką, tomakowską, mykityńską, czortomlicką, oleszkowską, kamieńską i podpyleńską (nazywaną też Nową Siczą). Każda z nich położona była albo na wyspach w głównym nurcie Dniepru, albo na jego bezpośrednich dopływach (stąd nazwy: sicz tomakowska od rzeki Tomakówki albo bazawłucka od rzeki Bazawłuk). Kozacy zakładali warowne obozy w różnych miejscach, ale zawsze blisko siebie – za porohami, gdzie rzeka tworzy wielkie zakole. Wszystkie sicze powstały na prawym brzegu, a od lewej strony, gdzie grasowały tatarskie czambuły, odgradzała je naturalna zapora w postaci kilkuset kilometrów kwadratowych bagnisk. Mokradła te – zwane Wielką Łąką – porastało morze trzcin i wysokich traw. Była to istna dżungla pośród stepu, gdzie przed zagrożeniem mogło skryć się wielotysięczne wojsko. Nie bez powodu stała się dla Kozaków symbolem bezpieczeństwa i wolności, opiewanym w pieśniach: „Sicz jest matką, a Wielka Łąka ojcem".

Te unikatowe pod względem krajobrazowym tereny – wraz z porohami – znalazły się pod wodą w latach 30. XX w. wskutek budowy Dnieprogesu, potężnej zapory i hydroelektrowni. Pod powierzchnią Zbiornika Kachowskiego znikło historyczne Zaporoże oraz pozostałości po siczach (choć np. Chortyca nie została zatopiona i do dziś jest tam skansen historyczny), co dla Ukraińców oznaczało zatopienie ich tradycji. Wielu traktowało to jako świadomą politykę Moskwy. Niespodziewanie zegar cofnął się w czerwcu 2023 r., gdy Rosjanie wysadzili w powietrze zaporę, co z jednej strony spowodowało wielkie zniszczenia i katastrofę ekologiczną, ale

© LECH MAZURCZYK

eprasa.pl ad2f04fa8d

z drugiej dało szansę na odzyskanie choćby części dawnego ekosystemu Dniepru. Z raportów naukowców i ekologów wynika, że gatunki roślin i zwierząt błyskawicznie powracają do miejsc, z których znikła woda (POLITYKA 31).

Kozacy kontra imperium

Siczowi Kozacy wykształcili jedyną w swym rodzaju tożsamość, nieprzystającą do sztywnych ram społecznych dzielących ludzi na szlachtę, mieszczan i chłopów. Najpierw buntowali się przeciw Rzeczpospolitej, sprzymierzając z Rosją albo Tatarami. Później – w zależności od politycznej koniunktury – odwracali sojusze. Za panowania Piotra I szukali ucieczki spod władzy coraz potężniejszego patrona, zwracając się w stronę Szwedów. Po klęsce Karola XII i Iwana Mazepy w bitwie pod Połtawą w 1709 r. Zaporożcy nie mogli oczekiwać, że zwycięski car okaże im litość. Aby odsunąć się od zagrożenia, przenieśli się jak najdalej na południe i założyli sicz w Oleszkach (obecnie w obwodzie chersońskim). Cierpieli tam jednak niedostatek i ucisk ze strony chana. Kiedy więc w 1734 r. uzyskali zgodę carycy Anny na powrót, spakowali swój dobytek, insygnia wojskowe, sztandary i ruszyli czółnami w górę rzeki. Na półwyspie między Dnieprem a jego dopływem Pidpilną założyli Nową Sicz.

Żyło tam ok. 20 tys. ludzi zdolnych do walki, ale tylko niewielka ich część mieszkała na stałe w obozie. Większość rozsiana była po okolicznych chutorach (skupionych wokół siebie gospodarstwach), pełniąc służbę wartowniczą, naprawiając umocnienia i pasąc bydło. Szacuje się, że w połowie XVIII w. na całym terytorium podległym Kozakom mieszkało 200 tys. ludzi obdarzonych bezprecedensową w tej części Europy wolnością osobistą i gospodarczą.

Położone bardziej na południu obszary stepowe każdy Zaporożec mógł wykorzystywać bez ograniczeń, płacąc „podymne" i zakładając własne gospodarstwo, gdzie tylko zechciał i znalazł wolne miejsce. Po obrobieniu pola i postawieniu budynków właściciel mógł swój chutor sprzedać, zastawić, podarować, przekazać w spadku. Owe osady („zimowniki") były często tymczasowe – zboże wokół nich uprawiano tak długo, aż ziemia się wyjałowiła, po czym przenoszono się w inne miejsce.

Wbrew poetyckiej legendzie siczowcy w coraz mniejszym stopniu byli więc stepowymi piratami, stając się stopniowo wolnymi rolnikami. Jak pisała Natalia Jakowenko w „Historii Ukrainy", w siczowych słobodach „nie było już słychać strzałów i szczękania szabel, za to rozlegało się skrzypienie wag, obracały się skrzydła wiatraków i brzęczały monety". Intratnym zajęciem był handel (zwłaszcza solą z Krymu) oraz hodowla bydła. Wielu było zamożnych właścicieli, którzy zgromadzili tysiące owiec, a stada bydła rogatego i tabuny koni mogły liczyć setki zwierząt.

Mimo pozornie udanej koegzystencji Rosja cały czas patrzyła na Kozaków z nieufnością. Z punktu widzenia elity imperium owa wyspa wolności, wraz z całym jej niezależnym chłopstwem, była aberracją, obrazą „odwiecznego porządku", zgodnie z którym chłopi stanowili część żywego inwentarza majątku ziemskiego. Po zwycięstwie w wojnie z Turcją (1768–74) i pierwszym rozbiorze Rzeczpospolitej Rosja zapewniła sobie hegemonię na całym obszarze nadczarnomorskim, a Kozacy nie byli już potrzebni jako strażnicy południowych rubieży. To wówczas caryca Katarzyna postanowiła wykorzystać okazję i wydała powracającej z Turcji armii rozkaz ataku na Sicz.

W czerwcu 1775 r. generał Piotr Tekeli z wielkim wojskiem otoczył siczowe umocnienia i ogłosił Kozakom, że z woli carycy Sicz zostaje zlikwidowana. Przewaga armii carskiej była tak oczywista, że otoczeni poddali się bez walki. Wszystkie umocnienia i budynki rozebrano, archiwum oraz skarbiec wojskowy z regaliami oraz kosztownościami wywieziono, a starszyznę aresztowano. Schwytanych do niewoli przesiedlono na Kubań, gdzie dali początek Kozakom czarnomorskim. Reszta szukała schronienia na południu. Część osiedliła się w delcie Dunaju. Tam – za zgodą sułtana – utworzyli Sicz Naddunajską. Ostatniego atamana koszowego, 85-letniego Piotra Kałnyszewskiego, uwięziono w celi Monastyru Sołowieckiego.

Mocarstwowa logika była nieubłagana: aby istnieć, każde imperium musiało wciąż połykać nowe tereny, a zagrabione ziemie i dobra rozdystrybuować wśród własnej elity, umożliwiając jej reprodukcję. Pozbawiona Siczy Ukraina miała się przeobrazić w Małorosję – „szczęśliwą" rolniczą prowincję niewolniczego imperium. W praktyce na dawnych terenach wojska zaporoskiego faworyci carycy błyskawicznie otrzymali wielkie nadania: Grigorij Potiomkin 150 tys. dziesięcin (dziesięcina to nieco ponad 1 ha), książę Wiaziemski – 200 tys., Cyryl Razumowski – 35 tys.

Sicz w XXI w.

Był to koniec ukraińskiego kozactwa jako grupy społecznej, koniec kozaczyzny jako namiastki państwa. Jednak kozacka koncepcja Ukrainy jako ojczyzny przetrwała. Katarzyna zawładnęła ziemią, ale nie panowała nad pamięcią. Jej nakaz o wymazaniu kozaczyzny z kart historii przegrał w starciu z mitem. Dzieje Siczy przetrwały, utrwalone w ludowych dumach – bohaterskich i często tragicznych pieśniach o kozackiej przeszłości – i w wierszach poetów. A w XIX w., wplecione przez historyków w opowieść o powstaniu narodu, dały początek nowoczesnej ukraińskiej tożsamości.

Sicz stanowiła jedyny w swoim rodzaju przykład zalążka państwa w ruchu. Wciąż zmieniając miejsce, świadomie odsuwała się od władzy. Jej tradycja jako suwerennej wspólnoty i enklawy wolności nadal żyje. O jej sile przekonał się prezydent Wiktor Janukowycz, kiedy pod koniec 2013 r. w centrum Kijowa powstał Euromajdan – niczym warowny obóz, gdzie namioty zastąpiły kryte trzciną chaty. Euromajdan zwyciężył, pokazując, że historyczny mit Siczy nie jest pustą frazą zamkniętą na kartach podręczników, lecz głęboko zakodowaną w głowach Ukraińców postawą wobec narzuconej tyranii.

TOMASZ TARGAŃSKI

Bibliografia:
„Eryka Lassoty i Wilhelma Beauplana opis Ukrainy";
Natalia Jakowenko, „Historia Ukrainy: od czasów najdawniejszych do końca XVIII wieku";
Władysław Serczyk, „Na dalekiej Ukrainie. Dzieje Kozaczyzny do 1648 roku".

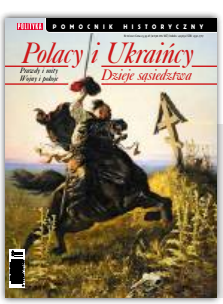

KUP TERAZ

Więcej o historii Ukrainy przeczytasz w Pomocniku Historycznym POLITYKI **„POLACY I UKRAIŃCY. DZIEJE SĄSIEDZTWA"**, dostępnym na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl ad2f04fa8d

film

Przyspieszone dojrzewanie 4/6

Bird, reż. Andrea Arnold, prod. Wielka Brytania, Francja, Niemcy, USA, 119 min, w kinach od 8 sierpnia

Rodzina 12-letniej Bailey (Nykiya Adams) mogłaby się sprawdzić w roli patostreamerów. Jej ojciec Bug (Barry Keoghan) postanowił się ożenić z kobietą, którą poznał kilka tygodni wcześniej, a pieniądze na ślub zbiera, sprzedając halucynogenny śluz hodowanej przez siebie ropuchy. Matka, uzależniona od alkoholu i narkotyków, mieszka z partnerem, który znęca się nad rodziną. A brat, niewiele starszy od Bailey, dołączył do grupy wymierzającej sprawiedliwość domniemanym przestępcom, a na dodatek właśnie się dowiedział, że jego dziewczyna zaszła w ciążę. To świat iluzorycznych więzi rodzinnych opartych przede wszystkim na dominacji i przemocy, w którym źle poczuliby się nawet bohaterowie posępnych dramatów Kena Loacha, a co dopiero dziewczynka pozostawiona sama ze swoimi problemami. Ratunkiem okaże się nieoczekiwana przyjaźń z Birdem (**Franz Rogowski**), tajemniczym mężczyzną, który błąka się po okolicy, szukając śladów dawno utraconej rodziny.

W nowym filmie Andrea Arnold wraca do tematów, którymi zajmowała się choćby w krótkometrażowej „Osie" czy głośnym „Fish Tank": przyspieszonego dorastania, samotności, rodzinnych traum, przygniatającej beznadziei codzienności. Szczęśliwie nie sili się na powierzchowne analizy ani banalne społeczne diagnozy. Wraz z bohaterką przygląda się światu z pozorną obojętnością i razem z nią się przeciw niemu buntuje. „Bird" jest surowy, przyziemny,0 a zarazem poetycki i magiczny. Realizm szarych przedmieść idzie tu pod rękę z mroczną, niepokojącą baśnią. Nie zawsze jest to przekonująca wizja, lecz Arnold trzyma ją w ryzach dzięki świetnym aktorom, zdjęciom Robbiego Ryana i kapitalnemu soundtrackowi, na którym można usłyszeć m.in. Buriala, Blur czy Fontains D.C. Zamiast kolejny tydzień ekscytować się przypadkowym zdjęciem z koncertu Coldplay, lepiej zobaczyć (i posłuchać), jak Barry Keoghan śpiewa „Yellow", żeby ropucha wreszcie wypuściła narkotyczny śluz.

JAKUB DEMIAŃCZUK

film

Demony 5/6

Oddaj ją (Bring Her Back), reż. Danny Philippou, Michael Philippou, prod. Australia, 104 min, już w kinach

Żałoba, trauma, przemoc w rodzinie to tematy w horrorze powszednie. Jednak rzadko są poruszane z taką bezkompromisową szczerością jak w filmie braci Philippou. Podobnie jak w debiutanckim „Mów do mnie" gatunkowe klisze – w tym przypadku opętanie, wędrówkę dusz, okultystyczny rytuał – potraktowali jedynie jako punkt wyjścia dla historii w równej mierze przerażającej, co smutnej. Dwójka przyrodniego rodzeństwa, Andy i Piper, po śmierci ojca trafia do zastępczej matki Laury (Sally Hawkins), która

opiekuje się jeszcze niemym chłopcem Olliem (**Jonah Wren Phillips**). Laura nie ukrywa cierpienia po tragicznej śmierci córki, lecz jej ekscentryczne zachowania nie są jedynie skutkiem nieprzepracowanej żałoby. Kobieta wierzy, że dzięki Piper zdoła przywrócić do życia zmarłą córkę. W rękach mniej utalentowanego reżysera ta fabuła mogłaby się zmienić w jeszcze jeden pozbawiony charakteru film grozy. Jednak Philippou nie są zainteresowani gatunkowym efekciarstwem, choć nie szczędzą widzom szokujących obrazów i umiejętnie grają na ich podświadomych lękach. Wiele uwagi poświęcili budowaniu postaci i relacji między nimi oraz pisaniu wiarygodnych dialogów, by „Oddaj ją" można było równie dobrze nazwać dramatem psychologicznym. Swoje dokłada tu wspaniała Sally Hawkins: Laura w tej interpretacji jest przerażająca w swoim szaleństwie, a przecież jej rozpacz budzi autentyczne współczucie. JD

© GUTEK FILM, A24/UIP, PARAMOUNT PICTURES/UIP, APPLE TV+, MIĘDZYNARODOWE BIENNALE PLAKATU

eprasa.pl ad2f04fa8d

film

Powtórka z Drebina 2/6

Naga broń (The Naked Gun), reż. Akiva Schaffer, prod. USA, 85 min, już w kinach

W latach 80. slapstickową komedią rządziło trio ZAZ (David i Jerry Zuckerowie oraz Jim Abrahams) odpowiedzialni m.in. za „Ściśle tajne" oraz cykl „Naga broń" i poprzedzający go serial „Police Squad". Zwłaszcza filmy o poruczniku Franku Drebinie do dziś cieszą się kultowym statusem, głównie dzięki komicznemu talentowi Lesliego Nielsena, który z kamienną twarzą ładował się w najbardziej absurdalne kłopoty. Powrót do tej postaci bez udziału twórców (Nielsen i Abrahams już nie żyją, bracia Zuckerowie nie zostali podobno zaproszeni do współpracy) musiał być ryzykowny, a okazał się niepotrzebny. Główną rolę zagrał **Liam Neeson**, co nie byłoby złym pomysłem, gdyby scenariusz lepiej wykorzystał jego obecność. A nowa „Naga broń" wygląda tak, jakby jej jedynym celem było rozbawienie dawnych fanów: ma identyczną konstrukcję nieistotnej fabuły, tak samo gęsto sypie żartami opartymi na grach słownych, nie unika kontrowersyjnych tematów, ale jest zaskakująco zachowawcza, bezpieczna i niestety rzadko zabawna, nawet jeśli parę udanych gagów się trafiło. Od premiery ostatniej „Nagiej broni" z Nielsenem minęło ponad 30 lat, po drodze wyrosło przynajmniej jedno pokolenie widzów wychowanych na „South Parku", komediach z Sethem Rogenem i filmach o Boracie. Raczej trudno ich rozbawić żartami o seksie oralnym i nieudolnych policjantach. JD

serial

Gra o Hawaje 4/6

Wódz wojownik (Chief of War), twórcy serii: Jason Momoa i Thomas Pa'a Sibbett, 9 odc., Apple TV+

Jeden z najbardziej rozpoznawalnych aktorów pochodzących z Hawajów **Jason Momoa** stoi za monumentalną jak jego ciało opowieścią, będącą hołdem dla kultury polinezyjskiej. Oparta na faktach akcja toczy się na przełomie XVIII i XIX w. i układa w hawajską wersję „Gry o tron". Grany przez Momoę tytułowy wojownik Ka'iana musi stawić czoło najpierw agresorom wewnętrznym, a potem zewnętrznym, w tle zaś jest pradawna przepowiednia. Najgroźniejszy rywal to Kahekili (Temuera Morrison), król Maui, zdeterminowany, by krwawo podbić trzy pozostałe hawajskie królestwa, ale swoje ambicje ma także Keoua (Cliff Curtis), więc na finał sezonu dostajemy epicką bitwę na szczycie czynnego wulkanu. A to wszystko i tak wstęp do jeszcze większej walki, bo na horyzoncie (w przenośni i dosłownie) już majaczą statki kolonizatorów wabionych dziewiczą ziemią i lokalnymi bogactwami. „Wódz wojownik" to historia wojenno-polityczna, której stawką jest kultura (duża rola przypada w niej kobietom – światłym doradczyniom porywczych i ślepo zapatrzonych w tradycję mężczyzn). Mimo że większość zdjęć nie powstała na Hawajach – zagrała je wciąż dziewiczo piękna Nowa Zelandia – to wielką zaletą serialu jest dbałość o wierne oddanie rdzennej kultury hawajskiej końcówki XVIII w. Obsada w głównej mierze polinezyjska, przeważa język hawajski.

ANETA KYZIOŁ

galeria

Zażywny zombie 5/6

29. Międzynarodowe Biennale Plakatu Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie, do 5 października

Były czasy, gdy plakat filmowy, teatralny czy społeczny królował na ulicach polskich miast, a biennale, najstarsza i największa impreza tego typu na świecie, było okazałą manifestacją jego potęgi. Z czasem wyparty został przez billboardy, a później przez cyfrową komunikację. A samo biennale najpierw z zacnych murów Zachęty wyemigrowało do Muzeum Plakatu, by ostatecznie trafić do galerii przy ASP i w kilka innych zaprzyjaźnionych miejsc. Czy to oznacza, że tę imprezę można sobie darować? Niekoniecznie. Bez wątpienia bowiem pozostaje plakat nieocenionym źródłem pomysłowości, kreatywności skojarzeń, bogactwa symboliki, niewyczerpanych wariacji na temat liternictwa. Wędrowanie po wystawach MBP to jak podróż do krainy wyobraźni, rebusów, graficznych gier i zabaw. Nadal, i to jest budujące, sprawna dłoń artysty, jego inteligencja i fantazja wygrywają tu z umiejętnościami AI. Brakuje tylko plakatów posługujących się prostą metaforą, nieprzegadanych, syntetycznych. Takich, jakie wychodziły z pracowni Lecha Tomaszewskiego, a dziś ich twórcami są choćby Lex Drewiński czy Mieczysław Wasilewski. Indywidualna wystawa tego ostatniego, zorganizowana w ramach MBP, to zresztą największa uczta estetyczno-intelektualna dla wszystkich ceniących sobie sztukę plakatu. Gatunku, który świat skazał na śmierć, ale który mimo to kurczowo trzyma się życia.

PIOTR SARZYŃSKI

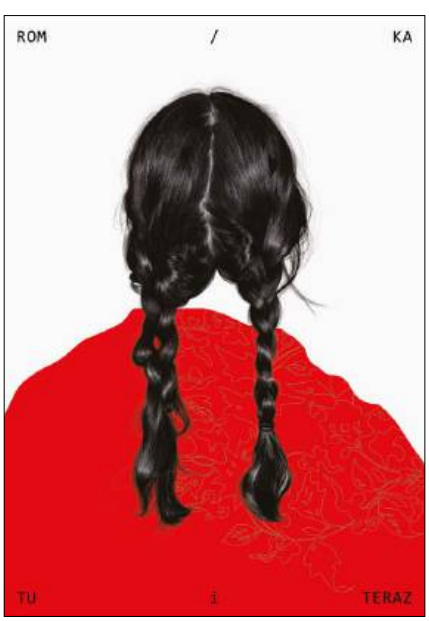

Natalia Bugaj, „Rom/ka tu i teraz", złoty medal

eprasa.pl ad2f04fa8d

Tajemnice wyspy 4/6

Stuart Turton, **Morderstwo u kresu świata**, przeł. Jacek Żuławnik, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2025, s. 414

Brytyjski pisarz Stuart Turton postanowił, że w każdej ze swoich powieści będzie eksplorował nowe pisarskie rejony: „uznałem, że taki zabieg da mi najwięcej frajdy", pisze szczerze w posłowiu do nowej książki. Na szczęście wciąż potrafi sprawić, że ta frajda udziela się czytającym. W „Morderstwie u kresu świata" już sam tytuł wyznacza gatunkową rozpiętość – kryminalna zagadka została tu wpisana w postapokaliptyczną scenerię. Na małej greckiej wyspie żyją ostatni ludzie, troje wiekowych naukowców rządzących społecznością liczącą nieco ponad setkę osób. Tylko oni przetrwali zagładę całego życia na Ziemi i od blisko stu lat kolejne pokolenia próbują ocalić pozostałość cywilizacji. Jednak krwawa zbrodnia narusza ustalone zasady i obnaża kolejne tajemnice wyspy. Autor konstruuje powieść tak, by od początku budziła uzasadnione wątpliwości. Mamy mnożyć w głowie pytania i poszukiwać na nie odpowiedzi wraz z główną bohaterką, Emory. Niektóre rozwiązania wydają się dość oczywiste, inne naciągane, ale Turtonowi pomysłowości ani biegłości w układaniu fabuły odmówić nie sposób. „Morderstwo u kresu świata" to niby niewiele więcej niż sprawny gatunkowy przekładaniec, czysta rozrywka, a jednak mimochodem porusza całkiem istotne kwestie kontroli, podporządkowania, wolnej woli i buntu przeciw autorytetom.

JAKUB DEMIAŃCZUK

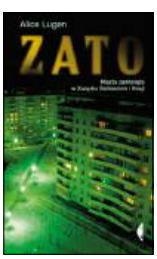

Za co i po co 4/6

Alice Lugen, **ZATO. Miasta zamknięte w Związku Radzieckim i Rosji**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, s. 312

Gdyby Sowieci i potem Rosjanie nie pobudowali miast zamkniętych, to trzeba by je wymyślić. I byłby to dreszczowiec. Rozsiane po całym kraju ZATO (*zakrytoje administrativno-tierritorialnoje obrazowanije*) to jednostki specjalnego przeznaczenia, odizolowane i otoczone drutem kolczastym. Tak pomyślane, by tylko mieszkańcy, głównie naukowcy z rodzinami i wartownicy, mogli się połapać w mylących adresach. Kto błądzi i błąka się bez celu, jest natychmiast podejrzany. Dawniej nazywano je łagrami, co nie nasuwa dobrych skojarzeń. Powstawały, by w najściślejszej tajemnicy pracować nad bronią jądrową, biologiczną i budować rosyjską potęgę kosmiczną. Nawet Jurij Gagarin by tu nie wszedł bez przepustki. A jeszcze trudniej się wydostać, choćby i na pogrzeb w rodzinie. Chyba najbardziej upiorne są opowieści o ZATO, które pracowały nad bronią biologiczną. Tyfus dziesiątkuje ludność? Ciekawe, wykorzystajmy ten potencjał. Tak to mniej więcej funkcjonowało. Konspiracja nie szła przy tym w parze z najwyższą starannością, więc wypadki, katastrofy, przypadkowe zakażenia to nieodzowny element projektu. I może jedyna nadzieja dla zachodniego świata, który namierzał ZATO nawet za pomocą książki telefonicznej, bo o tym już Rosjanie nie pomyśleli. Alice Lugen, autorka mrocznej „Tragedii na przełęczy Diatłowa", pisze pod pseudonimem. Jest dociekliwa, bada ruski mir od podszewki, obnażając jego brutalność i niedorzeczność. Komedia, zgroza, tajemnica – to potworna mikstura.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

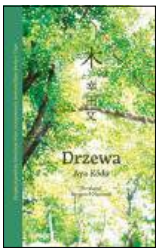

Święto oglądania kwiatów 5/6

Aya Kōda, **Drzewa**, przeł. Krzysztof Olszewski, Wydawnictwo Znak, Kraków 2025, s. 272

Tego klasycznego zbioru refleksyjnych esejów Ayi Kōdy, który ukazał się w Japonii w 1992 r., nie poznawalibyśmy prawdopodobnie, gdyby nie Wim Wenders. Lektura książki stała się dla niego inspiracją do filmu „Perfect Days" – a jego bohater, z czułością pochylający się nad najdrobniejszą sadzonką klonu czy brzozy, jako żywo przypomina autorkę „Drzew". Kōda, choć nie była przyrodniczką, od zawsze interesowała się drzewami, krzewami i kwiatami. W jednym z esejów przywołuje wspomnienie z dzieciństwa, gdy wraz z ojcem w milczeniu obserwowała płatki glicynii opadające na powierzchnię stawu. „W tej ciszy, oszołomieniu i zdumieniu, a może i zadumie, stałam obok mojego ojca. Syciłam się tą chwilą". Choć właściwie niewiele się wtedy działo, Kōda poczuła metafizyczny dreszcz. Tak obserwować przyrodę i tak o niej pisać potrafią tylko Japończycy – nieprzypadkowo to właśnie tam coroczne oglądanie kwiatów wiśni celebrowane jest w formie święta.
Celebracja to słowo kluczowe w kontekście książki, w której każdy z esejów jest kontemplacyjnym misterium uważności, ciekawości, zachwytu i współodczuwania (Kōda antropomorfizuje drzewa, widząc w nich swoich przyjaciół). Drzewa należy oglądać o wszystkich porach roku, za dnia i w nocy, w deszczu i słońcu, we mgle i wietrze. Gdy stoją i gdy leżą powalone i próchniejące, a nawet gdy zostały przeobrażone w drewno i przykrojone do formy instrumentu muzycznego czy słupa w kaplicy. Kōda twierdzi, że drzewo nigdy nie umiera, że cały czas pracuje. Nic więc dziwnego, że w Japonii do drzew się pielgrzymuje, czci się je i chroni. Oraz pisze o nich takie teksty: medytacyjne, poetyckie, niespieszne. Jakby z innego czasu.

MACIEJ ROBERT

© ANDREW EATON/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, WARNER BROS. ENTERTAINMENT INC., UNIVERSAL STUDIOS LICENSING, MP (9)

eprasa.pl ad2f04fa8d

Komiksy miesiąca

Powieści przerysowane

Graficzna wersja **„Władcy much”** **(przeł. Paweł Bulski, Non Stop Comics, 3/6)** została przygotowana na 70-lecie premiery powieści Williama Goldinga. Nie sposób odmówić jej elegancji i staranności: holenderska artystka Aimée de Jongh dokonała niezbędnych skrótów i nadała historii ładną formę graficzną, która z biegiem wydarzeń staje się coraz bardziej brudna i dzika. Jednak to wciąż adaptacja zachowawcza: proza Goldinga, historia grupy chłopców, którzy na bezludnej wyspie porzucają wszelkie reguły, dziś wydaje się znów aktualna. Da się ją na nowo odczytać w kontekście gwałtownych zmian społecznych, tymczasem de Jongh nawet nie próbowała wyjść poza ramy wyznaczane przez oryginał.

Oparty na powieści Stephena Kinga **„Bastion”** **(scenariusz: Roberto Aguirre-Sacasa, rysunki: Mike Perkins, Laura Martin, przeł. Robert Tupikowski, Albatros, 4/6)** też niekoniecznie otwiera pole do nowych interpretacji. A przecież rzeczywistość ciągle dopisuje nowe konteksty do tej postapokaliptycznej wizji świata, w którym niemal cała ludzkość została wybita przez zarazę. Adaptacja oddaje sprawiedliwość książce: to solidna rzemieślnicza produkcja, ze scenariuszem, który zdołał skondensować prozę Kinga i nadać jej fizyczny kształt – zresztą ciekawszy niż obie adaptacje serialowe książki. Komiksowy „Bastion” rozpisany jest na sześć tomów, trzy już ukazały się w polskim przekładzie.

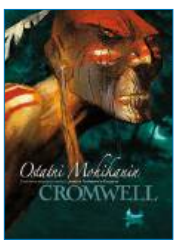

Na przeciwnym biegunie leży **„Ostatni Mohikanin”** **(przeł. Monika Motkowicz, Mandioca, 5/6)**, który powieść Jamesa Fenimore’a Coopera traktuje raczej jako punkt wyjścia do narracji zgoła rewizjonistycznej. Twórcy komiksu, scenarzystka **Catmalou** i autor fantastycznie dzikich, malarskich ilustracji **Cromwell**, wzięli z książki tylko to, co niezbędne. Dołożyli nowe historyczne wątki, jednocześnie ograniczyli tekst do minimum, dopowiadając resztę obrazami i akcją, która nie wymaga didaskaliów. Tak powstał gęsty, duszny i halucynogenny antywestern, opowieść o przemocy, honorze i zbrodniach kolonizacji.

JAKUB DEMIAŃCZUK

muzyka

Szaleństwo jako metoda 4/6

Ki Ki Ki, **Portale**, U Jazz Me,
Cześćtet, **Polofuturyzm**, Orange Milk

A jeśli w jednej jazzowej generacji mamy za dużo zdolnych pianistów? Można jak w trio Ki Ki Ki – zebrać trzech z nich w jednym składzie. A skoro jeszcze Marcel Baliński, Grzegorz Tarwid i Piotr Zabrodzki – każdy z własnymi grupami i autorskimi pomysłami na koncie – mają duże poczucie humoru, warto to wykorzystać. „Portale” są bardzo zabawną płytą, bo panowie odwołują się do różnych konwencji grania na syntezatorach, w tym na traktowanych jako zabawkowe instrumentach Casio czy Yamahy. Cześćtet – z Tarwidem w składzie, ale też z Markiem Pospieszalskim, Julkiem Płoskim, Bartoszem Weberem i Szymonem Gąsiorkiem – gna w rejony jeszcze trudniejsze do klasyfikacji. Tu konwencja jazzowa potrafi się zmienić w metalową, a we fragmentach wokalnych także w rodzaj performansu. Jeden i drugi album ma momenty komunikatywne, a nawet przebojowe. Oba są jednak szalone, brawurowe i awangardowe. Coś dla koneserów z poczuciem humoru kalibru Franka Zappy.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap

Grzesznicy, reż. Ryan Coogler, HBO Max i inne serwisy VOD

W czasach prohibicji dwaj bliźniacy (obu gra Michael B. Jordan), weterani wojny światowej, otwierają bar dla czarnych na głębokim Południu. Wiadomo, że oznacza to kłopoty: tym większe, że lokal staje się celem dla białych wampirów. Muzyczny horror jako opowieść o rasizmie, kulturowym przywłaszczeniu oraz trudnej historii (i teraźniejszości) Stanów Zjednoczonych. Jedna z najważniejszych premier tego roku i to bez podziału na filmowe gatunki. JD

Sanatorium Dźwięku, Sokołowsko, 7–10 sierpnia

Zanurzone w kulturze (o czym przypominał „Empuzjon” Olgi Tokarczuk) Sokołowsko przyciąga artystów, w tym artystów dźwiękowych. Co roku w sierpniu mają tu swój międzynarodowy punkt spotkań. Tym razem Sanatorium Dźwięku, pod kuratorską opieką Roberta Piotrowicza i hasłem „To jest rzecz ciała”, ma wśród gości Ellen Fullman, twórczynię Long String Instrument (który zgodnie z nazwą wykorzystuje bardzo długie struny), brytyjsko-irańską didżejkę i kompozytorkę Mariam Rezaei oraz duet Jacka Sienkiewicza z Robertem Piernikowskim. BCH

Szczęki: 50 lat kinowego hitu, reż. Laurent Bouzereau, Disney+

Tytuł mówi prawie wszystko: dokument poświęcony pierwszemu wielkiemu blockbusterowi odsłania kulisy produkcji, przywołuje wspomnienia realizującej go ekipy, lecz także oddaje głos kolejnym pokoleniom twórców wychowanych na kinie Stevena Spielberga: od Jordana Peele’a po Stevena Soderbergha, który widział „Szczęki” w kinie 31 razy. Ten rekord trudno pobić, ale rocznicowy dokument będzie atrakcją także dla tych widzów, którzy przebojowy film znają niemal na pamięć. JD

eprasa.pl ad2f04fa8d

Pora horroru

Chciałbym powiedzieć, że drzwi do kina gatunkowego są już w Polsce szeroko otwarte, ale to nieprawda – mówi **Bartosz M. Kowalski**, którego nowy film „13 dni do wakacji" wchodzi na ekrany kin.

Bartosz M. Kowalski (ur. 1984) – reżyser i scenarzysta. Debiutował dokumentem „Moja Wola", nagrodzonym m.in. na Krakowskim Festiwalu Filmowym. Za pierwszy film fabularny „Plac zabaw" zdobył nagrody na festiwalach w Gdyni, Warszawie i Koszalinie, a także nominację do Paszportu POLITYKI. „13 dni do wakacji" zostanie pokazane w ramach Octopus Film Festival w Gdańsku, a 13 sierpnia wejdzie na ekrany kin w całej Polsce.

eprasa.pl ad2f04fa8d

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– Bohaterowie „13 dni do wakacji" to wchodzący w dorosłość nastolatkowie. I choć ten nowy film to inna konwencja i inne realia niż pański debiut, myślał pan o nich jak o dzieciakach z „Placu zabaw", które dojrzały?**

BARTOSZ M. KOWALSKI: – Od premiery „Placu zabaw" minęło już dziewięć lat, więc wiekowo wszystko się mniej więcej zgadza. Ale coś w tym jest – rzeczywiście wracam do korzeni, podejmując znów temat psychopatologii młodych ludzi. Zbrodnia, która zainspirowała „Plac zabaw", była bardzo głośna, ale podczas przygotowań do filmu rozmawiałem z biegłą sądową, która uświadomiła mi, że równie tragiczne sprawy zdarzają się niemal codziennie. Po prostu nie o wszystkich się mówi.

W „Placu zabaw" chodziło o brutalną zbrodnię popełnioną przez dwóch 10-latków, a inspiracją dla scenariusza było morderstwo w Wielkiej Brytanii w latach 90.

Scenariusz „13 dni do wakacji" również inspirowany jest prawdziwymi wydarzeniami – nie jednym, ale kilkoma. Z tym że w tym przypadku wszystko zostało mocno przefiltrowane przez reguły gatunku. „Plac zabaw" był dramatem społecznym, kinem festiwalowym. Tym razem jesteśmy zanurzeni w bardzo klasycznej konwencji thrillera *home invasion*. Starałem się, by film był spójny gatunkowo, bez elementów parodii, jakie pojawiły się w produkcji „W lesie dziś nie zaśnie nikt", i bez łączenia grozy z obyczajem, jak w „Ciszy nocnej". To młodzieżowy horror w duchu klasycznego amerykańskiego kina. A jednocześnie – na ile to możliwe w ramach tej konwencji – chciałem zachować powagę tematu i przemycić społeczny komentarz. Od początku taki był cel: stworzyć rozrywkę, która stopniowo skręca w dużo mroczniejsze rejony.

W pańskim filmie grupa młodych ludzi zostaje zamknięta w nowoczesnym domu, zabawa zderza się z brutalną rzeczywistością. Ciekawe, że poza drobnymi epizodami na ekranie niemal wcale nie pojawiają się dorośli, jakby te dzieciaki w nowoczesnym świecie pozostawiono samym sobie.

To zabieg całkowicie świadomy. W filmie pojawia się epizodycznie kilka postaci dorosłych, ale np. ojca dwójki głównych bohaterów celowo filmowaliśmy tak, żeby nigdy nie było widać jego twarzy – mimo że gra go bardzo znany aktor, którego nazwiska tu nie zdradzę. Z jednej strony to mrugnięcie okiem do widzów – nie chcieliśmy, żeby rozpoznawalna twarz odciągała uwagę od perspektywy dzieci. Z drugiej to symbol: metafora nieobecności albo raczej bezosobowości tego człowieka w życiu własnych dzieci.

W horrorze ten sposób filmowania dokłada też kolejną warstwę niepokoju i tajemnicy.

Wiadomo, że w tym gatunku chodzi o to, żeby mylić tropy. Stanley Kubrick pod koniec życia powiedział, że wszystkie historie zostały już opowiedziane. Grupa ludzi zamknięta w budynku i zabójca w masce – przecież to było już tysiąc razy. Ale skoro nie możemy wymyślić niczego zupełnie nowego, to musimy te schematy odświeżać, pokazywać inaczej, w ramach narzędzi i budżetu, jakimi dysponujemy.

Oczywiście należy też brać pod uwagę wymagania producentów. Ja najchętniej już w drugiej scenie odpiąłbym wrotki i zaszalał. Ale nie zawsze się da, czasem trzeba pójść na pewne ustępstwa, bo każdy ma swoje granice. Ale w tym filmie pozwolono mi na naprawdę wiele.

Sięga pan po gatunek, który w polskim kinie właściwie nie jest obecny. Ale jednocześnie ten film jest uniwersalny, to fabuła, która mogłaby się rozgrywać w dowolnym kraju. Tak trudno przenieść konwencję w polskie realia?

Na pewno nie dałoby się tej historii przenieść do mieszkania w bloku. Umieszczenie akcji w dużym nowoczesnym domu narzucało się więc samo. To tzw. dom inteligentny – naszpikowany elektroniką, która w pewnym momencie zamienia go w pułapkę. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie jest zbyt luksusowy, czy widzowie nie zobaczą w nim od razu Wilanowa albo Konstancina, umownej warszawki, i przez to nie będą w stanie zidentyfikować się z bohaterami. Ale jednocześnie ten system smart to wyłącznie narzędzie gatunkowe, które pozwala zamknąć postacie w ograniczonej przestrzeni i podkręcić napięcie.

To nie jest żadna deklaracja, że nowoczesna technologia jest głupia czy niebezpieczna. W tym filmie chodzi o coś zupełnie innego – o relację między siostrą i bratem, o nieprzepracowane traumy, przemilczane problemy, które powodują narastającą frustrację. Niezależnie od klasy społecznej problemy emocjonalne są uniwersalne. I każdy może się w nich przejrzeć bez względu na to, ile ma pieniędzy.

Trudno pisze się postaci bohaterów o pokolenie młodszych od pana? Muszą być przecież wiarygodni także, a może przede wszystkim, dla swoich rówieśników, a jednocześnie czytelni dla starszych widzów.

Trzymam się zawsze jednej zasady: piszę swoim językiem. Nie próbuję imitować sposobu, w jaki mówią dzieci, jak w „Placu zabaw", czy starsze osoby, jak w „Ciszy nocnej". A jednocześnie traktuję dialogi jako punkt wyjścia. Pracujemy nad nimi wspólnie z aktorami, którym pozwalam mówić po swojemu, o ile trzymają się sensu i emocji danej sceny. Nie jestem typem reżysera, który kurczowo trzyma się tekstu. Mam na planie zdolnych aktorów po to, żeby wnieśli coś od siebie, także językowo. W „13 dniach do wakacji" wiele slangowych zwrotów to właśnie ich zasługa.

Więc nie, pisanie nie sprawia mi trudności. Wręcz przeciwnie – bardzo to lubię. A już w momencie, w którym pojawia się realna perspektywa realizacji scenariusza, to jest po prostu czysta przyjemność.

Z elementów horroru korzystały choćby Jagoda Szelc w „Wieży. Jasnym dniu" czy Agnieszka Smoczyńska w „Córkach dancingu". Ale pan jest jedynym polskim reżyserem, który konsekwentnie kręci kino grozy. Komercyjny horror w polskim kinie, poza drobnymi wyjątkami, właściwie nie istnieje. Dlaczego?

Prosta sprawa: filmowy horror w Polsce nie ma żadnej tradycji. Po prostu nie zaistniał jako gatunek. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych ma już ponadstuletnią historię. I nie szkodzi, że przez całe dekady nie był traktowany poważnie. Zdarzały się wyjątki – jak „Egzorcysta", „Omen" czy „Lśnienie" – ale ogólnie uważano go za tanią, głupią rozrywkę. A przecież jeśli spojrzeć na historię amerykańskiego horroru, widać w niej odbicie nastrojów społecznych. Każda wojna, każdy kryzys – polityczny, społeczny, kulturowy – wiązały się ze wzrostem popularności kina grozy.

Dziś niektórzy amerykańscy krytycy używają określenia, którego szczerze nie znoszę: *elevated horror*, czyli horror wzniosły, z przesłaniem. Tyle że te przesłania były tam zawsze – już w filmach z lat 30. Tylko nie wszyscy byli w stanie je dostrzec i zrozumieć.

W Polsce to podejście też się zmienia?

Opornie. Zdarzyło mi się kiedyś na branżowym bankiecie mówić coś o „Inwazji porywaczy ciał". Świetny film – zwłaszcza wersja z Donaldem Sutherlandem – gigantyczna metafora strachu Amerykanów przed komunizmem, ważne kino. I nagle ▶

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ zdałem sobie sprawę, że sam tytuł budzi u niektórych dziwną reakcję. Jakbym powiedział coś nie na miejscu.

Po pierwszej części „W lesie..." pewien znany krytyk, jeden z tych najbardziej szanowanych, dał filmowi 5/10, więc w sumie nieźle. Ale w recenzji napisał, że takie filmy w Polsce nie powinny powstawać, bo nasza kinematografia stoi czymś innym. Wryło mi się to w pamięć, bo zupełnie się z tym nie zgadzam. Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby uzurpować sobie prawo do decydowania, jakie kino może w Polsce powstawać, a jakie nie. Wiadomo, jesteśmy dziećmi Wajdy, Zanussiego i Kieślowskiego, a nie Johna Carpentera. Ale to nie znaczy, że nie możemy robić kina gatunkowego. Możemy. I najwyższa pora zacząć.

Jako twórca eksploruję horror i właściwie za każdym razem w jakimś sensie dostaję po głowie. Jasne, są pozytywne głosy, ale słyszę też takie, które nas rozjeżdżają walcem. Powoli się na to uodporniam, ale to nie przyszło łatwo, musiałem przestać czytać recenzje w internecie. Odcinam się od skrajnych opinii, bo miałem momenty naprawdę poważnego zwątpienia. Najbardziej po „W lesie dziś nie zaśnie nikt 2", gdzie eksperymentowaliśmy z formą, przeszliśmy w parodię, w tony znane z filmów wytwórni Troma: z potworami zachowującymi się jak dzieci, a jednocześnie brutalnie mordującymi ludzi. No i z jednej strony była świetna recenzja w „New York Timesie", a z drugiej – miażdżące opinie w Polsce. Może byłoby łatwiej, gdybym dostawał komercyjne propozycje, seriale kryminalne albo obyczajowe. Ale jest, jak jest.

© AKSON STUDIO

Kadr z „13 dni do wakacji", młodzieżowego horroru w duchu klasycznego amerykańskiego kina

Zaczynał pan od dokumentów, potem nakręcił „Plac zabaw", surowe kino społeczne, za które dostał pan parę nagród i nominację do Paszportu POLITYKI. A nagle skręcił pan w stronę kina grozy kręconego często dla serwisów streamingowych. Może część krytyków i widzów poczuła się zdezorientowana? Wręcz zdradzona?

No nie? Miał być polski Ken Loach, a tu coś takiego. Ale z tym „komercyjnym" też różnie bywa. W ogóle nie jest łatwo zebrać fundusze na film. „Cisza nocna" miała być moim drugim filmem, ale tak długo trwało domykanie budżetu, że ostatecznie została piątym. Nie da się zaplanować ścieżki film po filmie. Zawsze pracujesz równolegle nad kilkoma projektami i nigdy nie wiesz, który zaskoczy. Więc mimo że byłem wtedy głową w „Ciszy...", kiedy pojawiły się pieniądze na „W lesie dziś nie zaśnie nikt", nie wahałem się ani chwili. Choć znajomy dziennikarz napisał mi wtedy, że chyba mnie pogięło – po „Placu zabaw" robić slasher z Julią Wieniawą.

A ja potrafię zrobić bardzo różne filmy. Teraz mam projekt, który będzie powrotem do paradokumentalnego, trudnego kina społecznego, bo takie też bardzo lubię. A horror? Horror to jest coś, co od 11. roku życia uważam za najbliższe mojemu sercu.

Pamięta pan, skąd się wzięła ta fascynacja?

Nie mam pojęcia. To nie było tak, że ktoś w rodzinie pasjonował się horrorem. Mama czasem się śmiała, że zawsze wybierałem brzydsze zabawki i wolałem złych bohaterów od tych pozytywnych. Szkieletor był fajniejszy niż He-Man. Rodzice to akceptowali, pozwalali mi oglądać filmy grozy. Z ojcem mieliśmy nawet taki weekendowy rytuał – wypożyczaliśmy „Crittersów", „Gremliny" i inne klasyki lat 80. i oglądaliśmy je razem. Naoglądałem się tych horrorów, a jak miałem 12 lat, to napisałem pierwszy scenariusz – o wampirach na Dzikim Zachodzie.

Estetyka kina lat 80. jest dla pana ważna?

Tak, zresztą może poza latami 40., kiedy studio Universal wypuszczało swoje najsłynniejsze horrory o potworach, nie było dla kina grozy lepszego momentu niż lata 80. Wszystkie te slashery, eksplozja tzw. kina klasy B – często kręconego z myślą wyłącznie o rynku wideo – to było ważne i bardzo ciekawe zjawisko kulturowe.

Studiował pan reżyserię w Paryżu. Tam też podchodzili do kina gatunkowego ostrożnie?

Początkowo dość sceptycznie. Chociaż szybko przyznałem się do swoich fascynacji, już na pierwszym roku studiów. Mieliśmy ćwiczenie pt. „Poczekalnia", napisałem wtedy krótką rzecz o facecie, który siedzi w przychodni i kaszle tak mocno, że w końcu eksploduje mu głowa. Oczywiście nie pozwolili mi tego zrealizować. Ale krok po kroku wpychałem się ze swoim horrorem i na późniejszych latach udawało mi się już przemycać do ćwiczeń filmowych jakieś półamatorskie zombiaki czy wampiry.

W Polsce by to nie przeszło?

U nas pewnie w ogóle nie dostałbym się do szkoły filmowej. Po „Placu zabaw" ówczesny rektor łódzkiej filmówki pochwalił film i zapytał, dlaczego nie chciałem tam studiować. Odpowiedziałem, że gdybym przyszedł na egzamin i powiedział, że moim ulubionym filmem jest „Martwe zło 2", to najpewniej bym się nie dostał. Przyznał mi rację.

Więc kiedy wróciłem do Polski z Paryża, było mi tym trudniej, że nie znałem nikogo z branży. Od początku miałem w głowie pomysł na niskobudżetowy horror, ale najpierw dziwnym zbiegiem okoliczności zacząłem robić filmy dokumentalne. Bardzo dużo się przy nich nauczyłem, ale nigdy nie porzuciłem marzenia o horrorze. W końcu się udało – i jestem dumny z tego, że mam swój głos i wciąż jeszcze siłę, by za tym głosem podążać. Cieszę się, że to już mój szósty film. Chociaż kiedy czasem spojrzę wstecz, widzę, że to wszystko idzie trochę jak krew z nosa. Chciałbym móc powiedzieć, że drzwi do kina gatunkowego są już w Polsce szeroko otwarte i mogę robić, co chcę – ale to nieprawda. Z każdym filmem jest tak samo trudno i mam wrażenie, że zaczynam tę drogę od zera. Ale ręcznika nie rzucam.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl ad2f04fa8d

„Interval", praca z 1995 r.

Efekt spowolnienia

Czy film, w którym niemal nic się nie dzieje, można oglądać w napięciu jak thriller? Tak, pod warunkiem że jego autorem jest Bill Viola. Duża prezentacja tego artysty została właśnie otwarta w Toruniu.

PIOTR SARZYŃSKI

Początkowo wydawało się, że Bill Viola podzieli los twórców konceptualnej sztuki wideo: cenionych przez środowisko, ale często umiarkowanie zrozumiałych dla odbiorców. Szybko jednak zrozumiał, że eksperymentalny środek artystycznego wyrazu, jakim w latach 60. i 70. XX w. był zapis wideo, nie oznacza konieczności ograniczania się do eksperymentalnych form, progresywnych treści i nowatorskich sposobów filmowania. A to pozwoliło mu powędrować w stronę masowego widza, dla którego jego sztuka okazała się zrozumiała i przystępna, a przy tym niezwykle atrakcyjna wizualnie.

Wystawy zmarłego rok temu Amerykanina zawsze cieszą się ogromną popularnością. Jedna z nich, zorganizowana przez Muzeum Guggenheima w Bilbao, przyciągnęła 710 tys. osób. I co istotne, magnesem okazało się nie wielkie nazwisko, ale – co nie jest dziś normą – same dzieła.

Ulubiony warsztatowy trik Billa Violi to emisja obrazu w zwolnionym tempie. Patent to nienowy, wielokrotnie sprawdzony. Ileż to już razy kinematografia raczyła nas scenami niemal płynących ku sobie po łące kochanków czy osuwającego się powolutku, trafionego kulą żołnierza. Nie wspominając o filmach przyrodniczych z cudownie sunącymi, ▶

© PIOTR WAŚNIEWSKI

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ jakby wyzwolonymi z siły ziemskiego przyciągania gepardami czy antylopami.

Takie spowolnienie to idealny patent na wzmocnienie patosu lub liryzmu. Spowolnienie upływu czasu, choćby tylko na ekranie, zawsze dobrze się odbiera, a Viola uczynił z niego swój znak firmowy. Projekcja pokazywanego w Toruniu jednego z najsłynniejszych filmów Violi „The Greeting" z 1980 r. trwa ok. 10 minut, ale gdyby wyemitować go w tempie, w jakim został nagrany, trwałby zaledwie... 45 sekund. W pracy „Anima" minuta nagrania została rozciągnięta do 81 minut i nawet mrugnięcie powieką zdaje się tu trwać i trwać. Pod koniec życia efekt spowolnienia Viola dodatkowo połączył z efektem projekcji wstecznej, jak choćby w pracy „Inverted Birth". To, co wcześniej lało się lub sypało na głowę, teraz lekko ulatuje.

Pytany o to bezbrzeżne przywiązanie do ekranowej powolności tłumaczył w jednym z wywiadów: „Jak mówił filozof Zenon, możemy podzielić czas na nieskończoną liczbę odcinków. Im bardziej go otwieramy, tym więcej głębi znajdujemy".

Naturalnym dopełnieniem spowolnienia jest sposób prezentacji prac. Z reguły na wielkich ekranach (monitorach), w wyciemnionych pomieszczeniach, z sugestywną muzyką. Wspomniany film „Inverted Birth" przewidziany jest na ekran mający pięć metrów wysokości (i taki w Toruniu przygotowano). Widz ma się poczuć przytłoczony monumentalnym obrazem. I się poczuwa. A słowo „obraz" jest tu jak najbardziej na miejscu, prace Violi są bowiem niezwykle malarskie, a niemal każdy kadr wyjęty z dowolnego jego dzieła sytuuje się idealnie w tradycji caravaggionizmu przełamanego przez akademizm i symbolizm. Kadry są precyzyjne, kompozycje starannie przemyślane, kolory dobrane z pieczołowitością. Całkowite przeciwieństwo 90 proc. artystycznej produkcji sztuki wideo, gdzie dominuje świadome niechlujstwo, brak ostrości, bure kolory czy drżący obraz.

Bardzo malarska i efektowna jest dbałość Violi o wszystko to, co się wiąże z ludzkim ciałem i komunikacją niewerbalną: mimikę, gesty, mowę ciała. Spojrzenia bohaterów (z reguły są to zawodowi aktorzy, niekiedy sam artysta) są przenikliwe, układ dłoni wyrazisty, widok twarzy nie pozostawia żadnej wątpliwości, czy mamy do czynienia ze zdziwieniem, złością, radością, cierpieniem czy rezygnacją. Co ciekawe, owe stany emocjonalne, stanowiące kwintesencję wielu filmów Violi, pokazywane są bez odniesień, wyrwane z kontekstu, zuniwersalizowane. Nieważne, co bawi lub przeraża bohaterów. Ważne, abyśmy sobie owe uczucia osadzili we własnych doświadczeniach, wspomnieniach, życiowych przypadkach. W „The Quintet of the Astonished" przez 10 minut obserwujemy powolną (wszak tu wszystko dzieje się powoli) zmianę nastrojów piątki bohaterów wpatrujących się w jeden punkt, gdzieś nad naszym głowami, a cała narracyjna reszta to już tylko kwestia naszej wyobraźni.

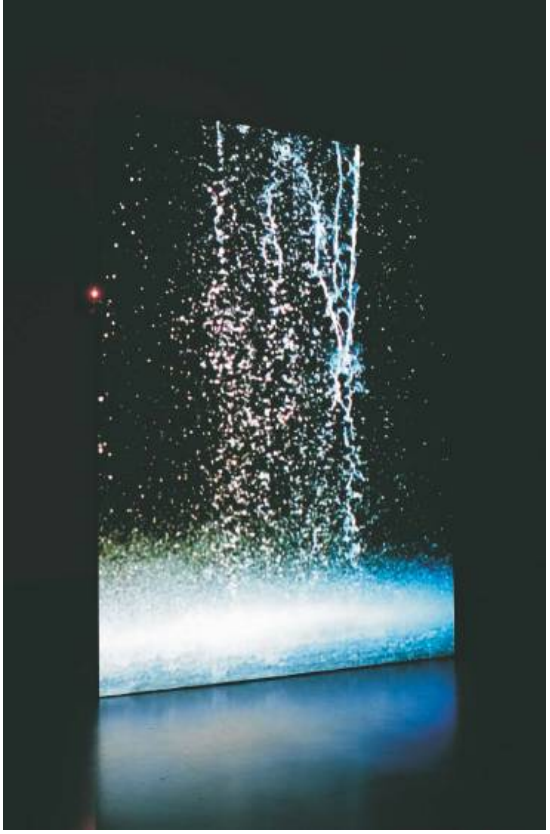

Wideoinstalacja „The Veiling" z 1995 r. Obok

Ulubionych przez artystę formalnych chwytów w jego dorobku doszukać się można więcej. Na przykład skłonność do dualizmu, zderzania przeciwieństw. Światło i ciemność, woda i ogień, cisza i hałas, bierność i przemoc, harmonia i chaos, szczęście i dramat. Z reguły następują po sobie, wzajemnie ustępują sobie miejsca. Niekiedy wręcz się konfrontują. U Violi trwa nieustanne starcie piękna i przemocy, zachwytu i przerażenia. W „Interval" widz ma do czynienia z dwiema umieszczonymi naprzeciwko siebie projekcjami. Na pierwszej samotny mężczyzna niespiesznie, systematycznie, w skupieniu wręcz kontemplacyjnym, myje na stojąco swoje ciało. Na drugiej oglądamy serię niezwykle dynamicznych, momentami trudno czytelnych obrazów tego samego ciała, walczącego z żywiołami wody i ognia, ujawniającego swoje zakamarki. Dwie skrajności, dopełniające się w jakimś zawikłaniu i wzajemnej zależności.

Mocne środki wyrazu zazwyczaj idą w parze z sugestywnymi i efektownymi symbolami. U Violi króluje woda; w zależności od sytuacji: pochłaniająca, oczyszczająca, wystawiająca na próbę nasze ciało i duszę, dająca ukojenie, będąca bramą do innego świata... W ogóle można rzec, że żywioły są żywiołem Violi. W „Martyrs Series", przygotowanej w 2014 r. dla katedry św. Pawła w Londynie, w kolejnych pracach, postaci symbolizujące tytułowych męczenników poddawane są bolesnej próbie ognia, wody, ziemi i smagającego powietrza. Z kolei w „Inverted Birth" bohater skąpany zostaje kolejno w ziemi (błocie), krwi, mleku, wodzie i na koniec otoczony niesioną przez wiatr delikatną bryzą.

I wreszcie ostatni z „patentów" Violi, który przemawia do wrażliwości widzów, to odwołania do dawnego malarstwa. Bodaj najsłynniejsze to wspomniane już „The Greeting" będące wariacją na temat słynnego obrazu włoskiego manierysty Jacopa Pontormo „Nawiedzenie". Na wystawie sąsiaduje ze wspomnianym już „Kwintetem zdumionych", wyraźnie z kolei kojarzącym się z „Koronowaniem

eprasa.pl ad2f04fa8d

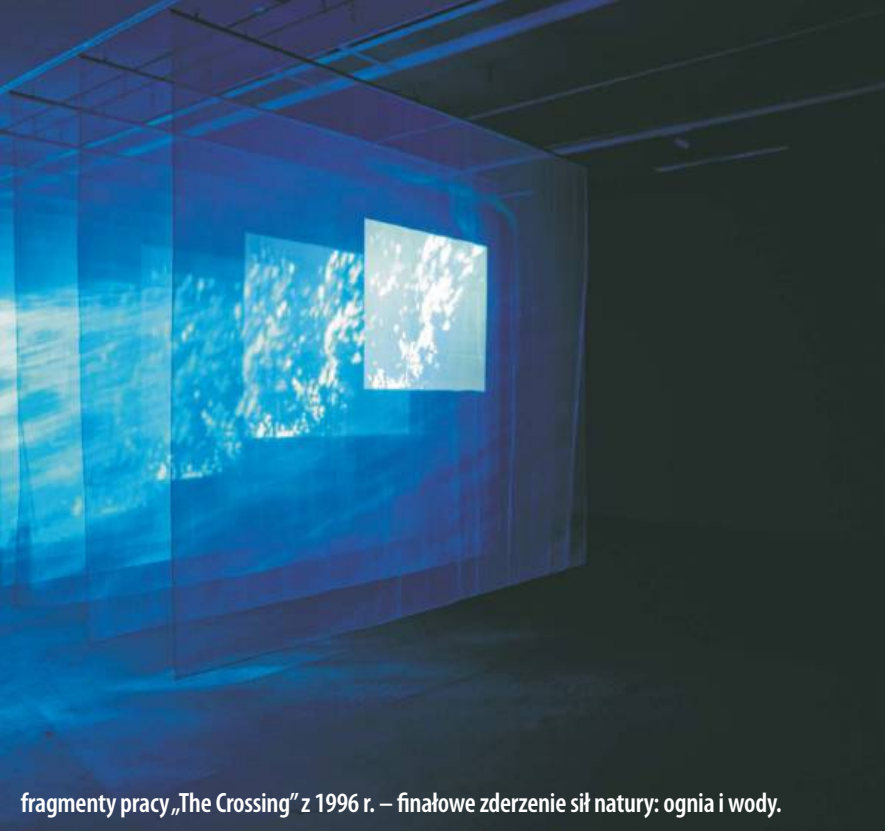

fragmenty pracy „The Crossing" z 1996 r. – finałowe zderzenie sił natury: ognia i wody.

cierniem" Hieronima Boscha. Wnikliwi badacze sztuki Violi owych nawiązań doszukują się częściej – do dzieł twórców rozlicznych, od średniowiecza, przez renesans, barok, po malarskie wizje Delacroix (jaka szkoda, że na wystawie zabrakło jego „Tratwy" nawiązującej do „Tratwy Meduzy" francuskiego malarza) czy Goi.

Czemu służą wszystkie te symbole i filmowe chwyty? Bill Viola zawsze czerpał z bardzo bogatego repertuaru duchowych i intelektualnych inspiracji, nawigując między nimi, łącząc je, szukając wspólnych treści. Poza wspomnianym już dawnym malarstwem były to liczne tropy religijno-filozoficzne, począwszy od islamskiego sufizmu z jego ideą życia jako niekończącej się podróży – widocznej choćby w przejmującej pracy „Three Women" – przez buddyzm zen, po mistycyzm chrześcijański (jedną z najsłynniejszych swoich wczesnych prac, pokazywaną także w Toruniu, poświęcił jego reprezentantowi, św. Janowi od Krzyża).

A wszystko po to, by doprowadzić widza, najchętniej w duchu bliskim medytacji, do rozważań o rzeczach ostatecznych, rudymentarnych, będących zagadką życia i śmierci. To miłość i cierpienie, emocje, ale przede wszystkim narodziny, śmierć, przemijanie. To w „dzielnej". A w „dzielniku": czas i przestrzeń. Wszystko to piekielnie ambitne, kompletnie oderwane od doraźnych problemów świata, ocierające się o absolut, sens istnienia i podobne zagadnienia z najwyższej półki intelektualno-duchowej spekulacji.

Czy z tych ambitnych artystyczno-filozoficznych wycieczek wychodzi Viola zwycięsko? Zdania są podzielone. Publiczność w zdecydowanej większości wychodzi z jego wystaw zachwycona – czy może trafniej: zauroczona. Hipnotyczna mikstura wideo, którą skomponował, działa skutecznie pod każdą szerokością geograficzną. A krytycy? Wielu zaakceptowało i powiela przypisaną mu etykietę „Rembrandta ery wideo", a np. pracy „The Reflecting Pool" – wysoką miarę „Mona Lisy wideo-artu".

Ale niektórzy mają problem z wręcz demonstracyjnym obnoszeniem się Violi z walorami estetycznymi. Wszak sztuka nowoczesna zawzięcie i długo walczyła z kategorią piękna w sztuce, a tu nagle pojawia się artysta, który czaruje tłumy i otwarcie głosi, że forma, harmonia, kompozycja mają znaczenie. Jest jak prorok, który zdradził świat sztuki progresywno-konceptualnej i poszedł swoją drogą. A za nim rzesze wyznawców.

Nic więc dziwnego, że trafiają się oceny, jak ta wyrażona niegdyś przez krytyka sztuki Marcina Krasnego, dla którego Viola to niejednokrotnie „popadający w egzaltację symbolista i efekciarz", który „za pomocą prostych trików oszałamia publiczność". A dodatkowo „w patetyczny sposób opowiada o sprawach dawno już opowiedzianych". Z kolei jeden z krytyków brytyjskich grzmiał, że to „mistrz nadętego, wysokobudżetowego i wyciskającego łzy, religijnego hokus-pokus dla mas".

Toruńska wystawa odbywa się – ważne, by nie przegapić tej okoliczności – w dwóch lokalizacjach: Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu" oraz siedzibie fundacji Tumult. Przygotowana została z niezwykłym rozmachem. Dość przypomnieć, że retrospektywa Violi, która miała miejsce w stołecznej Zachęcie w 2007 r., obejmowała dziewięć prac. Tym razem pokazano ich aż 22, a jeśli ktoś poczuje niedosyt, to z dziewięcioma kolejnymi może się zapoznać w ramach maratonów filmowych w sali kinowej CSW. To jest kolejne spektakularne przedsięwzięcie ekipy szefa festiwalu Camerimage Marka Żydowicza. Ma on w swoim dorobku wiele pamiętnych ekspozycji, m.in. Mariny Abramović, Patricii Piccinini, Helmuta Newtona czy „The Haas Collection", a z twórców łączących świat filmu i sztuk wizualnych: Davida Lyncha, Petera Greenawaya, Alana Parkera, Davida Cronenberga czy Jessiki Lange. Kto następny w kolejce?

PIOTR SARZYŃSKI

Bill Viola: Wizje czasu / Visions Of Time, CSW „Znaki Czasu" oraz Fundacja Tumult, Toruń, do 31 grudnia 2025 r.

© PIOTR WAŚNIEWSKI

eprasa.pl ad2f04fa8d

Pastor i jego pop

Ewangelicki kościół w Heidelbergu przyciąga muzyką Taylor Swift, a w zanadrzu ma Harry'ego Stylesa i Beyoncé. Trudno powiedzieć, ile tu drogi i prawdy, ale życie w tym jest.

MAŁGORZATA SAWA

„Świętujemy nabożeństwo z muzyką pop. To nie impreza ani koncert" – tak w maju 2024 r. przywitał zgromadzonych w świątyni duchowny Vincenzo Petracca, proboszcz ewangelickiej parafii Świętego Ducha w Heidelbergu. Po czym tłumaczył: „W tym nabożeństwie nie chodzi nam o to, by ogłaszać Taylor Swift świętą". Słusznie, bo ewangelicy w ogóle kultu świętych nie znają.

Elementy imprezy i koncertu jednak były, tyle że melodie i teksty granych na żywo utworów amerykańskiej wokalistki Taylor Swift – dobrane pod kątem duchowego przesłania – wpleciono w liturgię. Jedynie modlitwa „Ojcze nasz" pozostała w niezmienionej formie. Wygłoszono cztery przemówienia (odpowiednik kazań) – o życiu i osiągnięciach Swift, a także o politycznym chrześcijaństwie i obecności religii w jej piosenkach.

Tego dnia liczyło się przesłanie każdej z prezentowanych w świątyni piosenek. „You Need to Calm Down" opowiadała o tolerancji i miłości do bliźniego, „Anti-Hero" – o autorefleksji, „Christmas Must Be Something More" krytykowała komercjalizację Bożego Narodzenia, a „Shake It Off" przestrzegała przed pochopnym osądem i zachęcała, by podążać własną drogą. Na liście znalazł się również utwór „Soon You'll Get Better", który nawiązuje do trudnego okresu w rodzinie Swift, gdy matka artystki (Andrea) musiała walczyć z chorobą nowotworową. „Zdesperowani ludzie odnajdują wiarę, więc teraz i ja modlę się do Jezusa" – słyszymy w tekście.

Tańczcie z Bogiem

W heidelberskiej świątyni można już było usłyszeć twórczość Beatlesów, Boba Dylana, Leonarda Cohena, Queen, Madonny i Adele. – *Zacząłem od Beatlesów* – opowiada Petracca, który 10 lat temu wprowadził cykl nietypowych nabożeństw, bo tradycyjna oprawa nie przyciągała wielu osób. – *U nas grano tylko na organach. Chciałem sprawdzić, co się stanie, jeśli wykorzystamy pop, którego ludzie słuchają na co dzień w domu.* Muzyka popowa w kościele?! Na krytykę nie trzeba było długo czekać – pojawiła się, gdy tylko w świątyni zabrzmiały piosenki Beatlesów. – *Pewna kobieta, która nie była na tym nabożeństwie, napisała list do lokalnej gazety, wyrażając swój sprzeciw* – wspomina proboszcz. Znaleźli się jednak i obrońcy pomysłu.

– *Mam silne wsparcie w parafii. Wspólnota się cieszy, że docieramy do nowych osób* – uspokaja Petracca. A w Niemczech coraz mniej wiernych przychodzi do kościoła. – *Uważam, że jako wspólnota wciąż mamy dobre odpowiedzi na fundamentalne pytania: „Jak powinniśmy się zachowywać?", „Co daje nam siłę w cierpieniu?", „Co się dzieje po śmierci?". Problem polega na tym, że wielu już tych odpowiedzi nie rozumie. Musimy stać się tłumaczem i iść nowymi drogami, by ludzie zrozumieli, co mamy do przekazania* – wyjaśnia duchowny. I nie

© PAP/DPA

eprasa.pl ad2f04fa8d

jest odosobniony. W Niemczech organizowano już nabożeństwa w formie tanecznej i teatralnej, a spotkania z wiernymi odbywały się nawet w pubach.

– *Zapraszamy też młodsze pokolenia. Z dobrym skutkiem* – podkreśla Petracca. I wraca do przykładu zeszłorocznego nabożeństwa z muzyką Taylor Swift. Tu reakcja przerosła wszelkie oczekiwania. – *Musieliśmy wprowadzić rezerwację darmowych wejściówek, a miejsca na pierwsze z nabożeństw rozeszły się w mgnieniu oka* – opowiada duchowny. Zorganizowali kolejne i w ciągu 24 godzin był komplet. Łącznie przyszło 1,2 tys. osób, co nie zdarza się często. Zazwyczaj na nabożeństwach pojawia się tu ok. 50 osób.

– *Większość uczestników tego rodzaju nabożeństw chodzi do kościoła co najwyżej w Boże Narodzenie. Lub wcale* – dodaje Petracca. A Taylor Swift pomogła mu dotrzeć do różnych grup wiekowych. – *Młoda para po ślubie cywilnym przyszła do mnie po nabożeństwie z muzyką Swift i powiedziała: „Nie planowaliśmy ślubu kościelnego, ale zmieniliśmy zdanie".* I to on udzielił im błogosławieństwa. Skutkiem ubocznym jest, że rozmowy o takich nabożeństwach wychodzą poza świątynię. A dyskusje z uczestnikami spotkań przenoszą się także do sieci, choćby na Instagram. Nabożeństwa wzbudziły też zainteresowanie mediów. O muzyce Taylor Swift w Heidelbergu pisano na całym świecie, a londyński „The Times" wysłał reporterkę, by przygotowała relację.

Ewangelia o płci

Petracca planuje już kolejne wydarzenie: 26 października ma się odbyć nabożeństwo z muzyką Harry'ego Stylesa. „Po prostu przestań płakać. To znak naszych czasów. Witaj na ostatnim przedstawieniu" – te słowa piosenki zabrzmią w murach kościoła w Heidelbergu. Styles, gwiazda programu „X-Factor", boysbandu One Direction, a później całej sceny muzycznej i filmu, stał się też ikoną mody. Był pierwszym mężczyzną na okładce magazynu „Vogue". – *W świecie mody wprowadził temat płynności płciowej i promuje tolerancję. W kontekście nabożeństwa pojawia się ciekawe pytanie o obraz męskości w 2025 r.* – zauważa duchowny.

Co muzyka brytyjskiego artysty ma wspólnego z Kościołem i Bogiem? – *Wiara jest dosłownie wypisana na jego ciele. Wytatuował sobie nie tylko Biblię, ale i modlitwę. Nabożeństwo skupi się wokół jego piosenek i ich duchowego przesłania* – zapewnia Petracca. Wybrał piosenki mniej znane, jak „Jesus Christ, Happy New Year" (utwór nie został oficjalnie wydany przez Stylesa, piosenka trafiła do sieci w 2023 r. – przyp. red.), ale też wielkie hity. Petracca deklaruje, że sam ma wszystkie płyty Stylesa, a jego ulubiony cytat to „traktuj ludzi z życzliwością" (z piosenki „Treat People With Kindness"). – *To gotowy program etyczny* – podsumowuje.

Można tu znaleźć podobieństwa do innego wydarzenia. W styczniu 1968 r. w kościele rzymskokatolickim w Podkowie Leśnej pod Warszawą odbyła się koncertowa premiera mszy beatowej. Skomponowała ją Katarzyna Gärtner do tekstów Kazimierza Grześkowiaka i Kazimierza Łojana. To wówczas po raz pierwszy połączono w naszym kraju muzykę rozrywkową z treściami religijnymi.

„Rozległ się dzwonek, wszedł ksiądz z ministrantem, za nimi wbiegli czterej młodzi ludzie w smokingach, podłączyli gitary do przygotowanych wzmacniaczy, jeden stuknął podeszwą o posadzkę – raz, dwa, trzy, cztery – i o mury kościoła gruchnęła salwa dźwięków gitar elektrycznych zespołu Czerwono-Czarni. Płyta z mszą beatową stała się w krótkim czasie bestsellerem" – opisywał krytyk muzyczny Andrzej Wróblewski w „Almanachu Polonii".

Płyta „Pan przyjacielem moim: msza beatowa" została wydana pod koniec 1968 r. Słuchaczy mogła zaskoczyć nie tylko forma muzyczna, ale też język polski w tekstach (w liturgii używano jeszcze łaciny). Płyta, ku niezadowoleniu komunistycznych władz, nie wywołała skandalu, lecz pokazała otwartą (jak na tamte czasy) postawę polskiego Kościoła. W 1969 r. z inicjatywy ks. Jana Palusińskiego odbyła się pierwsza edycja Festiwalu Muzyki Religijnej Sacrosong, na którym występowały m.in. zespoły zainspirowane mszą beatową. Ważną rolę odegrał kardynał Karol Wojtyła, który jako arcybiskup metropolita krakowski wspierał wydarzenie finansowo. Obudziło się zainteresowanie piosenką religijną, a Sacrosong stał się celem obserwacji dla Służby Bezpieczeństwa.

Alleluja i do tyłu

Czy dziś popowe nabożeństwo mogłoby się odbyć w polskiej parafii? Konferencja Episkopatu Polski odsyła do swojej instrukcji z 14 października 2017 r. Z dokumentu dowiemy się, że „nie wolno w liturgii wykonywać utworów o charakterze świeckim". Co więcej, nie można też „używać w liturgii instrumentów przeznaczonych do wykonywania muzyki świeckiej (np. gitara elektryczna, perkusja, fortepian, syntezator)".

Oficjalnie nie ma listy piosenek zakazanych w kościele, choć spekuluje się często na temat „All You Need Is Love" Beatlesów, „Perfect" Eda Sheerana czy „Hallelujah" Leonarda Cohena. Dokument KEP przerzuca odpowiedzialność na biskupów lub proboszczów, a ci czasem podają konkretne wskazówki co do utworów, które nie powinny brzmieć podczas nabożeństw. Stąd głośny apel biskupa diecezjalnego włocławskiego Wiesława Meringa z 2016 r., by młode pary nie wybierały na śluby piosenki „Hallelujah", która biła wtedy rekordy popularności na tych uroczystościach.

Jak reaguje „góra" w Niemczech? – *Kościół ewangelicki w Niemczech (EKD) przysłał ekipę filmową na nabożeństwo z muzyką Adele i przygotowali o nim relację* – opowiada Petracca. – *Zostaliśmy też zaproszeni przez organizatorów Dni Kościoła do odprawienia nabożeństwa inspirowanego twórczością Taylor Swift, co zrobiliśmy w maju. Oficjalnych oświadczeń jednak nie było.*

Były za to reakcje innych parafii, które zgłaszały się z prośbą o poradę lub teksty z nabożeństw. Zainteresowanie wyraziła też Austria. – *Referat Muzyki Kościelnej Archidiecezji Salzburga planuje jesienią szkolenie z zakresu muzyki popularnej w liturgii i chce przyjechać do nas na rozmowę* – zapowiada duchowny z Heidelbergu i już snuje plany na 2026 r. Chce zorganizować „spotkanie z muzyką Beyoncé". Sama zainteresowana wprawdzie nie przyjedzie, ale można się spodziewać kolejnej fali zainteresowania. ■

REKLAMA

eprasa.pl ad2f04fa8d

Miejsce czystego zła

Na początku słyszałem, że jak chcę lepiej zarabiać, to muszę pisać gorzej i prościej. Odpowiadałem, że nie chcę lepiej zarabiać. Ja się pisaniem bawię – mówi **Maciej Siembieda**, jeden z najpopularniejszych autorów powieści sensacyjnych.

Maciej Siembieda (ur. 1961 r.) – jeden z najpopularniejszych autorów powieści sensacyjnych w Polsce. Przez 30 lat pracy w prasie prowadził śledztwa historyczne, a za poświęcone im reportaże trzykrotnie otrzymał tzw. polskiego Pulitzera, czyli Nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. W ciągu ośmiu lat wydał siedem powieści z Jakubem Kanią („444", „Miejsce i imię", „Wotum", „Kukły", „Kołysanka", „Orient" i „Sobowtór"), thriller szpiegowski „Gambit" oraz sagę sensacyjną „Katharsis", „Nemezis", „Kairos". Trzykrotnie nominowany do Nagrody Wielkiego Kalibru, zdobył ją głosami czytelników za „Katharsis" (2022 r.).

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **– Jak się oswaja wronę?**

MACIEJ SIEMBIEDA: – Trzymając się od niej z daleka. To są mądre ptaki i ich mądrość polega na tym, że nie ufają ludziom. Inaczej niż gołębie, które siadają mi na głowie. Gołębica Grusia uważała, że jestem jej mężem, i była zazdrosna. Wymagała głaskania, inaczej się awanturowała i szarpała za rękaw. A wronę trzeba karmić i dać jej spokój. Wrona Iwona reaguje na swoje imię. I pies się z nią zakolegował, drepczą razem.

Podobno czyta pan psu swoje książki, żeby posłuchać, jak brzmią…

Tak, fragmenty. Czytanie na głos jest dobrą metodą wyłapywania usterek tekstu. To, czego nie da się zobaczyć oczami, można wyłapać uszami. To jest metoda na osiągnięcie własnej melodii tekstu. Ja też piszę ręcznie w brudnopisie. Kiedy dochodzę do muru w pisaniu i nic mi nie idzie, to rusza się, jak wezmę pióro i papier. Pisanie ręczne i czytanie na głos to archaiczne wprawdzie, ale dobre sposoby. Dużo korzystam też ze słownika synonimów. Zalecałbym korzystanie z tych metod, ale może to jest nawoływanie dinozaura.

Przeszedł pan od dziennikarstwa do pisania powieści. Dziennikarze muszą sporo wyrzucać, a powieściopisarz chyba nie musi?

Hanna Krall powiedziała gdzieś, że istotą reportażu jest to, że się rozbiera historię na najmniejsze kawałki i składa się ją z powrotem, żeby połowa tych elementów została na stole, a historia nie straciła nic ze swojej dynamiki i walorów. Tutaj jest inaczej. Dla mnie największym wyzwaniem była kompozycja, bo co innego napisać tekst na 10 tys. znaków, a co innego na 600 tys. A najważniejsze jest to, by tekst się dobrze zaczynał i jeszcze lepiej kończył – w sensie pozostawienia refleksji. Można to porównać do romansu. Powiedzmy, że kobieta spotyka codziennie na ulicy mężczyznę swoich marzeń, który na nią nie zwraca uwagi. Trzeba się tak postarać, by zwrócił uwagę i potem ją utrzymać, rozłożyć atrakcje na wiele dni. I tak samo jest z powieścią, ona musi mieć punkty zwrotne. Niestety, trzeba pisać też zgodnie z technologią scenariuszy hollywoodzkich, które niezależnie od tematu są takie same. Mnie to złości, ja tego nie lubię.

Stosuje pan takie wytyczne scenariuszowe?

Stosuję, bo czytelnik uwielbia być wodzony za nos i wprowadzony do labiryntu,

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ad2f04fa8d

i musi dostać na koniec kompletnie zaskakujący finał. Ma się okazać, że wszystko było zupełnie inaczej, wtedy ludzie są szczęśliwi i uznają książkę za dobrą, tak trzeba i ja tak robię. Ale traktuję to jako zabawę, a nie przymus, wymyślam te intrygi i ich przebieg. Czytałem „Dzień szakala" Forsytha dziesięć razy i od początku wiedziałem, jak to się skończy, że generał Charles de Gaulle przeżyje. Forsyth nie zrobił nagle twista, że zamachowiec go zastrzelił. Ja tę książkę czytam dla urody opowieści, bo chociaż znam zakończenie, ona mnie potrafi trzymać w napięciu. Bo jest tak dobrze skonstruowana. W moim pisaniu wiem, że trzeba zrobić tak, żeby nawet wyrobiony czytelnik nie wiedział, jak to się skończy. Na początku słyszałem, że jak chcę lepiej zarabiać, to muszę pisać gorzej i prościej. A ja zawsze odpowiadałem, że nie chcę lepiej zarabiać. Bo mam swoje lata, nie mam dzieci, kredytów, ja się pisaniem bawię. A potem się okazało, że jednak nie powinienem pisać prościej. Kiedyś były zakusy, żeby wycinać mi wątki, które u mnie się mnożą, a teraz jest tak, że kiedy oddaję do redakcji książkę na 500 tys. znaków, to po naniesieniu poprawek robi się 600 tys. Chcą, żebym dopisywał. Słyszę, że ludzie kochają te ciekawostki.

To dobra wiadomość: czytelnicy nie chcą uproszczeń. Specyfiką pana książek są wątki historyczne rozgrywające się na wielu planach czasowych – czytelnicy potrzebują takiego opowiadania o historii?

Na pewno tak. Ciekawostkowe opowiadanie historii powinno być pierwszym prawem metodyki, a nie wtłaczanie dat, nazwisk i bitew. I nikt nie myśli o historii jako o czymś, z czego można wyciągać wnioski, tylko jako o ciągu wydarzeń. Jak się przebijali mieczami, to było fajnie, ale taki Sejm Czteroletni to już nuda. A tak naprawdę ten Sejm był ważniejszy dla dobra narodu niż bitwa pod Grunwaldem. Więc co zrobić, żeby ten Sejm znalazł się w świadomości młodych ludzi? Trzeba znaleźć w tamtym czasie coś, co było intrygujące, i wtedy ta wiedza będzie wchodziła łatwiej. Ja nie mam misji wychowywania, jestem przeszczęśliwy, kiedy do mnie piszą ludzie, że szukają więcej informacji po przeczytaniu książki.

Rozwija się też turystyka „siembiedowa", czytelnicy jeżdżą śladami Karola Goduli do Rudy Śląskiej. W Gdańsku, jak pytałem na spotkaniu, to nikt nie znał tej postaci, a było sto osób. Mam wrażenie, że potrafimy zarządzać bohaterami tylko w wymiarze lokalnym. Postaci takie jak Wyatt Earp, szeryf i rewolwerowiec, są znane na całym świecie. A my mamy bohaterów, którzy znaczą o wiele więcej, ale nie umiemy ich znajdować ani promować.

To kogo powinniśmy znać?

Chociażby tego Godulę. Ubogi chłopak z wioski, który został tragicznie oszpecony przez kłusowników, bo zbyt dobrze wykonywał swoje obowiązki strażnika leśnego. Po tym napadzie nie miał połowy twarzy, był potworem, ludzie się go bali, dzieci uciekały na jego widok, cudem przeżył. Hrabia, u którego pracował, powiedział mu, że teraz jest mu już niepotrzebny. Ale Godula był selfmademanem, znał języki, chłonął wiedzę i od hrabiego nie chciał pieniędzy, tylko najgorszy folwark, który przynosi straty. Jeżeli go wyprowadzi na prostą i będzie miał zysk, to chciałby mieć w nim udział. I hrabia się zgodził. Tak Godula zarobił pierwsze pieniądze. Nie chciał ich, tylko żużel z hałd. On sobie wykoncypował własną metodę wytopu cynku i dzięki takim działaniom stał się jednym z najbogatszych śląskich przedsiębiorców. To była postać nieprawdopodobnie budująca. Nic nie odziedziczył, tylko dostał od życia w tyłek. A jednak potrafił coś stworzyć. Dużo jest takich bohaterów, ale trzeba ich szukać w przestrzeniach lokalnych.

Jako dziennikarz zajmował się pan fałszerstwami sztuki i w pana powieściach ten temat wraca, choćby w „Sobowtórze".

Ja się nie znam na historii sztuki, ale pomaga mi żona, uczy mnie rozumieć sztukę. Interesuję się obrazami, które mają jakąś zagadkę. Na razie trzy takie dzieła były „serwisowane" literacko, czyli „Chrzest Warneńczyka" Matejki, Czarna Madonna Częstochowska i teraz ten obraz uznawany za Holbeina w „Sobowtórze". Jednak prezenty od losu nie zdarzają się często.

Ale dostać swój portret z XVI w. to jest niesamowity prezent. Pomyślał pan o tym obrazie pokazanym na okładce książki, że to fotomontaż albo dzieło sztucznej inteligencji?

Zwłaszcza że to było na targach książki w Katowicach, kiedy promowałem „Kołysankę", książkę o Karolu Goduli. Był dziki tłum, bo tam Godulę znali wszyscy, więc jak ich zapytałem, tak jak w Gdańsku, kto zna Godulę, to wszyscy podnieśli rękę. W Katowicach wszyscy ▶

REKLAMA

SENSACYJNE FAKTY, NIEZWYKŁE POSTAWY, ARCYTRUDNE DECYZJE

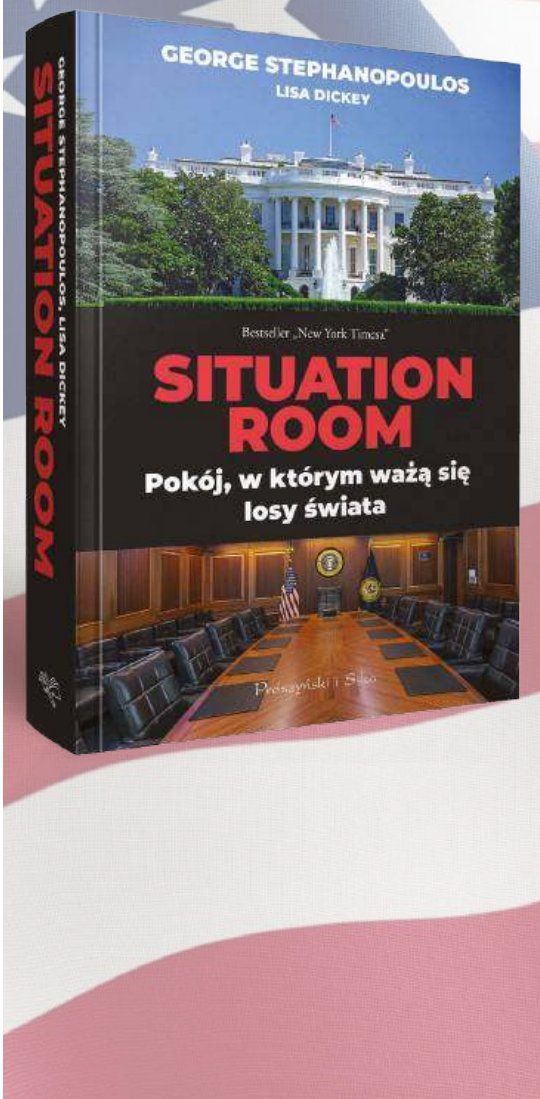

eprasa.pl ad2f04fa8d

▶ chcieli autograf. Żeby nie zemdleć w tym tłumie, podpisywałem książki jak na taśmie produkcyjnej. No i dwoje ludzi pokazało mi w trakcie podpisywania telefon ze zdjęciem tego portretu, na którym byłem ja. Nie wierzyłem, że to jest prawdziwy obraz, uważałem, że to żart, dzisiaj wyprodukowanie czegoś takiego nie jest żadnym problemem. I dopiero po powrocie do domu zobaczyłem film z Muzeum Czartoryskich i okazało się, że XVI-wieczny obraz jest prawdziwy.

Wspominał pan, że liczba fałszerstw jest gigantyczna, i w dodatku nie ma żadnego rejestru?

Wieloletni szef Metropolitan Museum ujawnił, że 40 proc. dzieł oferowanych do sprzedaży tej galerii przez prywatne osoby to były falsyfikaty. Panuje opinia, że zasobów największych muzeów lepiej nie sprawdzać pod kątem autentyczności. Akurat w tej dziedzinie wszyscy liczą na to, że sztuczna inteligencja stanie po właściwej stronie i będzie odkrywała fałszerstwa. Świat sztuki niepokoi, że eksperci są skorumpowani i że prawo, które karze fałszerzy, jest tak liberalne. W dodatku nie ma rejestru sfałszowanych dzieł sztuki. Przypuśćmy, że do Metropolitan ktoś przynosi Van Gogha, okazuje się, że to nie jest prawdziwy Van Gogh, więc ktoś go zabiera z powrotem, sprzedaje w Moskwie i tyle. I nigdzie nie odnotowuje się, kto był i co chciał sprzedać. Kiedy zbierałem materiały do „Sobowtóra", naczytałem się mnóstwo kryminalistyki, która bada dzieła sztuki. I tam wszyscy z nadzieją patrzą w stronę AI.

W „Sobowtórze" pojawia się nie tylko genialny fałszerz, ale też geniusz zła – Soboń, który potrafi dostosować się do każdych czasów i zawsze wygrywa. Znamy takie postaci z historii i zwykle nie dosięga ich niestety sprawiedliwość.

Zawsze tacy będą. Soboń, bogobojny chłopak i badacz ciekawej historii Jaksy z Kopanicy, nagle sprzeniewierza się wszystkim zasadom i zaczyna kolaborować z Niemcami. Usprawiedliwia to tym, że pracuje w kulturze, więc co w tym złego. Nie wysyła ludzi do obozów, kradnie dzieła sztuki. I jak wiatr historii zaczyna wiać z innej strony, to on ma dobrze pośliniony palec i umie się ustawić. Nabrał umiejętności, które są uniwersalne.

Zdobył pan najważniejsze nagrody dziennikarskie, kierował prasą lokalną. Jak pan dziś patrzy na tę profesję?

Nie żałuję, że odszedłem z mediów. Przestałem pracować dziennikarsko na początku lat dwutysięcznych, ale zarządzałem gazetami. Przerażała mnie wtedy cenzura ekonomiczna, która bardzo doskwiera prasie lokalnej. Ja przeżyłem też cenzurę polityczną, która była jak dobra ciocia w porównaniu z cenzurą ekonomiczną. W piątek wieczorem dowiedziałem się w Katowicach, że jest kłopot w „Dzienniku Bałtyckim", a ponieważ podobało się to, co zrobiłem z „Trybuną Śląską", poproszono mnie, żebym w poniedziałek objął obowiązki naczelnego w „Dzienniku Bałtyckim". Już mojego pierwszego dnia pracy przybiegł spocony szef wydawnictwa i pokazał mi małą notatkę o tym, że facet złamał nogę w sopockim aquaparku. I okazało się, że ten aquapark należał do Ryszarda Krauzego, który zostawiał w „Dzienniku" dużo pieniędzy, więc nie powinniśmy pisać. Najpierw miałem tę wolność, że mogłem robić to, co chcę, ale potem ta rzeczywistość zmieniła się diametralnie. Dzisiaj mam agencję PR, którą założyłem, żeby zarobić na pisanie. Nie sądziłem, że mógłbym z tego żyć. Nie lubię zarabiania pieniędzy, to mnie w ogóle nie kręci. I wiem, jak to dziś wygląda w mediach: szefowa działu handlowego dzwoni do redakcji i mówi, jak ma być, bo inaczej jakaś spółka zakręci kran z budżetem reklamowym.

Może prasa, media w przyszłości odbudują swoją rolę?

Ja bym się nie zdziwił, bo ludzkość zdobywa się już na refleksję co do internetu i tej sieczki. W literaturze to jest najmocniejsze, bo granica między tworzeniem a wytwarzaniem jest bardzo wyraźna. Łatwo rozpoznać. Nie mówię nawet o ilości, nie potępiam Remigiusza Mroza, który być może się dobrze bawi, a nie pisze na akord dla hajsu. Mówię o jakości książek, część jest pisana tylko po to, aby się sprzedały. To jest brak szacunku dla czytelnika. Dlatego ogromnie się cieszę, że wymagający ludzie przychodzą na moje spotkania i czytają, i uważam się za człowieka absolutnie szczęśliwego, że sprzedaję 30 tys. albo 50 tys. egzemplarzy, a nie 100 tys. czy pół miliona, bo te pieniądze nic by już nie zmieniły. Dbam, by sięgać po czytelnika bardziej wybrednego, który odbiera moją radość z wynajdowania historii, ich dokumentowania i opowiadania. Bo taka jest moja rola – dobrze opowiedzieć historię. Nie mam żadnych ambicji kreatorskich.

Teraz podobno skończył pan pisać książkę zupełnie inną, osobistą. Czy ona może być ryzykowna?

Oczywiście, na każdym spotkaniu mówię, żeby jej absolutnie nie czytać. I wtedy wszyscy pytają: a jaki tytuł? Jest tam dużo zbrodni, ale pilnowałem, żeby wszystkie te morderstwa i okropieństwa były zgodne z historiami, które wydarzyły się naprawdę. I w posłowiu podkreślam, że nie ja je wymyśliłem. Makabrę jako afrodyzjak sprzedaży uważam za zjawisko naganne. Ale tutaj to jest kronika. Więcej było makabry w opisie Goduli wiszącego nad mrowiskiem w „Kołysance" niż opisów zbrodni w „Gołoborzu". Były reportaże, relacje z procesu Zakrzewskich, było trochę dziennikarskich przymiarek, jednak literacko nikt tego jeszcze nie opisał, może w warstwie magicznej Olga Tokarczuk w „Prawieku". Ale nikt nie opisał tamtej mafijnej mentalności, tej polskiej Sycylii, którą ja poznałem, bo stamtąd pochodzę. Ta książka sama mi się pisała. Ta wieś u mnie nazywa się Grabin, naprawdę nazywała się Rzepin. Tam są też, niestety, historie rodzinne i ta saga rodzinna obejmuje czas od powstania styczniowego po lata 90.

Czy ta polska mafijna Sycylia nadal istnieje?

Nie wiem, bo wyjechałem stamtąd 40 lat temu, bardzo rzadko jeżdżę do wsi, z której pochodziła babka, pamiętam ją z przełomu lat 60. i 70. Czułem, że muszę to opisać. Zostałem zresztą wychowany w atmosferze duchów, demonów i przeczuć. Nie wsiadam do samolotów, bo mam przeczucia. Wie pani, ile osób rezygnuje zwykle z lotów? Pięć procent. A z lotów, które kończą się katastrofą? 15 proc. Mam przeczucia i one często się spełniają.

Powieść ukaże się w październiku, tytuł to „Gołoborze". Przeczytam pani początek: „Gołoborze – rumowisko skalne. Nazwa pochodzi od kamiennej pustyni na zboczu Łysej Góry. Kamienne pole jest martwe, ostre krawędzie odłamków skalnych sprawiają, że nie wejdzie tu ani człowiek, ani zwierzę, z kolei brak iłu, a nawet piasku, wyklucza zapuszczenie korzeni przez jakąkolwiek roślinę czy drzewo. Na skalnym rumowisku wygrzewają się w ciepłe dni jedynie jadowite żmije, a nocami spotykają się czarownice, diabły i demony. Według wierzeń ludowych świętokrzyskie gołoborze to miejsce czystego zła".

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl ad2f04fa8d

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Kazik i Kult wystąpią na festiwalu TVN w Sopocie. Fani zniesmaczeni. Bzdura. Właściwy dobór repertuaru w Sopocie może doprowadzić do Belwederu.

●

Krzysztof Gojdź przekazał narodowi, że zrobił sobie modernizację twarzoczaszki, brwi oraz obwisłych powiek za 150 tys. zł. Pamiętam lifting Poloneza w 1983 r. Też nieudany.

© PIOTR KAMIONKA/REPORTER

„Postać barwna, dynamiczna, postmodernistyczna" – tak Janusz Korwin-Mikke oraz wydawnictwo Fala Wolności reklamują jego książkę... moimi słowami, których nigdy nie napisałem. Janusz do dziewiątego roku życia był socjalistą. Teraz kradnie na własną rękę.

●

Jarek Jakimowicz kwestionuje lot Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego w kosmos. Jarek zna się na temacie. Jego kariera już wiele lat temu utknęła w próżni.

●

Michał Piróg, z zawodu obecny w mediach, wyraził zdziwienie na temat celebrytów, którzy nie posiadają żadnych talentów, a mimo to zdobywają popularność. Szacunek. Wie, co mówi.

●

„54-letni Tomasz Iwan dostał mandat za złe parkowanie" – to gazeta.pl. „41-latek wyznał, że strażnicy go nie poznali". To oczywiste. Jak go mieli poznać, skoro w kilka minut odmłodniał o 13 lat.

●

W „Pytaniu na śniadanie" podczas debaty o świeżości jajek widzom ukazał się pasek z napisem „Jajko świerze". Oto dziedzictwo byłego prezesa TVP. Nieprzypadkowo na Jacka mówiono Kura.

●

„Lech Poznań pamięta wpierd.l od prezydenta" – to transparent podczas meczu Lechii Gdańsk i Lecha Poznań. To chyba odpowiedź na słowa pana Karola: „Jeśli ukorzy się lud mój i będą błagać...".

TV Republika rozpaczliwie zbiera 500 tys. zł na transmisję zaprzysiężenia Karola Nawrockiego. Trzymam kciuki. To i tak najniższa cena, jaką zapłacimy za tę prezydenturę.

●

„Serowska dogadała matkom wymuszającym miejsca w samolocie" – to plotek.pl. Nie wiem, kim jest Serowska. Matek wymuszających też nie znam. Z tego przejmującego newsa kojarzę tylko samolot.

●

„Na pewno wolałbym, żeby pisał swoje utwory. A to jest troszeczkę łatwizna i świat dodawania bitów" – to Krzesimir Dębski o twórczości swego syna Radzimira. Imię Krzesimir oznacza „odnawiającego pokój". Ewidentnie Radzimir mieszka w innym.

●

Magdalena Ogórek oraz Michał i Jacek Karnowscy zostali odznaczeni przez prezydenta Andrzeja Dudę. Raków Częstochowa w grudniu 2023 r. też pożegnał się z rozgrywkami Ligi Europy w fatalnym stylu.

●

Influencer Mikołaj Bagiński z grupy Dre$$code wystąpi w „Tańcu z gwiazdami". Youtuber w Polsacie. Zastanawiam się, kto o kim bardziej nigdy nie słyszał. On o Ninie Terentiew czy Nina Terentiew o nim.

●

Jakub Rzeźniczak odwiedził warszawskie zoo i był niezadowolony. Jego gorzkie refleksje przepisali liczni publicyści. Z dziennikarstwem jest jak z polską kadrą. Niektóre powołania są kompletnie bez sensu.

●

„U mnie są dwa miliony, a u ciebie jeden" – tak Krzysztof Ibisz miał utrzeć nosa Hubertowi Urbańskiemu na ramówce Polsatu. Jak widać, kłótnie o kasę to u nich nie tylko rodzinna tradycja.

Doda skrytykowała Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego, który w trakcie jej koncertu w Łodzi robił sobie zdjęcia z fanami. Neil Armstrong pisał we wspomnieniach, że największym zagrożeniem dla astronautów są spadające gwiazdy.

eprasa.pl ad2f04fa8d

Rozmaitości riemannowskie

W imponującym wieku 97 lat zmarł Tom Lehrer (1928–2025), matematyk, piosenkarz i satyryk, którego specyficzne poczucie humoru jest mi tak bliskie, że użyję tej rubryczki, by je spopularyzować. Szczyt jego kariery artystycznej przypadał na czasy Eisenhowera i Kennedy'ego, kiedy Amerykanie byli pochłonięci konformistycznym kultem sukcesu. Mam dużo sentymentu do tej epoki, bo dorastałem, oglądając stare amerykańskie filmy (PRL-owską telewizję stać było głównie na takie, które za oceanem już uważano za ramotę).

Amerykanie nawet po zakupy wychodzili w nich w garniturze i pod krawatem, żeby sąsiad nie zobaczył ich w podkoszulku. Wychodzili? Co ja mówię, wyjeżdżali krążownikiem szos, który nie służył przemieszczaniu się z punktu A do punktu B, lecz pokazywaniu sąsiadom, że właściciel się dorobił. Pozytywny główny bohater, grany np. przez Rocka Hudsona, Jamesa Stewarta albo Spencera Tracy'ego, zazwyczaj był niewykształconym chłopakiem z prowincji, prostym jak lewy prosty (zwłaszcza gdy grał go John Wayne!). Jeśli pojawiał się „jajogłowy", był zazwyczaj postacią negatywną, „doktorem Zło" snującym szatańskie spiski zatrucia Ameryki obcą ideologią.

Rzadko mówiono wprost, że tą ideologią ma być „komunizm". Filmy starały się być ogólnie apolityczne. W westernie „W kraju Komanczów" (1961) jest to hedonistyczny nihilizm, którym ukryty w pustynnej fortecy Wielki Zły (Nehemiah Persoff) zatruwał umysły biednych prostych Indian. No ale nie z Johnem Wayne'em takie numery! Tego Wielkiego Złego często grali aktorzy, którzy z powodu swoich korzeni żydowskich, latynoskich, azjatyckich albo przynajmniej brytyjskich (Christopher Lee!) łatwo mogli być ucharakteryzowani na „element antyamerykański".

> W żadnym kraju, w żadnym ustroju matematyk to nie był zawód dla ludzi kochających drogie samochody.

Tom Lehrer uwielbiał się wcielać w kogoś takiego. Jako zawodowy matematyk odcinał się od kultu „człowieka sukcesu". W żadnym kraju, w żadnym ustroju to nigdy nie była profesja wskazana dla ludzi kochających drogie samochody. Podczas swoich występów podkreślał, że nie musi tego robić, bo „jako nauczyciel matematyki może zarabiać aż 2 tys. dol. rocznie!" (na dzisiejsze to jakieś 25 tys. dol., czyli nadal mniej niż połowa średniej).

Urodził się w Nowym Jorku, ale często przyjmował fałszywy rosyjski akcent. Moja ulubiona piosenka z jego repertuaru to „Lobachevsky". Sugeruje w niej, że to właśnie Nikołaj Łobaczewski (matematyk, który w pierwszej połowie XIX w. przyczynił się do rozwoju geometrii nieeuklidesowej) osobiście udzielił mu najważniejszej porady w jego karierze. A brzmiała: plagiatuj!

Bohater piosenki zabiera się do pisania publikacji na temat „Analitycznej i algebraicznej topologii lokalnie euklidesowych metryzacji nieskończenie różniczkowalnych rozmaitości riemannowskich" (po wyrecytowaniu tego tytułu Lehrer wzdycha „Bozhe moi!"). Oczywiście nie ma o tym pojęcia, ale... ma kumpla w Mińsku, który ma kumpla w Pińsku, którego kumpel w Omsku ma kumpla w Tomsku, z kumplem w Akmolińsku. Jego kumpel w Aleksandrowsku ma kumpla w Pietropawłowsku, którego kumpel pracuje właśnie nad tym zagadnieniem w Dniepropietrowsku. „Moje nazwisko w Dniepropietrowsku będzie przeklęte, gdy się dowie, że opublikowałem jako pierwszy" – śpiewa Lehrer.

Dalsza opowieść to parodia amerykańskiej historii „człowieka sukcesu". Publikacja ukazała się drukiem i zebrała wyłącznie złe recenzje. Ale wytwórnia „Metro-Goldwyn-Moskva" kupiła prawa do ekranizacji za 6 mln rubli. Zmienili tytuł na „Odwieczny trójkąt" i „obsadzili Ingrid Bergman w roli przeciwprostokątnej". I tak bohater piosenki odniósł sukces dzięki cennej poradzie Łobaczewskiego.

Mam tę piosenkę na płycie wydanej w 1960 r., która gra jak nówka sztuka, pierwsze sześć dekad przeleżała pewnie w czyjejś piwnicy. Może nietrafiony prezent? Jako kolekcjoner starych winyli takie uwielbiam najbardziej. Na okładce – Lehrer śpiewający przy fortepianie ze sceny dla niemal pustej widowni. Notka na rewersie informuje, że jedna z piosenek pochodzi z 1945 r. i „fakt, że Tom Lehrer wykonuje ją nadal po 15 latach, świadczy o jego całkowitym braku elementarnej przyzwoitości". Mamy też obowiązkową polecankę: „Jeśli nie spodobała ci się ta płyta, z pewnością nie spodobają ci się też następujące płyty tego wykonawcy".

Prawdziwy życiorys Lehrera do dziś jest trochę tajemniczy, pracował bowiem m.in. dla specjalizującej się w szyfrach Narodowej Agencji Bezpieczeństwa – służby tak tajnej, że przez wiele lat zaprzeczano jej istnieniu. Skrót NSA czasem żartobliwie jest rozwijany jako „No Such Agency" (Nie ma takiej agencji). Pracując dla niej, Lehrer napisał pracę o stochastyce. Odtajniono ją dopiero w 2018 r. W bibliografii umieścił m.in. fikcyjną pracę ze swojej piosenki. Przez 60 lat ten żart był tajny. To imponujące, że Lehrer dożył ujawnienia! Cóż, nauki ścisłe i czarny humor konserwują (tak się w każdym razie pocieszam).

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl ad2f04fa8d

FELIETON

Koziołek

Escape apartment

Co nam chcą sprzedać? – zagadnąłem sąsiadkę wpatrzoną w ulotkę.

– Wizytę w „escape room"; co to jest? – podała mi kartkę, na której była piramida i pytanie, czy odważę się wejść do Grobowca Kleopatry.

– Taki pokój z zagadkami, z którego nie da się wyjść, dopóki się ich nie rozwiąże. Zwykle te pomieszczenia przypominają jakieś filmy albo zdarzenia historyczne – objaśniałem, choć nigdy w takim nie byłem.

– O, to fajne! – ożywiła się. – Ja bym zamknęła tam nowych posłów, zanim dostaną karty do głosowania. Po kolei w czterech: Stodoła w Jedwabnem, Chałupa na Wołyniu, Tupolew nad Smoleńskiem, Kontener z Uchodźcami. Mogliby wyjść dopiero po złożeniu obietnicy, że będą robić politykę tak, aby żaden polski obywatel nigdy się w takim prawdziwym miejscu nie znalazł.

W nowej książce Mikołaja Grynberga „Rok, w którym nie umarłem" jest wiele tragikomicznych scen. Jedna rozgrywa się podczas pogrzebu Marka Edelmana:

„Jak myślisz, ile tu jest osób? – zapytał mój syn. (...)

Myślę, że tysiąc pięćset na pewno – odpowiedziałem po chwili namysłu.

Jak to policzyłeś?

W wagonie mieściło się od osiemdziesięciu do stu dwudziestu osób. Dla prostego rachunku przyjąłem sto. W samej alejce dziesięć wagonów plus pięć porozrzucanych wokół. Wyszło mi z grubsza tyle.

Tato, zwariowałeś?".

Chciałbym doczekać polityka, który starałby się o moje dobro, a nie o głos. I miałby odwagę nic mi nie obiecać.

Ten dialog przemawia mi do wyobraźni mocniej niż najdokładniejsze dane historyczne. Zamiast dodawać wiedzy, powiększa mi wyobraźnię. A ta nie wdaje się ze mną w dyskusję, ilu zginęło, kto ratował, a kto donosił; ani tym bardziej nie udowadnia kolejny raz, że było to, co było. Czyni mnie po prostu bohaterem tej historii. Nawet najbardziej realistyczna i oparta na faktach fikcja nie zrezygnuje ze sztuczek pobudzania emocjonalnej wyobraźni czytelnika. Uruchomienie tej czynności umysłu podczas lektury powoduje stan, w którym to, co inne, a nawet obce, staje się moim własnym. Bo żeby prawda działała, trzeba się nią przejąć, czyli uznać za swoją. Niestety, to oznacza, że historia potrzebuje literatury.

Okazuje się, że faktom można zaprzeczyć; nawet tak porażającym, jak istniejące relikty Zagłady. O wiele trudniej za to zaprzeczyć prawdzie tego, co czujemy, czytając Jeana Améry'ego, Tadeusza Borowskiego, Annę Frank, Hannę Krall, Claude'a Lanzmanna, Prima Leviego. Jesteśmy „tam", ale w każdej chwili możemy odłożyć najstraszniejszą nawet książkę i przypomnieć sobie, że to tylko słowa, choć zrodziła je najstraszniejsza rzeczywistość. Dlatego czytanie lub słuchanie porywających opowieści jest ćwiczeniem obywatelskim o niezwykłej wadze dla życia wspólnego – trenujemy w ten sposób myślenie spekulatywne wypływające z pytania: „Co by było gdyby...", a zwłaszcza: „...gdybym był?". Opowiadał mi kolega, że jego mama w czasie wojny przechowała w swoim domu kolejno polskiego żołnierza z kampanii wrześniowej, dwie żydowskie dziewczyny, a na koniec rannego Niemca, który ukrywał się przed Rosjanami. Wszyscy przeżyli. Co ja bym zrobił, gdyby pojawili się na moim podwórku?

Wyobraźnia szczególnie się przydaje, gdy mamy do czynienia z fikcją, która rozważa różne warianty przyszłości. Jeśli dobrze napisana, skłania do myślenia o tym, co może się wydarzyć. Z tym mamy dziś największy problem – z wyobrażaniem sobie przyszłości, która nie jest katastrofą. Mam poczucie, że utknęliśmy w globalnym escape roomie, po którym miotamy się w poszukiwaniu wyjścia.

Ech, chciałbym doczekać polityka, który będzie się starał o moje dobro, a nie o mój głos. Który miałby odwagę nie tylko nic mi nie obiecać, ale nawet odmówić mi moich roszczeń. Wytłumaczyć mi, że dla mojego dobra nie powinienem decydować, czego i jak długo powinny się uczyć w szkole moje dzieci; że jeżdżę zbyt szybko samochodem lub hulajnogą albo że muszę dobrze traktować gości w moim kraju. Doczekać polityka, który mnie, wyborcę, traktowałby jak dorosłego, a nie zabiegał o moją miłość rozkapryszonego dziecka, które dziś nie chce węgla, jutro wiatraków, a pojutrze atomu. A przede wszystkim byłby ze mną w polskim i światowym escape roomie i pracowałby ze wszystkich sił, żebyśmy z niego wyszli.

Tyle marzenia. Z bezradności powierzamy rozwiązanie zagadki populistom, którzy i tak przerzucają ją na nas, wyborców, wdzięcząc się do suwerena, który najlepiej wie, czego potrzebuje i jaki powinien być system zdrowia, sądownictwa, polityki zagranicznej, edukacji, energii.

My, naród, gramy w tę grę trochę cynicznie, trochę bez wyboru, wiedząc, że w biedzie i tak trzeba będzie liczyć na siebie. Co zamożniejsi Polacy od wybuchu epidemii, a zwłaszcza wojny w Ukrainie, kupują mieszkania i domy możliwie daleko od Polski. Swoją drogą, ciekawe, ilu posłów, senatorów i wszystkich innych odpowiedzialnych z urzędu za nasze bezpieczeństwo w chwili zagrożenia zamieniłoby „escape room Polska" na „escape apartment" – w Hiszpanii albo gdzieś.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl ad2f04fa8d

Chutnik Plebanek

Przetrwają koleżanki

Stały czytelnik naszych felietonów zapytał Sylwię, nieco żartobliwie, czy nie znudziło nam się „feminizowanie" w tekstach. Skoro piszemy o kobietach, to czy zwracamy się głównie do nich, pomijając mężczyzn? Odpowiedź brzmi: nie. Nie piszemy tylko dla kobiet, nie pomijamy nikogo, nie znudziło nam się domaganie się równych praw obywatelskich dla wszystkich (tu: „feminizowanie").

Wchodzenie w „wojnę płci" nie popycha spraw naprzód, za to próby analizowania zmian archetypów i mitów dotyczących płci – jak najbardziej. Francuska eseistka Léane Alestra w znakomitej książce „Les vigilantes" (Czujne) analizuje fenomen kobiet prawicy. Te, które zaistniały na scenie politycznej dzięki zdobyczom feminizmu (dostęp do nauki, prawa obywatelskie, praca zawodowa itd.), dziś głoszą hasła ultrakonserwatywne. Alestra na przykładzie m.in. Marine Le Pen i Giorgii Meloni pokazuje, jak daleko może zajść kobieta w świecie zdominowanej przez mężczyzn polityki, wychwalając wartości patriarchalne. Ten życiowy spryt zdają się dzielić influencerki spod flagi *tradwives*. Tytułowe czujne rozumieją, że patriarchat ma się dobrze i aby w nim przetrwać, nie warto się buntować. Od sufrażystek i #MeToo po powrót do prasowania mężom koszul i czekania, aż wydzielą grosiwo ze swojej pensji – karkołomna to wolta.

Spotkania kobiet nazywano sabatami czarownic. Były czymś podejrzanym, zagrażającym pozycji mężczyzn.

Z kolei książka „Po męstwie" Wojciecha Śmiei zachęca do refleksji, jak na nowo opowiedzieć historię Polski przez pryzmat przemian znaczenia pojęcia mężczyzny. Autor przygląda się, czym jest konstrukt męskości, obecnie w ciężkich opałach. Warto na bieżąco omawiać zmiany, bo nic już nie jest tak oczywiste, jak mogłoby się wydawać. Ot, choćby definicja braterstwa rozumianego jako męska przyjaźń, która może zmienić świat. Solidarność, wsparcie, lojalność, toż to samo dobro. W przypadkach mniej chlubnych mamy do czynienia ze zjawiskiem zwanym *Boy's Club*, imprezami zakrapianymi alkoholem, z obowiązkowym podrywem i leczeniem kaca. To już obszar toksycznej męskości, którą brzydzi się wielu mężczyzn, choć na świecie są i fani filmów typu „Kac Vegas".

Manosfera, rozumiana jako przestrzeń w sieci, gdzie mężczyźni mogli wspierać się i edukować, rozczarowuje. Lądują tam rady, jak manipulować kobietami, a oddzielny krąg piekielny stanowią zakątki dla tych, którzy chcą się migać od płacenia alimentów. Ale bywa gorzej. Na Telegramie odkryto tajne grupy zrzeszające ponad 70 tys. osób, które wymieniały się filmami rejestrującymi przemoc seksualną, prowadziły pogaduszki o gwałtach na siostrach i matkach, oferowały żony do wykorzystywania seksualnego. Wszystko to po głośnym procesie we Francji, gdzie skazano męża, który odurzał żonę Gisèle Pelicot, by zarabiać na tym, że nieprzytomną gwałcili zaproszeni przez niego mężczyźni.

Na tegorocznym festiwalu teatralnym w Awinionie pokazano sztukę opartą na tragedii kobiety. Reżyser Milo Rau mówi, że kultura gwałtu i przemocy zagarnia kolejne pokolenia. Jego spektakl to proces. Na ławie oskarżonych – patriarchat. Rau tłumaczy: „Patriarchat to barbarzyński system, który zniszczy nas wszystkich". Ma rację, maczystowscy przywódcy supermocarstw już wysyłają na wojny młodych mężczyzn i kobiety.

Tym cenniejsze staje się podejmowanie kwestii siostrzeństwa i kobiecych przyjaźni. W eseju „BFFs. The Radical Potential of Female Friendship" („Najlepsze przyjaciółki. Radykalny potencjał kobiecej przyjaźni") Anahit Behrooz przedstawia koleżankowanie się jako formę przetrwania. Wyznaje, że zawsze miała pecha w romansach i szczęście w przyjaźniach. Jednak kobieca przyjaźń – w przeciwieństwie do męskiej – była w patriarchalnym świecie na cenzurowanym. Spotkania kobiet nazywano sabatami czarownic. Były czymś podejrzanym, zagrażającym pozycji społecznej i finansowej mężczyzn oraz władzy, także domowej. To nadal wielki straszak dla niezbyt pewnych siebie panów. Tak zwana rodzina nuklearna miała odciąć żonę od innych osób, by pełną satysfakcję życiową zapewniał jej mąż, dzieci i sprzątanie domu.

Tymczasem popkultura pokazuje wspaniałe przykłady kobiecej przyjaźni: powieści Eleny Ferrante, hity filmowe jak „Thelma i Louise" czy „Dirty Dancing", który – choć uchodzi za taneczny romans – zawiera ważny wątek wspierania się kobiet. Nie trzeba zresztą sięgać do przedstawień przyjaźni w kulturze, bo większość kobiet ma przyjaciółki, a im jesteśmy starsze, tym bardziej cenimy głębokie relacje kobiece, te sprawdzone, „na dobre i na złe". Na festiwalu Góry Literatury Anda Rottenberg powiedziała, że kiedy poznaje nowego partnera którejś ze swoich przyjaciółek, mówi mu od razu, że nie ma racji. Nie dlatego, że z góry go przekreśla. Chce dać mu do zrozumienia, że jej rolą jest wspierać najbliższą osobę. Ta bezwarunkowa solidarność nie oznacza wrogości, lecz świadczy o potencjale przyjaźni.

O to też chodzi nam w felietonach. O zachowanie równowagi. Odczarowanie upiora solidarności kobiet, którym straszy nas patriarchat: „Widzicie? To tylko przyjaźń. Nie ma się czego bać".

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl ad2f04fa8d

Absurdy biurokracji

Mam 90 lat i związane z wiekiem trudności w poruszaniu. Córka często podwozi mnie samochodem w różne miejsca, ale są kłopoty z zaparkowaniem w pobliżu wejścia do miejsca przeznaczenia. Postanowiliśmy zatem załatwić kartę parkingową. Ponieważ dodatek pielęgnacyjny dostałem 15 lat temu „z urzędu", miałem nadzieję, że sprawa będzie prosta. Okazało się jednak, że „św. Biurokracy" ma swoich gorliwych wyznawców, którzy wymagają takich dokumentów jak:

– wniosek o wydanie karty parkingowej (według załączonego wzoru) składany do wybranego przewodniczącego powiatowego zespołu do spraw orzekania o niepełnosprawności;

– jedna fotografia o wymiarach 35 mm × 45 mm, odzwierciedlająca aktualny wizerunek osoby, której wniosek dotyczy, przedstawiająca tę osobę bez nakrycia głowy i okularów z ciemnymi szkłami;

– oryginał dowodu uiszczenia opłaty za wydanie karty parkingowej (brak możliwości dokonania opłaty gotówką w siedzibie zespołu);

– do wglądu oryginał prawomocnego orzeczenia o niepełnosprawności, o stopniu niepełnosprawności lub o wskazaniach do ulg i uprawnień wraz ze wskazaniem;

– dowód osobisty osoby niepełnosprawnej, dowód osobisty przedstawiciela ustawowego – do wglądu.

Następnie trzeba czekać 30 dni i dostaje się dokument ważny maksimum pięć lat. Dodatkowym utrudnieniem jest konieczność uzyskania orzeczenia niepełnosprawności (co najmniej dwa miesiące oczekiwania) i konieczność przedstawienia do jego uzyskania całej litanii orzeczeń i zaświadczeń specjalistycznych przychodni lekarskich (jakby lekarze mieli zbyt mało obowiązków).

Oddzielnym tematem jest problem schodków bez poręczy przy wejściach do przeróżnych lokali, niewielka liczba ławek na skwerach i nagminne „krótkie zielone" światła na przejściach dla pieszych.

Po tych doświadczeniach przekonałem się, że prześmiewcze hasło z czasów PRL-u: „Emeryci i renciści popierajcie Polskę czynem – umierajcie przed terminem" jest nadal w pełni aktualne.

JÓZEF RUSIECKI

Ewa Siedlecka wygrała w Strasburgu

Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał w wyroku dotyczącym skargi naszej dziennikarki, że podczas jej zatrzymania na demonstracji 10 czerwca 2017 r. (protest Obywateli RP podczas tzw. miesięcznicy) doszło do naruszenia art. 5. Europejskiej Konwencji Praw Człowieka (prawo do wolności i bezpieczeństwa osobistego). A polskie władze nie dowiodły, że zastosowane środki przymusu, skutkujące pozbawieniem wolności, miały wystarczającą podstawę prawną i były niezbędne do sprawdzenia tożsamości. Zasądzone odszkodowanie w wysokości 3 tys. euro Ewa Siedlecka zamierza przeznaczyć na Obywateli RP. Jak podkreśla: „Pozbawienie wolności przez legitymowanie to jest cały czas trwająca praktyka policyjna, ten wyrok zobowiązuje państwo polskie do wyeliminowania takich sytuacji (…). Mam nadzieję, że nowy minister sprawiedliwości zapozna się z tym wyrokiem i podejmie jakieś kroki legislacyjne".

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00
CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki *(Wiceprezes)*,
Katarzyna Białek, Bartek Chaciński
DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY
Katarzyna Białek
Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Mariusz Janicki *(Pierwszy Zastępca)*,
Witold Pawłowski, Bartek Chaciński

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*,
Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*
PROJEKTY SPECJALNE *tel. 22 451-61-93*
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30*,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl
PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16*,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

WYDANIE INTERNETOWE
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Kontakt w sprawie bezpieczeństwa produktu: gpsr@polityka.pl

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

eprasa.pl ad2f04fa8d

„Seks” czy wpadka

Zjawisko hate-watchingu, oglądania tylko po to, żeby się zżymać, weszło na nowy poziom dzięki serialowi „I tak po prostu”. Kiedyś jego bohaterki były wyrocznią w sprawach mody i obyczajów, dziś stają się pośmiewiskiem.

TREND

Jakże nisko upadają wielcy – chciałoby się zakrzyknąć. Z powagą i wagą, jaką daje ten cytat, mimo że kontekstem rozważań jest tu kultura popularna. Nieco ponad dwie dekady temu – według standardowych miar to wciąż ta sama epoka, jednak dla mediów i social mediów to epok jest co najmniej kilka – serial „Seks w wielkim mieście” otaczał kult. Rozpisany na sześć sezonów (1998–2004) relacjonował przygody erotyczne i obyczaje czterech kobiet żyjących w Nowym Jorku, boksujących się z ówczesnymi normami społecznymi. Istotna była też ekranowa moda: bohaterki lansowały trendy – czy to na konkretnych projektantów (szpilki od Manolo Blahnika!), czy styl (choćby romantycznej wielkomiejskiej księżniczki bądź ekscentrycznej pisarki), a nawet drinki (Cosmopolitan). Do języka weszły powiedzonka zasłyszane na ekranie (choćby „absofuckinglutely” – „absocholerutnie”), a niejedna ówczesna młoda osoba przyznawała, że wpływ na jej światopogląd i relacje miały dziewczyny z „Seksu”.

Dziś te ostatnie – także jako bohaterki kręconej po latach kontynuacji „Seksu”, serii **„I tak po prostu”** – stały się obiektem kpin, drwin i hate-watchingu, czyli oglądania dla nieprzyjemności. Publika, niczym Rzymianie oglądający potyczki gladiatorów, kciuk niegdyś podniesiony do góry dziś opuściła. Chociaż wcale nie chce, żeby serial zniknął – cały wic polega na tym, żeby znaleźć ujście dla negatywnych emocji.

Nie jest to zjawisko nowe, w sieci można znaleźć zestawienia seriali, które celują w zbieraniu nienawiści. Ale teraz osiąga nową skalę. Internet masowo, w tym pokolenie zetek, ogląda i oryginalny „Seks”, i uruchomioną w 2021 r. kontynuację głównie po to, aby drwić, wyśmiewać i budować piętrowe złośliwości.

Alissa Wilkinson na łamach „The New York Times” pisze, że „hate-watching to bliski krewny doomscrollingu, czyli nawyku oglądania treści burzących spokój, charakterystycznego dla populacji uzależnionych od ekranu”. O co chodzi? Dawniej oglądaliśmy seriale i przeglądaliśmy social media, żeby szukać znane i lubiane treści, które także chętnie podrzucały nam algorytmy. Dziś te ostatnie pokazują nam głównie to, co budzi furię. I właśnie te treści zachęcają nas do wyrażania gorących opinii.

Aby się przekonać o tym, jak wiele osób ogląda „I tak po prostu”, żeby następnie każdy kolejny odcinek grillować, wystarczy otworzyć wrota TikToka. We wrzucanych tam filmikach twórcom dostaje się za błędy fabularne (ojciec jednej z postaci umarł dwukrotnie; scenarzyści ratowali się tłumaczeniem, że uśmiercili ojca i ojczyma), psychologiczne niedorzeczności (dlaczego bohaterka, która była zawsze pragmatyczną twardzielką, nagle histeryzuje i zachowuje się jak dziecko) oraz coś, co nasi politycy także kochają piętnować: odklejenie elit (bohaterki robią dramę, gdy mają źle przyklejone rzęsy albo zgubią drogą torebkę).

Pod pręgierzem staje też moda. I faktycznie jest o czym rozmawiać, bo o ile w pierwszym serialu była ona doskonale zgrana z osobowością i stylem życia bohaterek – np. prawniczka nosiła się konserwatywnie, specjalistka od PR-u w sposób przyciągający uwagę – o tyle dziś większość kreacji wygląda jak efekt nieudanej grupowej wizyty u stylistki.

Głównej bohaterce Carrie dostało się choćby za przedziwny czepiec, szyderczo ochrzczony biszkoptem z truskawkami, przeskalowane sukienki, dziwne torebki. Inne postaci obrywają za kosztowne, wkładane tylko raz i traktowane z przesadnym nabożeństwem sukienki czy buty. Kostium filmowy, który powinien dookreślać ekranowe postaci, wyszedł przed szereg i zaczął je przyćmiewać. I stał się chłopcem do bicia internetowej piany.

Zjawisko niepokojące, ale niekoniecznie dla popularności serialu. Krytyczka „The New York Times” puentuje swój tekst konstatacją, że w dzisiejszych czasach miłość fana i nienawiść hate watchera to dwie strony tej samej monety – gwarantujące treściom popularność. „Dziś przeciwieństwem uwielbienia jest nie niechęć, ale obojętność”. Także dlatego takim zaskoczeniem była niedawna decyzja twórców, by zamiast cieszyć się z hate-watchingu, serial zakończyć na trzecim sezonie. ■

Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

eprasa.pl ad2f04fa8d

WIRAL

Daj no Dino

Jeśli się wczytać w komentarze pod internetową petycją przeciwko budowie Dino w warszawskiej dzielnicy Wilanów, okazuje się, że mieszkańcom tak naprawdę chodzi o nadmiar supermarketów w okolicy, zwiększony ruch i troskę o dzieci z pobliskiego żłobka. W mediach społecznościowych nagłośnione zostały jednak inne opinie, gdzie wejście sieci sklepów jest niemile widziane, jest ona bowiem kojarzona z prowincją, wsią. Całkiem słusznie – to tam polska firma głównie prowadzi działalność, chociaż posiada również sklep na wrocławskim rynku.

Ale mamy tu internetowy samograj: elitarna warszawka z Wilanowa pluje na prowincję. Memy piszą się same („Internauci mają BEKĘ i robią śmieszne MEMY", relacjonuje portal Nasze Miasto). Większość obrazków to grafiki stworzone za pomocą sztucznej inteligencji, przedstawiające bardziej prestiżowe wersje Dino – zamiast standardowego budynku ze spadzistym dachem są pałace, złote posągi, luksusowe samochody zaparkowane przed marketem i klienci w drogich sukniach czy garniturach. Nie próżnuje TikTok – powstała piosenka „To nie Dino, to DAJNO", nagrana przez użytkowniczkę @annairda_music; w skeczach zaś tiktokerzy wcielają się w rolę zadufanych warszawiaków narzekających na prowincjonalny market, który nie pasuje do ich dzielnicy.

Przy okazji wróciły także memy podkreślające ważną rolę, jaką Dino odgrywa na prowincji (wejście marki na „wieś zabitą dechami" porównuje się do boskiej interwencji albo obrazów podboju Ameryki). Rzecz zahaczyła również o politykę. Autor złośliwego mema przedstawiającego Trzaskowskiego, który „mówi": „A teraz pójdziemy do Dino po ziemniaki", nie spodziewał się pewnie, że stałymi klientami Dino są Anne Applebaum i Radosław Sikorski – wicepremier i szef MSZ poinformował o tym fakcie grzejącego temat „podziałów klasowych" europosła PiS Patryka Jakiego.

Tymczasem Dino nie otwiera się w żadnej „luksusowej" dzielnicy, ale w należących do Wilanowa Zawadach, dawnej wiosce, która wygląda jak przeciętne polskie przedmieście.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

O pocie i pocieszeniu

Ktoś pokazał w sieci swoje wyniki z egzaminu maturalnego: angielski, polski i matematyka prawie na 100 proc. Pojawił się komentarz „spocuch". To ciągle echo wielkiej popularności słowa „spoceniec", które od kilku lat towarzyszy przede wszystkim grom wideo. Ci, którzy szczególnie się starają o wygraną, przedkładając zwycięstwo nad przyjemność z gry, nazywani bywają – przez złośliwych przegranych, rzecz jasna – „tryhardami" (od ang. *try hard* – usilnych starań), a po polsku właśnie „spoceńcami". Jedni oceniają drugich przez pryzmat własnych umiejętności: w oczach bambika (pamiętamy to słowo z polityki – słaby, początkujący gracz) każdy, komu wygrana przychodzi lekko i naturalnie, wydaje się spoceńcem. Zawsze to jakieś pocieszenie dla przegranego.

Z drugiej strony: nic tak nie odbiera przyjemności jak frustracja po kolejnym starciu z ambitnymi graczami. Jak to ujął użytkownik platformy X: „Gierki tracą swój urok, gdy chcesz zbudować miasto, zrobić fajną armię, a trafiasz na spocucha, co cię raszuje scoutami", gdy w myśl zasady „nec Hercules contra plures" jego „fajną armię" zaatakowała chmara drobnych jednostek zwiadowców zbudowanych przez przeciwnika szybko, na samym początku kampanii.

Spoceniec często bywa mylony ze spocuchem, czyli – jak definiuje to miejski.pl – „agresywnym, zacietrzewionym osobnikiem nałogowo wypisującym nienawistne komentarze w mediach społecznościowych". Pada tam nawet przykład: „Kamil to typowy spocuch. Zakolak po podstawówce, który cały czas siedzi w necie i obraża innych, ale sztywniutko twierdzi, że walczy z wrogami narodu". Jedna z użytkowniczek serwisu X oberwała za swój wpis – jak sama pisze – „kiepską kurtyzaną", czyli została obrażona. „Zapewne jakiś spocuch" – komentowano.

Z drugiej strony, przeglądając przykłady użycia słowa, trafiłem na film z celebrytą, który prezentował przed kamerą obnażony, spocony tors. „Lans na spocucha" – brzmiał komentarz. Bo czasem, szczególnie w odpowiednich warunkach pogodowych, pot to po prostu pot.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Dumna mama, dumny blok, dumna cała dzielnia,
Stawiam duży krok w balenci, to przepowiednia, która się spełnia
Otsochodzi, Ból, 2025 r.
balenci – buty Balenciagi

© HBO MAX, TADEUSZ WYPYCH/REPORTER, KIMDAMAN/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ad2f04fa8d

Mona Lisa na urlopie

Najsłynniejsze muzea Europy w sezonie przeżywają oblężenie. Sztuka na tym cierpi. Często dosłownie.

Nadmierna turystyka, która od lat jest zmorą wielu europejskich miast, zaczyna gnębić najpopularniejsze muzea. Muzeum Palazzo Maffei w Weronie niedawno upubliczniło nagranie, na którym turysta pozuje do zdjęcia z jednym z dzieł sztuki – krzesłem artysty Nicoli Bolli, wyłożonym kryształkami Swarovskiego. Po kilku podejściach siada na nim, a obiekt załamuje się pod jego ciężarem. Turysta wraz ze swoją partnerką pospiesznie opuszczają salę. Pary nie udało się zatrzymać, ale na szczęście krzesło zostało odrestaurowane.

Z kolei w galerii Uffizi we Florencji jeden z turystów niefortunnie zrobił krok do tyłu, kiedy usiłował zapozować do zdjęcia w tej samej pozie, co mężczyzna na portrecie – Ferdinando de' Medici, wielki książę Toskanii, namalowany przez Antona Domenica Gabbianiego. Jego but zrobił dziurę w płótnie zaraz obok prawego buta księcia. Tego sprawcę na szczęście udało się od razu zidentyfikować. Obraz wciąż jest w renowacji.

Protest przeciwko turystom zorganizowali pracownicy Luwru. Kilka tygodni temu w ramach spontanicznego strajku nie otworzyli drzwi o dziewiątej. Dzienną liczbę turystów ograniczono do 30 tys. (z dotychczasowego limitu 45 tys.), ale obsługa i tak narzeka na przemęczenie.

Oprócz Luwru na nadmierną turystykę skarżą się choćby Rijksmuseum w Amsterdamie czy Muzea Watykańskie w Rzymie. Pracownicy przekonują, że odwiedzający nie są szczególnie zainteresowani dziedzictwem ludzkości – mkną przez kolejne sale w pogoni za obrazami i rzeźbami, z którymi koniecznie muszą sobie zrobić zdjęcia. Są też tacy, którzy szukają w galeriach chłodu klimatyzacji, kiedy przez Europę przetacza się fala upałów. Efekt? Zatłoczone sale, przemęczeni pracownicy, zagrożone dzieła sztuki.

Muzea powstały, by chronić kulturalne dziedzictwo ludzkości i udostępniać je do kontemplacji. Jednak ceną popularności jest stopniowa zmiana ich funkcji. Na wakacjach ludzie szukają raczej rozrywki, okazji do zrobienia zdjęcia czy atrakcji dla dzieci.

Placówki muzealne starają się na różne sposoby walczyć z tym problemem. Wprowadzają np. wymóg rezerwacji wizyty na konkretną godzinę, by usprawnić przepływ ludzi. Na takie rozwiązanie zdecydowały się chociażby Muzea Watykańskie. Z kolei Luwr postawił na edukację odwiedzających. Planuje szeroko zakrojoną renowację, podczas której zaprojektowany zostanie „szlak Mony Lisy". Pozwoli on turystom zapoznać się z historią i kontekstami obrazu, zanim na niego spojrzą. By wyruszyć na szlak, będą musieli kupić oddzielny bilet – jeszcze nie wiadomo, ile będzie kosztował. Dyrekcja nie ukrywa, że główną motywacją zmian jest rozproszenie tłumu.

Z kolei Rijksmuseum kilka lat temu prowadziło kampanię przeciwko robieniu zdjęć. Wprawdzie nie zakazało tego wprost, ale zawiesiło nad wejściem znak z przekreślonym aparatem. Zachęcało odwiedzających, żeby zaczęli szkicować dzieła – „by spojrzeć uważniej na piękno sztuki". Nie wiadomo jednak, czy rysunki zyskały więcej lajków na Instagramie niż fikuśne selfie.

Na szczególną uwagę zasługuje inicjatywa galerii Uffizi. W ramach projektu „Uffizi Diffusi" (Rozproszona Uffizi) dyrekcja zdecydowała się przenieść niektóre dzieła do innych miejscowości w Toskanii. Miasteczka i wioski w całym regionie udostępniały lokalne muzea lub inne miejsca, w których można było prezentować dzieła sztuki ze słynnej galerii.

Na pierwszy ogień poszedł fresk Andrei del Castagno, który przedstawia Dantego. Wyruszył w podróż do rodzinnej miejscowości malarza Castagno d'Andrea. W ciągu czterech lat udało się zorganizować 22 takie wystawy w 13 miejscowościach. Ruch w lokalnych muzeach wzrósł o 30 proc. Dodatkowo dzięki tej akcji turyści odwiedzili nie tylko Florencję, ale także mniejsze miejscowości w Toskanii. Może więc czas wysłać na urlop także Monę Lisę? ■

Urszula Jabłońska
– reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

© ALEXANDRA LANDE/SHUTTERSTOCK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ad2f04fa8d

Gdziekolwiek pojedziecie, robią tam wino. Warto o tym pamiętać.

Rubieże wina

Dokąd wybrali się państwo w tym roku na wakacje? Zakładam, że nie nad polskie morze albo jeziora, bo gazety donoszą o fatalnym obłożeniu ośrodków wypoczynkowych. Zatem jak co roku do Chorwacji, Grecji, Turcji, a może gdzieś dalej?

Ja w tym sezonie eksploruję Bałkany i na każdym kroku napotykam wino. Oczywiście lokalne. Czy góry, czy doliny, czy morskie wybrzeże; czy bardzo upalnie, czy trochę chłodniej – winorośl rośnie wszędzie. Chleb i wino to podstawa diety we wszystkich krajach bałkańskich od czasów starożytnego Rzymu (któremu zawdzięczamy ogromny rozwój winiarstwa) albo i wcześniejszych. Nawet w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, np. w Kosowie, kraju bądź co bądź muzułmańskim, który boryka się z rozmaitymi problemami strukturalnymi i politycznymi, z uporem godnym lepszej sprawy (a może nie ma lepszej?) sadzi się rdzenne odmiany, przycina winną łozę, dba o winogrona i fermentuje zaiste całkiem dobre trunki.

Rok temu pisałem o fenomenie win wakacyjnych, które świetnie smakują na miejscu, w pięknych okolicznościach przyrody, gdy jesteśmy wypoczęci i dobrze nastawieni do życia, natomiast pamiątkowe butelki po przetransportowaniu do Warszawy albo Olsztyna tracą w znacznej mierze swój powab. Tym razem zaś bez żadnej ironii – ale i bez taryfy ulgowej – przyglądam się rozwojowi winiarstwa w poszczególnych krajach i jestem pod wrażeniem.

Weźmy taką Serbię. Najludniejsza z republik nieodżałowanej Jugosławii winiarsko zawsze była w cieniu innych i do dzisiaj pije się tu w znacznej mierze wino importowane z sąsiedniej (i dużo tańszej) Macedonii. Na świecie o winach serbskich nie wie się nic, bo ich nie eksportują, a obecna sytuacja polityczna nie zachęca, by się nimi życzliwie interesować. Tymczasem warto! Prężnie działa tu lokalna scena win naturalnych i niskointerwencyjnych. Tacy winiarze jak Bikicki robią wina pomarańczowe światowej klasy. Na nowo odkrywane są historyczne odmiany, takie jak tamjanika, smederevka, doskonały czerwony prokupac dający lekkie wina w stylu pinot noir czy kadarka, której najstarsze krzewy na całym świecie – zasadzone jeszcze w 1880 r. – rosną właśnie w Serbii u Oszkára Maurera.

Wina z Bułgarii to przypadek odwrotny. Od lat 80. rekin eksportu sprzedawał swoje pełne słońca i owocu wina czerwone, zanim sąsiednie kraje zaczęły w ogóle o tym myśleć. Łezka w oku się kręci na wspomnienie kultowego Château Slavyantsi albo Caberneta Dve Mogili, którymi zapijaliśmy się w czasach wczesnego Wałęsy. Potem jednak świat ruszył do przodu, a Bułgaria została w miejscu, czyli się cofnęła. Sprywatyzowane PGR-y nadal robiły przewidywalną masówkę, której zaletą była już tylko niska cena. Za chwilę jednak RPA i Hiszpania stały się jeszcze tańsze i Bułgaria zaczęła tracić rynek.

Tymczasem tego lata w Sofii doznałem szoku. W winotece Apollo (polecam) postawiono przede mną tuzin butelek i jedna była lepsza od drugiej. A przy tym zupełnie przeczyły stereotypowi win bułgarskich: tanich, prostych, ciężkich i topornych. Biele zachwycały świeżością i czystym owocem, czerwienie były lekkie, soczyste i idealne na lato – bo oprócz caberneta i shiraza Bułgaria ma w zanadrzu znacznie lżejsze odmiany, jak gamza, pamid czy melnik. Do tego są to wina, biorąc pod uwagę jakość, zwyczajnie tanie, nawet najlepsze butelki nie przekraczają granicy 20 euro (od której, przypominam, nasi rodzimi winiarze dopiero rozpoczynają rozmowę).

Wszędzie, gdzie podróżowałem, sięgałem po właśnie takie wina lokalne i doskonale na tym wychodziłem. Mimo licznych problemów z lokalną polityką i globalnym rynkiem winiarstwo się rozwija. Winiarze to zwykle najlepiej wykształceni i najbardziej otwarci ludzie, jakich spotkacie na rubieżach. A butelka wina z ładną etykietą i pyszną zawartością potrafi być najlepszą wizytówką odległego obcego kraju. ■

WINO

Wojciech Bońkowski
– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Novak Floricica 2023 (Mołdawia), 59 zł (winnicemoldawii.pl)
Villa Melnik Melnik Reserve Aplauz 2021 (Bułgaria), 104,99 zł (rafa-wino.pl)
Labi Wine Vranç Reserve 2020 (Kosowo), 15 euro
(na miejscu lub internety zagraniczne)
Paşaeli Çalkarası Blush 2024 (Turcja), 15 euro
(na miejscu lub internety zagraniczne)
Ivanović Prokupac 2022 (Serbia), 20 euro
(na miejscu lub internety zagraniczne)

eprasa.pl ad2f04fa8d

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Państwa nie stać

Donald Tusk działa ostatnio pod hasłem: „Kochani, jeszcze nie teraz". Kwoty wolnej od podatku prędko nie będzie, podatek Belki nie zniknie, na transfery zaczekamy. **„Tusk zaczyna nas traktować jak dorosłych, do czego nie przywykliśmy", pisze na polityka.pl Joanna Solska i objaśnia, jak potężny Polska ma deficyt.** Według ekonomistów mamy zarazem najhojniejszą w Europie politykę społeczną. To przepis na „Budapeszt w Warszawie", ale chyba nie o taki chodziło. Na Węgrzech zaczyna się właśnie wielki kryzys.

Macron traci słuch

W podkaście „Portret polityka" Łukasz Wójcik tym razem kreśli portret Emmanuela Macrona. Francuski prezydent u progu kariery był niczym Jowisz – oświecony i rzutki. Potem stał się wojowniczym Marsem, wszędzie widział bitwy i potencjalne zwycięstwa. Teraz grozi mu, że zostanie Minerwą francuskiej polityki – zgorzkniałym mędrcem, który wie najlepiej, co dobre dla Francuzów. Diagnoza: zapadł na chorobę elizejską i stracił nieco słuch społeczny. A i tak snuje mocarstwowe plany.

Spór o listę lektur

Majstrowanie przy kanonie lektur zawsze kończy się w Polsce awanturą. Gdy „Gazeta Wyborcza" ujawniła, że zestaw książek miałby być elastyczny i dobierany samodzielnie przez nauczycieli, rozpętało się piekło. MEN i Adam Szłapka pospieszyli dementować. **„Panika, jaką wywołały zapowiedzi wprowadzenia luźnego kanonu lektur szkolnych, przypomina sytuację z wprowadzaniem edukacji zdrowotnej", zauważa na polityka.pl polonista Dariusz Chętkowski.** Znów jest dużo hałasu, a finalnie nie zmienia się nic.

Co mówił Bauman o Palestynie

„Gordyjski to węzeł, a Aleksandra Macedońskiego jakoś ani widu, ani słychu. Są za to dwie moce, obie żyjące z wojny i dla wojny, obie równie zainteresowane w nierozplątywalności węzła" – mówił Arturowi Domosławskiemu przed laty prof. Zygmunt Bauman. **Obszerna rozmowa Domosławskiego z Baumanem o konflikcie izraelsko-palestyńskim ukazała się w 2011 r. i wywołała wówczas wielkie poruszenie. Przypominamy ją w całości w naszym cyklu „Klasyki Polityki".** Dziś jest równie, jeśli nie bardziej aktualna.

Hity na lato czy hity na lata?

Co lepsze: „Aleja gwiazd" czy „Jolka, Jolka, pamiętasz", „Windą do nieba" czy „Szklana pogoda"? Najlepiej te dylematy rozstrzyga ich autor Marek Dutkiewicz, wybitny tekściarz, gość podkastu „Kultura na weekend". Spoglądamy wspólnie wstecz i przeglądamy aktualne listy przebojów. Dutkiewicz zdradza m.in., czy koleguje się z Jackiem Cyganem i Andrzejem Mogielnickim, co mu szepnął Jonasz Kofta i który z jego utworów doczekał się rekordowej setki coverów. Pyta i słucha Bartek Chaciński.

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER, SHUTTERSTOCK (2), ANDRZEJ WRZESIŃSKI/EAST NEWS, LESZEK ZYCH

eprasa.pl ad2f04fa8d

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
Badania wstępne, okresowe i kontrolne
Orzeczenia sportowo-lekarskie
Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
blokady / neurolizy współczulne
blokady / neurolizy nerwów obwodowych
termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
Dietetyka kliniczna
Dietetyka sportowa
Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
Rehabilitacja ortopedyczna:
- *stawów rzepkowo-udowych*
- *stawów barkowych*
- *kręgosłupa*
- *stawów kolanowych*
- *kontuzji sportowych*
- *po zwichnięciach stawów*
- *urazów mięśni*
- *więzadeł*
- *po złamaniach*

Fizykoterapia
Masaż leczniczy
Diagnostyka funkcjonalna
Rehabilitacja w uroginekologii
Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl ad2f04fa8d

SPONSOR GŁÓWNY
POLSKIEGO STOWARZYSZENIA WINDSURFINGU

PSW
POLSKIE STOWARZYSZENIE WINDSURFINGU

WWW.PSW.ORG.PL

PGE
Baltica

eprasa.pl ad2f04fa8d